




TOVE ALSTERDAL

WCIĄGAJĄCY DRESZCZOWIEC, LECZ TAKŻE SUBTELNA POWIEŚĆ
PSYCHOLOGICZNA TRAKTUJĄCA O NATURZE LUDZKICH ZWIĄZKÓW



ŚLEPY TUNEL



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

TOVE
ALSTERDAL
ŚLEPY
TUNEL

Z języka szwedzkiego przełożyła
Patrycja Włóczyk



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Z ciemności wyłaniają się łóżka. Następnie ciała niczym pagórki i doliny. Jakaś twarz połyskuje w promieniach słońca wpadających do pokoju.

Trzy łóżka pod każdą z dwóch ścian, sześć ciał. Ktoś musi to kontrolować. Twarz staruszki, zapadnięta i nieruchoma. On chce dotknąć tej cienkiej skóry palcami, ale nie może. Zamknięte oczy, wyschnięte twarze. Otwarte usta, kosmyki włosów na poduszce, stopa o powykreślonych palcach w miejscu, gdzie chwyta za nogę łóżka.

W piersiach tak mu łomocze, jakby krew chciała się wydostać na zewnątrz, a serce zniszczyć go od wewnątrz. Teraz rozumie ciszę, teraz rozumie ciemność.

Nie żyją, oni wszyscy nie żyją.

Ostatnia kobieta ma otwarte oczy; są wyblakłe i tępo wpatrują się w nicość, ale gdzie są mężczyźni, gdzie są młodzi?

Dzieci, czy już po nie przyszli?

Gdybym w te pierwsze poranki nie siedziała w zajeździe sama, to pewnie nie zwróciłabym uwagi na kobietę w rogu, w głębi pomieszczenia. Gdybym, dajmy na to, jadła z kimś śniadanie, to z perspektywy czasu, odtwarzając w pamięci wrażenie, jakie wtedy na mnie zrobiła, mogłabym powiedzieć „wyglądała na obcą” albo „wyglądała, jakby skrywała jakąś tajemnicę”, chociaż tak naprawdę w tamtym momencie byłam zbyt pochłonięta rozmową, by ją w ogóle zauważyć.

Pensjonat mieścił się w budynku z kamienia, od dawna pozbawionym tynku. Kiedyś nazywał się „Gasthaus”, świadczyły o tym ślady liter na elewacji. Zasłony i zniszczone poduszki na krzesłach śmierdziały dymem. Pozostali goście to byli głównie miejscowi mężczyźni w spranych ubraniach, popijali poranną kawę i widać było, że się znają.

Kobieta w rogu po prostu nie współgrała z tym miejscem. Jej marynarka wyglądała na zbyt drogą, a wypolerowane buty pasowały bardziej do siedziby banku aniżeli do małego miasteczka, którego jedyną atrakcją turystyczną było wędrowanie po górach. Na ścianie za nią wisiała wypchana głowa rogowca.

„Nieruchomości – pomyślałam – pewnie przyjechała tu, żeby kupić kilka walących się domów, których pełno w miasteczku, opuszczonych, z powybijanymi szybami i wrośniętymi w nie drzewami”.

Trzeciego dnia spotkałyśmy się w drzwiach i przywitałam się z nią po angielsku. W odpowiedzi usłyszałam brytyjski akcent i spytałam, czy mieszka w zajeździe. Potem zapadła krępująca cisza, więc zaczęłam opowiadać o różnych rzeczach, by ją wypełnić.

O tym, że kupiłam dom, albo raczej winnicę, i właśnie się wprowadziliśmy, ale nie działa nam Internet. I że najlepszy zasięg jest na obrzeżach miasta, po drugiej stronie rzeki oraz u podnóża gór.

Dlatego każdego ranka chodzę piechotą do miasteczka, by zjeść śniadanie i przy okazji nawiązać kontakt ze światem.

Słuchała, nie patrząc na mnie. Dodałam też, że zazwyczaj zaglądam do piekarni i kupuję świeży chleb dla mojego męża, żeby nie myślała, że jestem samotna i desperacko szukam towarzysza rozmów.

– Mąż remontuje nasz dom, ma mnóstwo pracy, pewnie pani widziała, jak wyglądają niektóre domy w tym mieście...

Kobieta spojrzała w stronę ulicy, zniszczonych kamiennych elewacji, dachów pokrytych dachówką, małego kościółka wciśniętego za stodołę.

– Mieście? – zdziwiła się. – Naprawdę nazywa to pani miastem?

Utrzymujący się niesmak z powodu mojego słowotoku i wyczuwalnej pogardy w jej głosie zniknął, gdy szłam zniszczonym poboczem.

„Jeśli zostanę tutaj aż do śmierci, to nigdy nie znudzi mi się ta droga” – pomyślałam, patrząc na miejsce, gdzie miejska uliczka zamienia się w szosę tuż przed rzeką. Przeszłam obok domu przypominającego zamek, z popękаныmi kolumnami i dzikim winem pnącym się aż do samego dachu; na murze odpoczywało kilka niewzruszonych żbików. Przy moście na rzece stał nieczynny browar z powybijanymi szybami oraz utrzymującym się zapachem siodu i chmielu, a za nim rozpościerały się makowe pola. Kołysząc się na czerwono, rozciągały się w stronę gór i wzdłuż brzegu rzeki, nieskrępowane, zmysłowe, takie właśnie słowa pojawiają się w mojej głowie, gdy o nich myślę. Ostatnio widziałam tyle maków, gdy byłam nastolatką i moi rodzice wynajmowali w wakacje domek letniskowy w Österlen. Kiedy wróciłam tam jako dorosła kobieta, już ich nie było. Ktoś mi wtedy powiedział, że traktuje się je jak chwasty.

Gdy wróciłam do domu, Daniel już nie spał, poczułam zapach świeżo parzonej kawy. Oznaczało to, że udało mu się uruchomić kuchenkę albo czajnik, gmatwanina starych przewodów elektrycznych musiała działać. Wypakowując zakupy, usłyszałam brzdęki i stukoty dochodzące z piwnicy, zawołałam, że jest świeży chleb. Dolałam wody do czajnika, teraz była trochę mniej żelazista, i dołożyłam maki do bukietu z jaskrów i bodziszka leśnego. Wydało mi się to dziwne, że polne kwiaty są tu takie same jak w domu.

– Cholera, ależ tu na górze jest ciepło – stwierdził Daniel, gdy wyszedł z piwnicy bez koszulki, za to z piękną warstwą szarego kurzu we włosach i na rękach.

Odłożył coś, co wyglądało jak młot kowalski, rodzaj ciężkiego i dużego młotka. Takie przedmioty były porzucane po całym gospodarstwie, bardzo stare narzędzia, które nie wiadomo do czego kiedyś służyły. W komórce znaleźliśmy widły i motyki o nieznanym nam kształcie.

Daniel nalał sobie szklanekę żelazistej wody i ją wypił. Następnie wytarł pot z karku jedną z nowych kuchennych ściereczek. Gorące powietrze

stało, już w połowie maja było prawie trzydzieści stopni. Klimatyzację umieściliśmy wysoko na liście naszych priorytetów.

– Za kilka dni się z tym uporam – oznajmił Daniel, zajmując miejsce przy nakrytym przeze mnie kuchennym stole. Zrobiliśmy go, łącząc ze sobą trzy całe krzesła nie od kompletu. Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby w piwnicy trzeba było zrobić coś, co figuruje na liście naszych priorytetów umożliwiających przystosowanie domu do zamieszkania.

– Czym się właściwie zajmujesz tam na dole? Chcesz zburzyć dom?

Daniel się zaśmiał.

– Coś w tym stylu. Sama zobacz. – Sięgnął po telefon komórkowy.

Siadając obok niego, zorientowałam się, że jego skóra paruje, poczułam duszącą woń potu, dziwnie obcą u mężczyzny, z którym byłam ponad dwadzieścia lat. W życiu, które ze sobą spędziliśmy, generalnie porządnie pocił się tylko w czasie joggingu, po którym zaraz szedł pod prysznic, albo oczywiście gdy się kochaliśmy, czasami, ale ta woń była inna, miała w sobie wilgoć opuszczonej piwnicy, kurz i nieumyty pot z wczoraj, a do tego coś, czego wcześniej u niego nie zaobserwowałam: obsesję, która nie pozwalała mu odpocząć, dopóki nie padł na łóżko późno w nocy. Rano, gdy szłam na spacer do zajazdu, spał jak zabity. Podejrzywałam, że wciąż bierze leki nasenne, chociaż powiedział, że je odstawił. Prawdopodobnie szedł do piwnicy zaraz po obudzeniu, wypijał tylko na stojąco filiżankę kawy i łapał za ten młot. Wskazywał na to apetyt, z jakim pochłaniał kanapki.

– Dzisiejszej nocy myślałem o tym przed zaśnięciem – powiedział między jednym kęsem a drugim – że na tym planie coś się nie zgadza.

Znalazł to zdjęcie w komórce, rysunki z urzędu gminy, gdzie podpisaliśmy wszystkie dokumenty. Nie dostaliśmy kopii, oryginał został w dużym i nieporęcznym segregatorze.

– Jeśli to była kiedyś winnica – zaczął Daniel – i jest piwnica, to dlaczego nie ma piwniczki na wino?

Powiększył zdjęcie. Zmrużyłam oczy, by zobaczyć niewyraźne linie, plany pochodziły z ubiegłego wieku, kiedy to prawdopodobnie zbudowano ten dom. Daniel stwierdził, że kiedyś musiało tam istnieć jakieś przejście, drzwi w głębi, na lewo od schodów.

– No wiesz, tam gdzie stała ta stara szafa, w miejscu, gdzie odpadł tynk i odsłonił cegłę... – Daniel lekko dyszał z podekscytowania, a może z powodu upału w dusznej kuchni. – Tylko dziwne, że nigdzie indziej

w piwnicy nie ma ceglanych ścian, w ogóle w całym domu nigdzie nie ma widocznej cegły.

– Byłoby fantastycznie, gdyby się okazało, że mamy piwniczkę na wino. – Zaczęłam sprzątać ze stołu po śniadaniu albo raczej lunchu, schowałam masło i żółty ser, zanim zdążyły się rozpuścić. – Będzie wspaniale, jak już wszystko uporządkujemy.

– Potem od razu zajmę się klimatyzacją, obiecuję. I prądem.

– Spokojnie. – Sięgnęłam po torebkę, by znaleźć karteczkę, którą poprzedniego dnia dostałam w sklepie żelaznym. Starszy sprzedawca nie mówił ani po angielsku, ani po niemiecku, ale za pomocą tłumacza w komórce i trochę na migi udało mi się zadać mu pytanie. – Wygląda na to, że w miasteczku jest elektryk, zdobyłam jego numer...

– Lepiej samemu to zrobić. – Daniel wstał, biorąc do ręki ciężkie narzędzie. – Wtedy będę wiedział, jak to naprawić, gdy coś się zepsuje.

Zabrałam się do sprzątania sypialni na piętrze, tej, która miała być nasza, umyłam okno, żeby było przez nie coś widać, co wcale nie znajdowało się na górze listy naszych priorytetów, lecz wąskie łóżka, które zsunęliśmy w izbie przed kuchnią, nikogo nie uszczęśliwiały. Uzgodniliśmy, że jak tylko kilka pokoi będzie nadawało się do zamieszkania, to pojedziemy do Pragi i kupimy nowe łóżka i parę innych rzeczy. Tak jakbyśmy przeczuwali, że nasze stare meble z szeregowca w Älvsjö nie będą tutaj pasować. Zatrzymaliśmy wszystko to, co odziedziczyliśmy w spadku albo z czym trudno nam się było rozstać, a resztę sprzedaliśmy na Blocket, mieliśmy poczucie, że zaczynamy wszystko od nowa.

Tabula rasa, czysta tablica, która przyprawiała mnie o euforię.

Brud spływał po szybach, a martwe muchy spadały na ziemię, ale po trzeciej zmianie wody widok za oknem w końcu stał się wyraźny. Łąka ciągnąca się w górę, w kierunku liściastego lasu i wznoszących się za nim gór, z drugiej strony ogromna lipa i gęste krzaki schodzące w dół, do rzeki. Wąski dopływ zniknął za zakrętem, za którym majaczyły miasteczko, dachy domów i obie wieże kościelne.

Jak mam to opisać?

Tę chwilę, gdy coś się zaczyna.

To nie zdjęcia kazały nam to zrobić, fotografie domu tak kiepskie, że nie dało się zobaczyć rozkładu pomieszczeń.

Chodziło o siedem liter. Jedno słowo.

Winnica.

Tamtego wieczoru wróciłam do domu zdecydowanie za późno, może właśnie dlatego uważnie przyjrzałam się zdjęciu, gdy Daniel zawołał mnie do swojego gabinetu. To nie było pierwsze ogłoszenie, które mi pokazywał. Przez całą zimę szukał chaty na wsi. Ubzdurał sobie, że przyroda będzie miała na niego zbawienny wpływ, że tam poczuje się lepiej. W Norrland, żeby być bliżej swoich korzeni, albo w Hiszpanii, by uciec od ciemnych zim, jakby jakaś magnetyczna siła pchała go coraz dalej, aż w końcu dotarł do winnicy w Böhmen – Czechach.

Daniel powiększył zdjęcie.

Böhmen – Czechy?

Nie rozumiałam, o czym mówi, to wszystko wydawało mi się kompletnie absurdalne. Marzyliśmy o winnicy i winie, o takich podróżach do Toskanii i Prowansji, na jakie pozwalali sobie nasi znajomi, których dzieci wyfrunęły z rodzinnego gniazda, ale Czechy? Daniel wygooglował, że winnica znajduje się zaledwie trochę ponad godzinę jazdy samochodem od Pragi i niecałe dwie godziny od Berlina, w górach stanowiących granicę między Niemcami a Czechami.

– Państwo dawnego bloku wschodniego? – Czułam się zmęczona, miałam wrażenie, że od wypitego wina ból pulsuje gdzieś za oczami. – Myślałam, że marzysz o pensjonacie w Toskanii albo o domu w Prowansji.

– Środkowa Europa – powiedział. – Praga leży bardziej na zachód aniżeli Sztokholm. I wiesz, ile kosztowałaby winnica w Prowansji?

– Czy tam nie jest po prostu brzydko? Pomyśl o przemyśle węglowym.

Daniel znalazł kilka zdjęć formacji skalnych i falujących dolin, niebieskawych gór nazywanych Czeską Szwajcarią.

Okolice ta ma też inną nazwę.

Kraj Sudetów.

Wysunęłam fotel i usiadłam obok niego, spojrzałam na kwotę podaną w czeskich koronach. Jeśli Daniel dobrze policzył, była mniejsza od tej, którą nasi sąsiedzi dostali za dom szeregowy z lat osiemdziesiątych, dokładnie taki jak nasz, sprzedawany na okoliczność niedawnego rozvodu.

– Ale my przecież nic nie wiemy o winie – zauważyłam.

– Moglibyśmy się wszystkiego nauczyć. Za sprzedane owoce dostawalibyśmy butelki z własnymi etykietami... Przygotowałyby się pod

wynajem kilka pokoi.

– Może ludzie chcieliby nawet płacić za uczestniczenie w deptaniu winogron...? – Chciałam podtrzymać tę iskrę w jego głosie.

– Potem będą musieli wracać do nas co roku, by skosztować wina z własnoręcznie zdeptanych winogron, ponieważ wino cały czas dojrzewa.

– Raczej własnonożnie...

– Tylko czy winogrona wciąż się depcze? Serio?

Nasze śmiechy tamtego wieczoru, coraz głośniejsze, lekkie i szalone, przeplatały się ze sobą, dawno się tak nie śmialiśmy.

Podobno powinno się żyć tu i teraz, co jest niemożliwe. Teraźniejszość nie istnieje. Znika z każdą sekundą. Jak tylko próbowałam być tu i teraz, dopadała mnie przeszłość. Może to kwestia wieku. Na przykład zapach dziegciu i plusk fal wywołany przez kilka łodzi rybackich cofają mnie do dzieciństwa, kiedy to moi rodzice wynajmowali domek letniskowy w rybackiej wiosce w Österlen, i w następnej sekundzie chce mi się płakać z powodu tego, że to już przeszłość i zostałam sama. Pole maku robi ze mną to samo, wywołuje melancholię. W szeregowcu, w którym mieszkaliśmy ponad piętnaście lat, zionęło pustką po dzieciach, które wyprowadziły się do Seattle i Umeå, by rozpocząć swoje nowe, własne życie. A mój mąż... cóż, mój mąż szukał w Internecie winnic i coraz rzadziej wychodził. Jeśli proponowałam kolację z przyjaciółmi albo kino czy cokolwiek innego, mówił, że nie ma na to ochoty.

Ale ty idź.

Nie sądzę, żebyśmy pragnęli teraźniejszości, raczej chcemy przyszłości. Kiedy tracimy ją z oczu, coś umiera. Teraźniejszość jest co najwyżej tym momentem, gdy zaczyna się przyszłość. Czystością. Widokiem za oknem, horyzontami, o których nie mieliśmy pojęcia. Świadomością, że wszystko może się zdarzyć i nic nie będzie takie jak wczoraj.

Usłyszałam miauczenie kota.

Bursztynowy zwierzak siedział na ziemi i patrzył na mnie, widziałam ich kilka wałęsających się po okolicy. Miauczał tak, jakby rozumiał, że nadchodzą lepsze czasy, ludzie i jedzenie w miseczce, jeśli tylko poprosi. Może to śmieszne, ale poczułam się mile widziana. Ktoś nas dostrzegął, podobała mu się nasza obecność.

Zostawiłam okno szeroko otwarte, żeby wywietrzyć, na ile się da w tym upale, i zesłam na dół, by poszukać w lodówce czegoś, co lubią koty.

Z piwnicy dochodziło to samo uparte, rytmiczne dudnienie. Może to mu było potrzebne. Rozwalenie czegoś, wyburzenie, żeby dać czemuś ujście i się wyzwolić.

ZAPISKI, OBSERWACJA

NOC Z WTORKU NA ŚRODĘ, 6.20

Niepokój.

Nie śpi.

Wygląda przez okno, tuż przed świtem.

Nagi.

Gdzie jesteście?

Widzę bramę, ale nie widzę rzeki.

Masz na myśli jezioro? Jest tam dalej, za drzewami, jak mgła opadnie,
to je zobaczysz.

Nie, rzekę. Przecież mówię.

Płynęła tam, niedaleko.

Kim jesteś?

Dlaczego już nie widzę rzeki?

Czy tam, gdzie kiedyś mieszkałeś, była rzeka?

Umarli niosą żywych.

Przepraszam, co powiedziałaś?

Żywi niosą umarłych.

Nie widzisz?

Kim jesteś?

Odejdź.

Ruch przy moim policzku, szeptał. Dlaczego szeptał? Nie widziałam mojego męża w ciemnościach, gdy otworzyłam oczy, miałam wrażenie, że wciąż śnię.

– Obudź się, musisz to zobaczyć.

– Co?

We śnie dotykałam kogoś, wciąż czułam to ciepło. Daniel stał pochylony i szukał pod prześcieradłem mojej ręki.

– Stało się coś? Która jest godzina?

– Druga, może koło trzeciej... – Powiedział to, jakby czas był nieistotnym szczegółem. – Tylko włoż coś na siebie, na dole jest chłodniej.

– W piwnicy?

Oślepił mnie latarką na kilka sekund, można by jej z powodzeniem używać na jakiejś budowie, poświecił nią na krzesło, na którym leżały moje ubrania. Porzuciłam tęsknotę za tym, by zwinąć się w kłębek, włożyłam sukienkę i znalazłam kapcie. Daniel okrył moje ramiona kocem. Bez słowa zaprowadził mnie do kuchni, a potem sprowadził na dół po wąskich schodach. Skóra na jego dłoni wydała mi się twardsza niż zaledwie parę tygodni temu.

Wcześniej byłam w tej piwnicy tylko kilka razy. Krótki korytarz z niskim sufitem, kotłownia i kilka pomieszczeń, w których zgromadzono różne rupiecie, wrażenie, że nikt tutaj nie sprzątał od wielu lat. Teraz panował tu jeszcze gorszy brud, resztki zaprawy murarskiej i tłucznia chrzęściły pod naszymi kapciami. Stożek światła rozjaśnił korytarz w głębi, dostrzegłam górę cegły, fragment murowanej ściany i otwór prowadzący prosto w ciemność.

– Poszło dużo sprawniej, niż myślałam, ściana została wymurowana bardzo niedbale. – Daniel podał mi latarkę. – Idź pierwsza.

Otwór był nieregularny i niezbyt duży, przykucnąłam i weszłam do środka, cegła drapała mi nogi. Koc pociągnęłam za sobą, chłód po drugiej stronie był bardzo przyjemny. Poświeciłam sobie latarką pod nogi, zanim wykonałam następny krok. Przez głowę przeleciała mi myśl o szczurach i robactwie.

– Uważaj na schody – powiedział mi cicho Daniel do ucha.

Czułam jego ciepły oddech i odwróciłam się, by znowu chwycić go za rękę. Kilka metrów za ścianą z cegły znajdowały się kolejne, węższe schody prowadzące stromo w dół. Stopnie były wykonane z wyszlizganego kamienia, starannie skonstruowane, z drewnianą listwą z przodu i zagłębieniem pośrodku. „Musiały zostać wyciosane kilkaset lat temu” – pomyślałam. „Ludzie wyszlizgali butami zagłębienia w kamieniu, ile lat zajmuje coś takiego?”

Odwróciłam się na końcu schodów, twarz Daniela była białym cieniem. Skinieniem głowy dał mi znać, bym szła dalej. Spowijała mnie ciemność, widoczność miałam ograniczoną do kilku metrów. Twarde ściany, goła skała. Nie było tu żadnej podłogi, tylko ubita ziemia. Zobaczyłam, że sufit jest wzmocniony grubymi belkami. Potem moim oczom ukazały się drewniane beczki. „Beczki na wino” – pomyślałam i poczułam, jak moje serce przyspiesza. Zobaczyłam też kilka rozrzuconych pustych butelek i bardzo starą taczkę, pokrytą rdzą i o ogromnych kołach. Daniel chwycił mnie za rękę i skierował światło w głąb pomieszczenia. Staaliśmy oboje, w tym samym momencie.

W miejscu, w którym kończyło się skalne pomieszczenie, ciągnęły się rzędy regałów. Miały otwory na szyjki leżących tam butelek, starannie ułożonych od ziemi aż po sufit.

Cisza gęstniała i otaczała nas jak w kościele, czułam podniosłość tej chwili.

– Wow – wyszeptałam. – Jak myślisz, ile mają lat?

– Dużo.

Podeszliśmy bliżej i Daniel wziął ode mnie latarkę, poświecił na butelki. Wydawały się ciemnozielone, może brązowe, trudno było ocenić ich kolor w sztucznym świetle. Były pokryte kurzem. Absolutna cisza.

Światło padło na etykietę. Pochyliłam się. Ostrożnie starałam kurz i pojawił się napis.

1937.

Spojrzałam na Daniela. Zakreśliło mi się w głowie.

– Jak myślisz, ile są warte?

– Nie mam pojęcia.

Ostrożnie przekreśliłam butelkę, żeby zobaczyć całą etykietę. Znajdował się na niej rysunek, jakieś logo. Drzewo i zarys gór. Ozdobne, eleganckie

litery, „Müller-Thurgau” – przeczytałam. Nic mi to nie mówiło, wiedziałam tylko, że to chyba po niemiecku.

– I co ty na to, czy my...?

Spojrzelśmy na siebie i równocześnie zaczęliśmy się śmiać. Napięcie, podniosłość tej chwili minęły. Daniel wyjął inną butelkę, ten sam rocznik.

– Tak, czemu nie? Chyba zostały wliczone w cenę?

Każde z nas wzięło po butelce i chichocząc, weszliśmy na schody. Daniel pogładził mnie ręką między nogami, gdy wyswobadzał moją sukienkę, która zaczepiła o nierówności przy otworze. Przytrzymałam jego rękę na kilka sekund, wchodząc sobie w słowo, paplaliśmy jak nakręceny o tym, jak urządzimy naszą starą winnicę i jak będziemy organizować drogie degustacje win tam, na dole, i Daniel przypomniał sobie o skrzyni ze stuletnim szampanem znalezionym w zatopionym okręcie, ile właściwie były warte te butelki? I etykiety, moglibyśmy wykorzystać ten sam rysunek przedstawiający drzewo i góry, kultywować tradycję, wskrzesić przeszłość.

Daniel musiał się trochę wysilić, by korek w pierwszej butelce w końcu dał za wygraną. Zapaliłam świeczkę i wyjęłam kieliszki do wina. Do tej pory jeszcze nie świętowaliśmy zakupu winnicy. Kieliszki były z prawdziwego czeskiego kryształu, znalazłam je w komisie za rynkiem.

Ten dźwięk, gdy korek dał za wygraną, a potem bulgotanie nalewanego wina. Czułam podekscytowanie i podejrzewam, że Daniel także je czuł.

Wino było białe. Albo raczej głęboko żółte, nieomal bursztynowe, kręciliśmy nim w kieliszkach nad świecami, bawiąc się w znawców wina, kryształ mienił się w płomieniach. Włożyliśmy nosy do kieliszków, zastanawiając się, czy wino miało taką barwę od samego początku, czy może kolor nieco wyblakł od długiego leżakowania.

Osiemdziesięcioletnie wino.

Wznieśliśmy toast, za nas, żeby od teraz wszystko już było dobrze.

– O cholera – rzucił Daniel i wypłuł wino z powrotem do kieliszka.

Poczułam w ustach kwaśny smak. Wcale nie smakowało jak wino. W końcu przełknęłam to, co miałam w ustach.

– Czy to w ogóle ma jakiś alkohol?

Daniel znowu powąchał zawartość swojego kieliszka.

– Może po osiemdziesięciu latach procenty znikają. – Resztę wylał do zlewu, odstawił kryształowy kieliszek trochę za mocno. – Kompletna

porażka.

– Z winem może być różnie – odezwałam się. – Przecież nie wiemy, może jest tam jeszcze coś, co... – Chciałam podtrzymać ten nastrój, uczucie odurzenia. Sposób, w jaki mnie dotknął, gdy szłam przed nim przez otwór. Byłam naga pod sukienką i poczułam podniecenie, co nie zdarzyło się między nami od bardzo dawna, w każdym razie nie w ostatnim roku.

Daniel odkorkował drugą butelkę, powąchał jej zawartość i na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

– Może od samego początku było takie wstrętne – powiedział. – Może dlatego zamurowali ścianę, żeby nie musieli pić tego świństwa.

– To nie ma żadnego znaczenia – oznajmiłam. – To nieważne.

– I jeszcze obudziłem cię w środku nocy...

– I tak było fajnie. Najważniejsze, że znalazłeś piwniczkę na wino, butelki mogą tam przecież zostać, jako elementy dekoracyjne...

Daniel przyniósł piwo ze spizarni i ciężko opadł na kuchenne krzesło.

– A ja myślałem, że znalazłem prawdziwy skarb – rzekł. – Majątek. Ależ byłem głupi.

Pogłaskałam go po głowie, pocałowałam w czoło, zjechałam dłonią niżej, na kark, ciężko mi było patrzeć na jego rozczarowanie. Dopiero wtedy zauważyłam, jaki jest brudny, pot połączył się z pyłem starej zaprawy murarskiej, tworząc warstewkę na jego skórze. Daniel otworzył piwo o krawędź stołu, który i tak był porysowany i zniszczony, i nic mu nie mogło zaszkodzić.

– Nie rozumiem, dlaczego cię w to wciągnąłem.

Daniel obrócił piwo w rękę, oparł się na niepokojąco chybotliwym krześle.

– Cały dom wymaga remontu, nie znamy się na winach, nawet nie wiem, co jest napisane na tej przeklętej etykiecie. Müller-Thurgau, Erzge... co to, do cholery, znaczy?

Potrącił butelkę z winem tak, że ta nieomal się przewróciła, trochę jej kwaśnej zawartości rozlało się na stół, zanim ją złapałam.

– I poświęciłem tyle dni na tę cholerną ścianę z cegły, zamiast zająć się prądem albo naprawić dach, to przeklęte miejsce się zawali. A ty zostawiłaś wszystko, dom, pracę, wszystko, tylko po to, żebym ja...

Wcześniej myślałam mniej więcej tak samo, że to się może nie udać. Weszliśmy tu oboje, widząc, jak może być tutaj ładnie, nie dostrzegając

stanu faktycznego.

– Cieszę się, że miałeś taki pomysł – oznajmiłam. – Będzie wspaniale.

Daniel spojrział w górę, na sufit, on niestety też nie napawał optymizmem, utkwiał wzrok w dużej plamie, miejscu, z którego odpadła farba.

– Julia – przeczytałam na butelce, którą wciąż trzymałam w dłoni, nauczyłam się, że lepiej zmienić temat, gdy Daniel uderza w taki ton, gdy wszystko idzie nie tak, a on sam ma poczucie, że jest nieudacznikiem. – Ciekawe, czy to nazwa wina – powiedziałam, przybliżając etykietę do płomienia świecy. – Müller-Thurgau to mogłoby być nazwisko, może nazwa jakiegoś rodu, o ile to nie gatunek winogron? – Świeczki porządnie się stopiły, stearyna spływała po świecznikach. Wcale nie byłam najgorsza z niemieckiego, uczyłam się go przez całą podstawówkę i potem w liceum, przez kilka lat miałam chłopaka z Monachium, lecz rozszyfrowanie tego tekstu napisanego ozdobnym i dość ładnym charakterem pisma nie było łatwe. – Erzgebirge to niemiecka nazwa tego pasma górskiego, Rudawy, myślisz, że winnica tak się nazywała, że to znak firmowy? „Erzgebirge Weinberg” może nie brzmi najlepiej, ale moglibyśmy się nazywać „Ore Mountain Vineyard” albo „Bohemian Winery”...

Daniel ziewnął.

– Brzmi ładnie, przepraszam, po prostu jestem trochę zmęczony. – Dał mi buziaka, zanim wstał. Ledwo mnie musnął. – Możemy wrócić do tego jutro?

Kiedy wyszłam, kotka czekała za krzakiem róży przy drzwiach. Trochę się cofnęła i syknęła. Na tylnej łapie w jednym miejscu nie miała sierści. Nie pozwoliła mi się zbliżyć. Wciąż zastanawiałam się nad imieniem dla niej, Madame Bovary albo Anna Karenina, lub Sessan, po moim pierwszym kocie, którego sama sobie kupiłam i nazwałam. Od północy nad górami zbierały się ciężkie chmury.

Musiałam wrócić do domu i napęcić miseczkę resztkami jedzenia z poprzedniego dnia, wzięłam też parasol.

Rzeka mieniła się kolorem nieba, popielatoszara płynęła w moim kierunku i ciemniała, zamieniając się w płynny ołów, wiry tańczyły i chlapiąc, rozbijały się o kamienie tuż przed podporą mostu. Wszystko było dla mnie takie wyraźne, każdy detal wnosił coś nowego. Sam zapach trawy, to, jak się zmieniał od nadciągającego deszczu, stawał się coraz bardziej intensywny. „Mogłoby popadać – pomyślałam – rośliny potrzebują deszczu. Powietrze się oczyści i będzie łatwiej oddychać”. Było idealnie. Szczęście mogło być takie spokojne i proste. Wczesnoletni deszcz, spacer.

Nigdy nie jechałam do miasteczka samochodem, nawet jeśli planowałam ciężkie sprawunki, wolałam iść kilka razy, tak jak teraz, po pierwszym pomalowaniu sypialni na biało, gdy farba i tak musiała wyschnąć przed kolejnym malowaniem, które miało na dobre ukryć burobrudne tapety.

Planowałam kupić rowery wyposażone w koszyk i bagażnik. Nagle chmura pękła i lunął na mnie deszcz, lał jak z cebra. Wiatr wywinął mi parasol na drugą stronę. Ostatni odcinek do zajazdu pokonałam biegiem. Mężczyzna, który stał za barem i jak wywnioskowałam, był również właścicielem tego miejsca, powiedział coś i podał mi kuchenny ręcznik. Śmiejąc się, wytarłam twarz i włosy, z resztą nie dało się za bardzo nic zrobić. zaproponował mi kawę i pamiętał, że piję czarną.

Deszcz zacinał o szyby. Pomyślałam, że równie dobrze mogę też sobie pozwolić na kieliszek wina.

– Czerwone czy białe? – Gospodarz położył podkładkę jednego ze znanych browarów i okręcił kieliszek w palcach. Chyba miał na imię Libor. W każdym razie tak wołali do niego mężczyźni grający w karty, którzy zamówili kolejne piwo.

– Ma pan coś lokalnego? – spytałam. – Bohemian wine? – Chciałam spróbować lokalnego wina, najchętniej białego.

Mężczyzna miał jakieś dwa metry wzrostu i musiał się schylać pod kieliszkami wiszącymi nad barem. Wyciągnął kilka otwartych butelek.

– Mam wino francuskie – poinformował. – I włoskie.

– A lokalnego dlaczego nie?

– Nikt o takie nie pyta. Nie jest uznawane za dobre.

Kiepsko mówił po angielsku, czasami wtrącał niemieckie frazy. Może miał na myśli, że dobrego wina nie ma w tym miejscu, w tej dolinie. Miasteczko było trochę niedostępne, połączeń kolejowych mało, do autostrady daleko. Wcześniej trochę googlowaliśmy i widzieliśmy zdjęcia winnic otworzonych na nowo po upadku komunizmu, winnicy w zamku w Mielniku zaraz za Pragą oraz w nowych budynkach na polu pod Litomierzycami, najbliższym dużym miście, gdzie pewien miliarder wskrzesił tysiącletnią tradycję produkcji wina. Surfowaliśmy po ładnych stronach przedstawiających butelki wina pod światło i bujną zieleń i myśleliśmy, że podjęliśmy dobrą decyzję, chociaż winorośle na naszej własnej ziemi na razie były w opłakanym stanie.

– Communist wine – powiedział Libor z grymasem na twarzy, płucząc rękę pod kranem.

– Spróbuję tego francuskiego.

Uśmiechnął się i otworzył butelkę bordeaux.

– Za to na Morawach potrafią robić wino – oznajmił przepraszająco, napełniając mój kieliszek. Najwyraźniej nie mieli w tej chwili w magazynie ani jednej butelki z tego regionu kraju.

Następnie nalał piwo do pokala i pozwolił pianie opaść, po czym napełnił kolejny pokal, ustawił na tacy, a później zaniósł klientom.

Połączyłam się z siecią i pochłoneły mnie posty moich przyjaciół oraz tamtejsze życie. W Luleå padał śnieg, w Sztokholmie wiśnie puszczały pierwsze pąki. Już opublikowałam zdjęcia winnicy i miasteczka. Oczami wyobraźni widziałam, jak będziemy się tu wałęsać w ciepłe wieczory, sączyć wino w knajpianych ogródkach, poznawać ludzi z imienia. Na razie jeszcze tak nie było. Mężczyźni siedzący w lokalu wycierali z ust

piwną pianę. Deszcz wciąż spływał po okiennych szybach. Rozpraszał światła pojedynczych samochodów. Pomyślałam, że fajnie byłoby spróbować lokalnych win, podyskutować o nich.

Wzięłam kieliszek tego francuskiego.

Kiedy Libor wrócił z recepcji, opowiedziałam mu o piwnicy na wino, którą znaleźliśmy pod naszym domem.

– Może być bardzo stara – oznajmił, przyglądając się zdjęciu, które mu pokazałam. – Jeśli wchodzi w skład tuneli, to może być kilkaset lat starsza od domu.

– Jakich tuneli?

– Tych pod miastem. – Libor przeglądał zdjęcia i zatrzymał się przy tym, na którym były butelki z winem.

Pod miasteczkiem znajdował się system krętych korytarzy, czasami na głębokości trzech pięter. Wykopano je w średniowieczu, by transportować żywność podczas wojny, pełniły też funkcję magazynu prochu za czasów dawnych królów, drogi ewakuacyjnej i schronu. Na początku XX wieku zostały zamurowane, gdy wszystko miało ujrzyć światło dzienne, wyjść na powierzchnię, stać się nowoczesne.

Powiększył zdjęcie butelki z winem, rocznik 1937.

– Znaleźliście je w piwnicy? Coś takiego, ciekawe, jak smakuje.

– Okropnie.

Zaśmiał się głośno.

– Sprzedajcie je niemieckim turystom. Z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku! Za wino z Böhmen zapłacą każdą cenę.

Spytałam go o tekst na etykiecie i dowiedziałam się, że Müller-Thurgau to odmiana winorośli, lub raczej krzyżówka kilku odmian, pierwotnie niemiecka, przypominająca rieslinga.

– Jedna z dwóch odmian akceptowana przez komunistów, więc ma kiepską reputację. Powiedzmy, że lepiej im szło prowadzenie kopalni węgla.

– A ta druga?

– Cóż, zdaje się, że... muscat.

Na temat pozostałych informacji na etykiecie, nazwy winnicy i wina nie miał nic do powiedzenia, zresztą nie mógł sobie przypomnieć, żeby w miasteczku kiedykolwiek produkowano jakieś wino ani żeby ktoś w ogóle mieszkał w tej winnicy. Jako dziecko węszył po okolicy i budował schrony w opuszczonych siedliskach, robili tak chyba wszyscy

chłopcy urodzeni za późno, by zostać partyzantami, polowali na oddziały Werwofu i wyobrażali sobie, że Niemcy gdzieś tam się ukryli.

– Pamiętasz to? – zawołał w kierunku stolika i powtórzył coś po czesku, jeden z mężczyzn uniósł pięść w górę, bum-bum, tubalny śmiech rozniósł się po lokalu.

– Mój dziadek od strony ojca przybył tu w latach czterdziestych i przejął to miejsce – poinformował Libor. – Ale nie znał się na winach.

Otoczona przez te wszystkie głosy nie zauważyłam, że do środka weszła ta Angielka, nie wiedziałam, od jak dawna stoi zaledwie kilka metrów za mną, zanim z grzeczności nie odwróciłam się do mężczyzn i nie zaczęłam się śmiać razem z nimi.

Jej parasol był chyba solidniejszy od mojego, ciekło z niego, gdy go złożyła, i na ciemnych, prawie czarnych płytkach utworzyła się kałuża. Ona sama była zupełnie sucha.

– Proszę mi wybaczyć, kilka dni temu nie byłam dla pani zbyt miła.

– Nic się nie stało – zapewniłam – wcale tak nie pomyślałam.

– To chyba przez te upały, źle je znoszę. Pozwoli pani, że się przysiadę?

– Dyskretnie rozejrzała się po lokalu. – Wygląda na to, że jesteśmy tu jedynymi kobietami.

– Oczywiście – zgodziłam się, wysuwając jej barowe krzesło. – Miałam tylko przeczekać deszcz, ale nie może przestać padać.

Dyskrecja. Każdy jej ruch, cała ona pasowały do tego słowa. Do tego, jak bezdźwięcznie przysunęła sobie krzesło i postawiła na podłodze czarną skórzaną teczkę, i ledwie zauważalnym gestem zamówiła kieliszek tego samego wina co ja.

Uśmiech, gdy sączyła wino.

– Hm, fatalna pogoda, nieprawdaż?

Nagle pojawiło się między nami jakieś porozumienie. Zamówiłam jeszcze jeden kieliszek wina.

Nazywała się Anna Jones.

– Sonja – powtórzyła, gdy się przedstawiłam. – A jak wymawia się pani nazwisko, te kropeczki?

– Åström to typowo szwedzkie nazwisko, niespotykane nigdzie indziej.

Wymówiła je trzy razy, ostatnim razem całkowicie poprawnie. Zauważyłam, że to dla niej ważne. Wymieniłyśmy kilka zdań na temat pogody i upału, po czym stwierdziła, że pokój w zajeździe jest lepszy, niż można by się tego spodziewać. Właściwie to zrobiła rezerwację w Grand

Hotelu przy rynku, bo nie wiedziała, że mają tam remont. – Nie widziałam, żeby tam coś robili. – Jej akcent sprawił, że pomyślałam o serialu kostiumowym Downton Abbey, brytyjskich zamkach i posiadłościach.

– Co panią tutaj sprowadza? – spytałam. – Interesy?

Kiedy znajdowała się tak blisko mnie, dostrzegłam siwe pasemka, drobne zmarszczki pod oczami, była kilka lat starsza ode mnie.

– Podróżuję, rozglądam się – odparła. – Po miejscach, w których nigdy nie byłam, dostałam w prezencie trochę czasu.

Anna Jones dotknęła kieliszka, napiła się wina. Dalsze pytania wydały mi się natręctwem. Piła małymi, ledwie zauważalnymi łyżkami.

– Mój mąż – powiedziała w końcu – przepraszam, mój były mąż, ma artystyczne ambicje i myśli, że pewnego dnia zostanie sławnym fotografem, kocha prawdziwe aparaty, duże obiektywy. – Dyskretnie pokazała, jak duże, i obie się roześmiałyśmy. – Pracuje w HR jednego z większych banków w Londynie, więc daleko mu do tego, ale wypiwszy sporą ilość wina, wpadł na pomysł napisania książki razem z przyjacielem, który w taki sam sposób marzy o pisaniu, wyskoczeniu z całej tej karuzeli w City i zostaniu pisarzem. Mieli ją zatytułować Na zadupiu Europy.

Zaśmiałam się trochę zbyt głośno, poczułam, że wino uderzyło mi do głowy. Anna Jones wciąż nie opróżniła pierwszego kieliszka.

– Zamierzali odnaleźć najbardziej depresyjne miejsca w Europie – dodała. – Najnudniejsze miasta, najbrzydsze i najbardziej bezpłciowe krajobrazy, żeby stworzyć oryginalny przewodnik turystyczny. To miał być bestseller, ponieważ ludzie mają już dość wspaniałych budowli i przyrody zapierającej dech w piersiach, to wszystko zostało już obfotografowane, nikt nie chce kolejny raz oglądać Wenecji czy Sagrada Família.

Zamilkła i spojrzała w okno, za którym deszcz trochę się uspokoił, widać było teraz domy po drugiej stronie drogi. Mężczyźni skończyli już grę w karty – na stoliku stały puste pokale – został tylko jeden z nich i siedział pochylony nad gazetą.

– Jak pani myśli, czy to miejsce nadaje się do ich przewodnika?

– Nie – odparłam.

Kiedy się uśmiechnęła, kąciki jej ust ledwo się poruszyły, ale mimo wszystko to był uśmiech.

– Uważam, że tutaj jest pięknie – oświadczyłam, szukając słów opisujących to, co czułam, nie chodziło mi tylko o kwitnące pola, góry i rzekę, było też coś w tych opuszczonych domach, jakieś piękno. Pobudzały moją wyobraźnię. Może miało to coś wspólnego z miejscem, w którym dorastałam, mogłabym co nieco opowiedzieć jej byłemu mężowi o szwedzkiej hysterii wyburzania starych dzielnic w latach sześćdziesiątych i budowaniu kwadratowych placów oraz identycznych domów towarowych Domus.

Anna Jones zaśmiała się cicho.

– Nie może być gorsze od miejsca, w którym się wychowałam – oznajmiła.

Okazało się, że wcale nie pochodzi z Londynu, tylko z Niemiec i wychowała się we wschodnich Niemczech, niedaleko polskiej granicy, w regionie wydobywania węgla brunatnego. W tamtych czasach ten rejon był nazywany Doliną Niewiedzących, chociaż ona nie miała wtedy o tym pojęcia. Mieszkali tam ludzie odcięci od nieocenzurowanej informacji, ponieważ nie odbierali zachodniemieckiej telewizji. Dlatego Anna Jones nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest „niewiedząca”, dopóki nie znalazła się w Berlinie. Tego wieczoru, gdy upadał mur berliński, była w akademiku i uczyła się prawa, ale potem wyszła, żeby coś zjeść. Barman w opustoszałym lokalu zdziwił się na jej widok.

– Wszyscy uciekli na zachód – poinformował.

– Wcale nie słyhać, że jest pani Niemką – stwierdziłam. – Myślałam, że pochodzi pani z Anglii.

– Prawie sama zaczęłam w to wierzyć.

Poczułam jakiś rodzaj wspólnoty. Obie coś za sobą zostawiłyśmy, znajdowałyśmy się na rozdrożu. Nie mogłam pozbierać myśli.

– Chyba muszę coś zjeść – oznajmiłam.

– Przepraszam, nie będę przeszkadzać.

– Ależ skąd, towarzystwo świetnie mi robi.

Wysłałam Danielowi SMS-a, informując go, że wrócę później, zgoniłam to na deszcz i zamówiłam sałatkę cesar. Anna Jones poprosiła o filiżankę herbaty.

– Sama pani widzi, nabrałam brytyjskich zwyczajów. Winnica, to brzmi interesująco – dodała. – Cóż, proszę wybaczyć, wchodząc tu, usłyszałam, jak państwo rozmawiali o szczepach winorośli... Dlaczego właśnie tutaj?

Opowiedziałam jej o ogłoszeniu, o chęci zmiany tej reszty życia, która jeszcze nam pozostała, wyruszenia w drogę i równocześnie zatrzymania się. O tęsknocie za życiem bliżej natury, co pewnie wiązało się z tym, w jak strasznym i niepojętym kierunku rozwija się świat. Słuchała mnie uważnie, lecz nie zadawała pytań. Chyba powiedziałam też coś więcej o moim mężu. Że potrzebował zmiany, jakiegoś projektu, którym mógłby się zająć.

– A pani też tego potrzebuje?

Czy tego potrzebowałam?

– To wszystko jest trochę jak sen – odparłam. – Nie do końca wydaje mi się prawdziwe.

Kiedy zapytałam ją o przeszłość, Anna Jones odpowiedziała grzecznie i z dystansem, jakby to dotyczyło kogoś innego. W Berlinie, po upadku muru i zjednoczeniu Niemiec, poznała Anglika, wkrótce urodziło im się dwoje dzieci. Mieli dom w północnym Londynie, Anna pracowała w firmie specjalizującej się w europejskim prawie gospodarczym.

– Więc kim jestem? Niemką, Brytyjką, Europejką? Kraj, w którym dorastałam, przestał istnieć. Między nami miało nie być granic. Teraz główna siedziba mojej firmy ma się przenieść z Londynu do Frankfurtu, mam dorosłych synów. Sąsiadka powiedziała mi pewnego dnia, gdy spotkałyśmy się u szewca tuż przed głosowaniem nad brexitem, że zdecydowanie nie chcą się pozbyć takich jak ja, my dear Mrs Jones, pracujących, zasymilowanych, których tak dobrze znają, ale kiedy nie będę już Mrs Jones, gdy moja praca zniknie, a ja przeprowadzę się do dzielnicy, w której nikt mnie nie zna, to kim wtedy będę?

Anna Jones powtórzyła cicho pod nosem, was bin ich? To były jedyne słowa, jakie usłyszałam od niej po niemiecku.

– I co wtedy powiedziałaś?

– O czym?

Kiedy wróciłam do domu tuż przed zmrokiem, Daniel miał na sobie strój treningowy. Spotkaliśmy się w przedpokoju przy wejściu do kuchni. Opowiedziałam mu o spotkaniu z Anną Jones, o tym, dlaczego zostałam tam tak długo i że zdążyli mi zamknąć sklep.

– Naprawdę wychodzisz? – spytałam. – W lesie musi być mokro.

– Większość deszczu wsiąka w ziemię.

– Powiedziałam jej tylko, że chcieliśmy coś zmienić w naszym życiu i poczuliśmy, że nadeszła odpowiednia pora.

– Okej. – Pochylił się i zasznurował buty do biegania. – A tak w ogóle, to wycyklinowałem podłogę w salonie.

– Całą?

– Tak.

Wyczułam w jego głosie pretensję, on klęczał na podłodze, cały w kurzu, podczas gdy ja popijałam wino. Pogłaskałam go po ramieniu.

– Nic o tobie nie mówiłam.

– Spoko. – Założył czołówkę. Na leśnych ścieżkach szybko zapada zmrok. Do najbliższej latarni było daleko, pół kilometra, stała w miejscu, gdzie szutrówka zamieniała się w asfalt, przy moście. – Chciałbym tylko wiedzieć, co ludzie o mnie myślą, skoro zaczęłaś się prowadzić z przyjaciółkami po mieście.

– To nie żadna przyjaciółka, tylko kobieta będąca tu przejazdem, spędziłyśmy razem chwilę w barze, bo padało.

Deszcz, który nie zależał ode mnie.

– Fajnie, że spotykasz się z ludźmi. – Daniel założył sobie na ramię specjalną opaskę na telefon. Czołówka świeciła ostrym białym światłem jak trzecie oko na jego czole. – Tylko chciałbym sam mieć wpływ na pierwsze wrażenie, jakie robię na ludziach.

– Nie musisz się martwić.

Po deszczu wszystko intensywniej pachniało, na pierwszy plan wybijał się zapach róż. Wydawało mi się, że czuję też tymianek. Daniel przyspieszył kroku, wbiegł w wysoką trawę i zniknął, pobiegł w górę w kierunku lasu.

Salon był pokryty piękną warstwą pyłu. Po cyklinowaniu uwypukliły się słoje w drewnie, mieniły się w ostatnich promieniach słońca. Lekko oniemiałam. To pomieszczenie sprawiło, że zapragnęłam kupić kryształowy żyrandol, na który oczywiście nie było nas stać. Część okien była jeszcze zasłonięta płytami izolacyjnymi. Okna sięgały od podłogi prawie po sam sufit, dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do półokrągłej kamiennej altany z widokiem na rzekę. Schody na piętro były wspaniałe, niesamowicie szerokie, takie, jakie widuje się w filmach. Lubiłam na nich siedzieć i wyobrażać sobie gości krążących po salonie z szampanem w kieliszkach, przy dźwiękach fortepianu, podczas gdy słońce zachodzi i robi się ciemno.

Wciąż czułam lekkie odurzenie winem, miałam ciężką głowę. „No i co takiego się stało, jeśli powiedziałam nieco za dużo obcej kobiecie

spotkanej w barze?” – pomyślałam.

Daniel potrzebował trochę czasu, tylko tyle. Świętego spokoju. W jego przypadku było inaczej, musiałam to zrozumieć. Duża część jego ego wiązała się z pracą, i trudno się dziwić – wszystko, co robił, było tak niezwykle ważne, wydawanie podręczników, wiedza dla przyszłych pokoleń, a mimo to zastanawiałam się, czy to utrata samej pracy była dla niego najgorsza, czy może to, że przestał być szefem w wydawnictwie.

„Po prostu bądź sobą – próbowałam go pocieszać – miałeś pecha, to się może przytrafić każdemu”, lecz Daniel wolał o tym nie rozmawiać albo gdy zaczynałam temat, mówił: „Nie będziemy tu za sobą ciągnąć tego gówna”.

Stare drewno zaskrzypiało, zadudniło. Pomyślałam, że to dźwięki tego domu, pracujące belki, a może wiatr coś ze sobą przyniósł. Brzmiało to bardziej jak pukanie. Jakby ktoś stukał do głównych drzwi prowadzących do dużego holu sąsiadującego z salonem. Przez żółto-czerwone szybki w drzwiach nic nie było widać. Pomyślałam, że może Daniel zapomniał klucza, może przez chwilę stał w drzwiach kuchni, a ja tego nie usłyszałam. Otworzyłam zapieczony zamek i kopniakiem rozwarłam drzwi.

Za nimi stał starszy mężczyzna, zdjął z głowy czapkę z daszkiem. Był wyższy ode mnie i prosty jak struna, miał na sobie koszulę zapiętą pod samą szyję i brązowy, rozpinany sweter. Dość zniszczone buty.

– Guten Abend – powiedział. – Bardzo przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Mówił po niemiecku, ale go rozumiałam, może dlatego, że wypowiadał słowa tak wolno. Jakby się wahał. Poinformowałam go, że zazwyczaj nie używamy głównych drzwi i dlatego tyle czasu zabrało mi ich otwarcie. Haupteingang, tak to się mogło nazywać? Brzmiało trochę pompatycznie.

Znowu mnie przeprosił, miałam wrażenie, że mu wstyd.

– Nazywam się Ján, Ján Kahuda.

Przedstawiłam się, a on ostrożnie podał mi rękę, jakby z wahaniem. Wydał mi się jakiś znajomy. Już go kiedyś widziałam, może w zajeździe. Mógł być jednym z tych mężczyzn grających w karty.

– W czym mogę panu pomóc? – spytałam.

Wbił wzrok w popękane kamienne schody. Tu i ówdzie wystawały z nich chwasty.

– Nie jestem już młody, ale jeśli potrzebują państwo pomocy w ogrodzie, przy przycinaniu róż... to dużo pracy.

– Bardzo miło z pana strony. – Nie bardzo wiedziałam, jak mam zareagować. Był pewnie po siedemdziesiątce, a może nawet po osiemdziesiątce. – Tylko nie wiem, czy nas stać na to, żeby kogoś zatrudnić.

– Byłem gminnym ogrodnikiem, nauczyłem się fachu od mojego ojca. Pracował tutaj. Dawno temu.

– Tutaj? Naprawdę? Przy uprawie winorośli?

– Alles – odparł mężczyzna. – Wino, ogród, róże... – Rozejrzał się, ale jedyne, co teraz można było zobaczyć przy dumnym głównym wejściu, to były chaszczki i chwasty.

– W takim razie może pan wie, jakie tu rosną szczepy – powiedziałam.

Wolno pokiwał głową i jakby przyglądał się czemuś za mną.

– Głównie müller-thurgau. Dawno temu także blauer portugieser i riesling. Jeszcze zanim rozpocząłem tu pracę. Chyba przed zarazą winorośli. Może pani o niej słyszała?

– Fantastycznie, musi pan wejść i mi o tym opowiedzieć.

Ján Kahuda szukał wzrokiem wycieraczki, w którą mógłby wytrzeć buty, wciąż stał w przedpokoju. Nie posprzątałyśmy w nim, wręcz przeciwnie, to właśnie tam wylądowały rulony tapet i puszki z farbami. Byłam podekscytowana, delikatnie mówiąc. W gminnych papierach właścicielem tej nieruchomości było miasto, nie figurowały w nich żadne nazwiska. Zapytaliśmy pośrednika nieruchomości, od jak dawna dom stoi pusty i kiedy zakończyła się produkcja wina, lecz w odpowiedzi usłyszeliśmy jedynie, że odezwie się w tej sprawie. Oczywiście tego nie zrobił.

– A więc pański ojciec musiał znać ludzi, którzy tutaj mieszkali – stwierdziłam.

– On tylko tutaj pracował.

– A czy pan sam był kiedyś w tym domu?

– Byłem tylko dzieckiem. – Ján Kahuda spojrzał w małe szybki, których kolory zlewały się ze sobą. W przedpokoju nie można było zapalić światła, bo żadna lampa nie działała. – Bawiliśmy się...

Zaśmiałam się.

– Tak, słyszałam o tym w zajeździe. Polowaliście na oddziały Werwolfu i bawiliście się w wojnę... A tak w ogóle, to nie był pan tam dzisiaj?

Chyba pana skądś kojarzę.

Mężczyzna kiwnął głową. Jego wzrok powędrował ku zniszczonym panelom i ozdobnym drzwiom, a potem w kierunku salonu. Zastanawiałam się, czy dostrzeże, jak to wszystko naprawdę wygląda, czy może ma przed oczami widok z przeszłości.

– Przykro mi – powiedział. – Mój niemiecki... dawno nie rozmawiałem. – Założył czapkę z daszkiem, poprawił ją jak mały chłopiec. – Muszę już iść, zrobiło się późno.

Powiedziałam, że chętnie skorzystam z jego usług, i poprosiłam, by wrócił za dnia.

– Może jutro? Chciałabym się wszystkiego dowiedzieć.

Na wszelki wypadek zostałam w przedpokoju, dopóki staruszek nie zszedł po schodach. Pierzaste chmury prawie całkowicie zasłaniały księżyc. Okazało się jednak, że starszy pan porusza się bez żadnych problemów. „Co za prezent” – pomyślałam, słysząc oddalające się kroki. Starszy ogrodnik i jego wiedza przekazywana z pokolenia na pokolenie, dokładnie tego potrzebowaliśmy. O wielu rzeczach nie miałam pojęcia. Jak na przykład o zarazie winorośli.

Zamknęłam drzwi na klucz.

Jána Kahudę pewnie ubawiłoby błędne przekonanie, że osiemdziesięcioletni Müller-Thurgau może być smakową sensacją. Pomyślałam, że może ojciec przekazał mu wiedzę na temat produkcji wina starymi metodami. Że mógłby nam powiedzieć, do czego używano tych wszystkich przyrządów, określić w czasie to, co dla nas po prostu było stare. Dom najprawdopodobniej zbudowano na przełomie XIX i XX wieku, ale murek przy bramie i inne szczegóły świadczyły o tym, że w tym miejscu już wcześniej znajdowało się jakieś gospodarstwo.

Przypomniało mi się to, co właściciel zajazdu powiedział o tunelach pod miastem, pochodzących z czasów czeskich królów. Około tysięcznego roku należeli do najpotężniejszych władców Europy. Jedna z królowych jako pierwsza uprawiała winorośl tak daleko na północy, na południowych zboczach rzecznych dolin.

Zakręciło mi się w głowie. Skoro tunelami pod ziemią transportowano żywność, to dlaczego nie wino? Zajęliśmy się piwniczką na wino, ale czy ona aby na pewno się tam kończyła? Przecież tam na dole stały taczki, wydawały się bardzo stare. Po co ktoś miałby je tam znieść, żeby potem

z nich nie korzystać? Przeczuwałam, że coś tam jeszcze jest, jakieś kręte korytarze.

Daniel biegał najczęściej aż do chwili, gdy zaczynały go palić mięśnie, więc wiedziałam, że wróci dopiero za jakąś godzinę. Czego właściwie miałam się bać? Wilkołaków?

Poszłam po latarkę.

Schodząc do piwnicy, czułam rosnące napięcie, pulsowało mi w skroniach, skórę miałam wyczuloną na dotyk, to było czysto erotyczne doznanie, kiedy ostrożnie, po omacku schodziłam po ostatnich wąskich stopniach i pozwalałam, by pochłonęła mnie góra.

W piwniczce na wino wciąż wyczuwało się rozczarowanie Daniela. Poświeciłam dalej wzdłuż skalnej ściany. Na środku korytarza stały taczki, duże i nieporęczne, z drewna i żelaza. Ostrożnie przeszłam obok nich. W ścianie za nimi dostrzegłam spoiwa, które skruszyły się przez lata. Nie było tam mokro i wilgotno, jak to sobie wyobrażałam, ale chłodno i sucho.

Na północy wznosiły się góry, na południu znajdowało się miasto. Jeśli naprawdę istniał tunel łączący winnicę z podziemnymi korytarzami, to musiał biec jeszcze głębiej, pod rzeką. Liczyłam kroki, wyobrażając sobie krajobraz nad ziemią. Poświeciłam w prawą stronę i poszłam za wiązką światła. Znajdowała się tam kolejna murowana, kamienna ściana, ale też nic. Ciemność za ciemnością.

Mogłam iść wyprostowana, lecz schyliłam głowę, żeby nie uderzyć nią w coś nieoczekiwanego, świeciłam sobie latarką pod nogi, by wiedzieć, gdzie stawiam stopy. Łukowe sklepienie było w tym miejscu niższe. Ciekawiło mnie, jak zareaguje Daniel, gdy wróci i mnie nie zastanie, gdzie będzie mnie szukał?

Korytarz miał szerokość moich rozłożonych ramion, nie był szerszy, lekko opadał. Pomyślałam, że jeśli zacznie skręcać i się rozwidlać, to zawrócę, nie chciałam się zgubić.

Nagle kamienna ściana po prawej stronie zniknęła spod mojej ręki. Zobaczyłam dużą dziurę, otwór, murowane sklepienie.

„To teraz powinnam zawrócić – pomyślałam – a nie skręcić”. Pochyliłam się do przodu i wyciągnęłam rękę, żeby powiększyć zasięg latarki, na ile się tylko dało. Jakiś boczny korytarz, jakieś pomieszczenie? Poczulałam, że jest trochę duszno, a powietrze bardziej skoncentrowane.

„Mogę zrobić jeszcze parę kroków” – przekonywałam w myślach samą siebie.

Na ziemi leżało kilka butelek po winie. Odnotowałam, że są puste. Było tu trochę wyżej. Przy ścianie znajdowało się kilka kawałków ciemnych desek. Stwierdziłam, że mogły być pryczą. To sprawiło, że pomyślałam o lochach. Zobaczyłam coś szarego. Czy to mogło być płótno workowe, tkanina? W głębi, gdzie światło przechodziło w mrok, zauważyłam coś jeszcze. Pomyślałam, że nie powinnam się zgubić, jeśli przejdę jeszcze kilka metrów. Wiązka światła wspinała się powoli od ziemi do sufitu, wchodziła coraz głębiej. Ściany były nieregularne, zaokrąglone, tu i ówdzie wystawały z nich jakiś kamień, ławka albo półka, a wszystko to chronił sufit, który ledwo widziałam. Latarka trzęsa się w mojej dłoni. Tknęło mnie, że być może elektryczne światło dociera tutaj po raz pierwszy. Wyobraziłam sobie płonące pochodnie, płomienie tańczące na ścianach. Potem stożek światła padł na coś z przodu.

Wstrzymałam oddech. Zrobiłam krok w przód, mocno ścisnęłam latarkę, żeby się nie trzęsa.

Ciało ledwo dało się zauważyć. Skóra zlewała się z kamiennym murem, z piachem na ziemi. Tak jakby przybrała ten sam blady, szarobrązowy kolor co kamienne pomieszczenie, może było bardziej szare od ziemi. Małe i kruche, skulone w pozycji embrionalnej.

Dziecko. To musiało być dziecko.

Nie czułam żadnego smrodu, tylko zimną woń piwnicy i ziemi. Jakby z ciała uszło życie i zostawiło po sobie wysuszoną skorupę.

Nie byłam w stanie się wycofać. Ostrożnie podeszłam bliżej, uklękłam, niczego nie dotykając. Oświetliłam coś, co kiedyś musiało być twarzą.

Tak nienaturalnie wychudzoną – wszystko, co znajdowało się pod skórą, jakby zniknęło, skóra na czaszce wyglądała niczym naciągnięty żagiel. Jakim cudem przetrwała, skoro nie było oczu? Szare, puste oczodoły zatopione w nicości, bez dna ani końca.

Nie mogłam przestać patrzeć. Sterczące kosmyki włosów na czole, resztki czegoś, co mogło być czapką. Czapką z daszkiem? Ile czasu musi minąć, żeby coś takiego się rozłożyło i zamieniło w proch? Żebra i kości biodrowe sterczały, mocne i ostre, jakby próbowały przebić się przez skórę. Czy to był chłopiec? Ze spodni zostały jedynie strzępy, przebijały się przez nie piszczyle, na stopach para trzewików. Sznurowadła prawie

się rozpadły, ale większość skóry i podeszwy były całe. Cienkie kości wyglądały jak kości ptaka.

Kiedy wsparłam się o ziemię, żeby wstać, skaleczyłam rękę czymś ostrym. Nie krzyknęłam, ale upuściłam latarkę. Zgasła. Był we mnie jakiś dźwięk, którego nie mogłam z siebie wydobyć. Szukałam po omacku na ziemi, wśród piachu i kamieni, natrafiłam na kawałki butelki, którymi się wcześniej skaleczyłam, aż w końcu znalazłam latarkę. Próbowałam ją włączyć, uderzyłam nią nawet lekko o ziemię, ale nic z tego.

Oddaliłam się od dziecka, wyczołgując się do tyłu, próbowałam zawinąć rękę kawałkiem rozpinanego swetra, żeby zatamować solidne krwawienie. Jakoś udało mi się wstać. Cofałam się dalej, aż poczułam za plecami twardy kamień, co oznaczało, że wróciłam do tunelu. Ciemność nie miała koloru, po prostu była. Wpadłam na taczki, które nagle przede mną wyrosły, poczułam napór drewna i żelaza. Wtem zobaczyłam jakieś cienie, światło latarki w piwnicy powyżej, które powoli schodziło w dół i wreszcie do mnie dotarło. Zauważyłam płamę powiększającą się na mojej dłoni, poczułam pulsujący ból. Gdzieś daleko wołanie Daniela.

– Sonja? Gdzie ty, do cholery, jesteś?

ZAPISKI, OBSERWACJA

NOC Z NIEDZIELI NA PONIEDZIAŁEK, 5.50

Porozrzucane rzeczy. Wysunięta szuflada, wszystko w nieładzie.

On siedzi na łóżku.

Mamrocze pod nosem.

Pod lipą, we wrzosie

miejsce wytchnienia

Co to za pieśń?

To tylko stara piosenka.

Co jest dalej? Pod lipą, we wrzosie...

...miejsce wytchnienia,

pod lasem w dolinie,

gdzie słowika pienia.

Ktoś ci to śpiewał?

Dlaczego pytasz?

Kim jesteś?

Czy to ty, Julio?

Drugi samochód wjechał na podjazd zaraz po lunchu. Dwóch mężczyzn z metalowymi walizkami i noszami, które znieśli po schodach, reflektory, które pomogliśmy im podłączyć do działającego gniazdka. Przedłużacze przecinały podłogę wzdłuż i wszerz. Nie wiem, co robili tam na dole. Nie wolno nam było schodzić do piwnicy.

Podejrzewałam, że robią to, co technicy policyjni, rzeczy, które tysiąc razy widziałam na różnych filmach. Cykają zdjęcia i pobierają próbki do analizy.

Czy to było miejsce zbrodni?

Daniel krążył nerwowo po kuchni, zatrzymał się i wypił szklanekę wody, zrobił kolejne okrążenie.

– Kiedy nam w końcu coś powiedzą?

Wyjęłam mąkę, cukier i masło, musiałam się czymś zająć, podczas gdy miejscowa policja przeczesywała nasz dom. Zostawiali ślady butów w całej kuchni.

Wymyśliłam, że coś upiekę. Zapach babki. Dla przeciwwagi.

– Ciekawe, kiedy nas w końcu przesłuchają? – powiedział Daniel.

Rozmawialiśmy ściszym głosem, chociaż nikt nas nie rozumiał. Nie wiem, dlaczego miałam coś w rodzaju poczucia winy. Po wejściu do domu starszy z policjantów, jak podejrzewałam przełożony, przystanął i przyjrzał się wyburzonej ścianie. Gesty i lakoniczny angielski, na tyle mogliśmy liczyć. Młodszy policjant, który trochę lepiej mówił po angielsku, wspomniał coś o tłumaczu, ale nie powiedział, kiedy ewentualnie się pojawi. Jak tylko pokazaliśmy, gdzie leży ciało, kazano nam opuścić to miejsce. Police work.

Utarłam jaja ręcznie, żeby nie robić hałasu.

– Pewnie im się nie spieszy – stwierdziłam. – Przecież nic nie wiemy. Chyba nie widzieliśmy niczego, czego oni nie mogliby zobaczyć na własne oczy?

– To mi się po prostu wydaje trochę dziwne, że zakładają, że nie mamy z tym nic wspólnego. Jakkolwiek by na to patrzeć, to nasza piwnica.

– Skąd mamy to wiedzieć, skoro jej nie ma na żadnym rysunku?

– Ciekawe, ile miał lat? – Daniel wyjrzał przez okno. Zachowywał się tak przez cały dzień, skakał z tematu na temat. – Co myśli sobie dziecko, które wczługuje się do tunelu? Wiedział, że to ślepy tunel?

Trudno było powiedzieć. Nie znaleźmy odpowiedzi. Pomyślałam o wojnie, komunizmie, winie rocznik 1937. Czy to się stało przed trzydziestym siódmym, czy po, a może jeszcze wcześniej?

Wiedziałam, że Daniel zrobił zdjęcia, gdy w końcu mnie znalazł w piwnicy i doszłam do siebie, gdy obmyliśmy i opatrzyliśmy moją ranę, napiłam się wody, włożyłam grube skarpety i opatuliłam się kocem. Wczesnie rano, kiedy spałam, zszedł na dół i zobaczył to, co wcześniej zobaczyłam ja.

– Widziałeś te butelki? – spytałam.

– Jakie butelki?

– Te leżące obok. O które się skaleczyłam. Jeśli to ten sam rocznik, to nie mógł tam leżeć przed tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym rokiem.

– Zastanawiałem się bardziej, ile miał lat w chwili śmierci. Dziesięć?

– Może, albo jakieś jedenaście, dwanaście... – Odległość między mną a moimi dziećmi stała się namacalna, gdy pomyślałam o tym tak konkretnie. Elmer po drugiej stronie Atlantyku, My pod kołem podbiegunowym. Minęła cała wieczność od czasu, gdy były takie małe, a mimo wszystko to było tak niedawno. Zadzwoiłam do nich i nagrałam się z prośbą o to, by się odezwali.

– Niech to szlag. – Daniel naciągnął palce u rąk, tak że aż chrupnęło w stawach, nawyk, którego się nabawił w ostatnim roku. – To bez znaczenia, że to było sto lat temu. Ktoś musiał go szukać.

Rana na mojej ręce pulsowała. Czasami docierały do nas ciche głosy mężczyzn, ale nie bardzo mogliśmy je zlokalizować.

Na policję zadzwoniliśmy dopiero rano, po kilku godzinach niespokojnego i przerywanego snu. Nawet jeśli w grę wchodziło przestępstwo, to dziecko musiało tam leżeć bardzo długo. To, że pozwoliliśmy słońcu wzejść, niczego nie zmieniło. Teraz znowu świeciło i było równie gorąco jak przed deszczem. Zieleń wydawała mi się bardziej intensywna i bujna w porównaniu z poprzednim dniem. Pewnie to tylko zasługa deszczu, ale i tak przywołało to wspomnienia dni po śmierci mojej mamy. Siedziałam i trzymałam ją za rękę, gdy z trudem oddychała, aż w końcu po raz ostatni nabrała powietrza. Kiedy od niej wyszłam,

oniemiałam na widok otaczającej mnie przyrody, natura mnie oślepiła. Wydaje mi się, że to, co wtedy wyczuwałam, to była bliskość śmierci. Coś otworzyło się przede mną na oścież, jakieś przejście. Trwało to przez jakieś czternaście dni. Potem świat stał się taki jak wcześniej, bledszy i trochę bardziej głuchy.

Pokruszyłam herbatniki digestive i wyłożyłam nimi formę. Daniel długo stał w milczeniu przy oknie, tym wychodzącym na rzekę.

– Spójrz, a niech mnie, ludzie już zaczynają się zbierać – powiedział.

– Co?

– Czy to się już rozniosło? Nie będziemy mieli chwili spokoju.

Podeszłam do okna. Pod ogromną lipą, na górcie schodzącej w stronę rzeki stał mężczyzna, kompletnie bez ruchu. Wyprostowany, lecz jego sylwetka nie zdradzała wieku. Opierał się ręką o pień drzewa.

Ogrodnik. Zapomniałam o nim. Poprzedniego wieczoru opowiedziałam Danielowi o wizycie Jána Kahudy, o tym, że poprosiłam go, by jeszcze do nas zajrzał.

– Lepiej mu o tym nie wspominać – oznajmił Daniel, gdy wkładałam buty, by wyjść na dwór. – Nie nam decydować, co możemy upublicznić, a czego nie.

Usłyszałam miauczenie. Kotka się schowała, gdy na terenie posesji pojawili się obcy, i kompletnie zapomniałam o śniadaniu dla niej. Zobaczyłam policyjne radiowozy niedbale zaparkowane na trawie.

Ogrodnik wciąż stał pod lipą, na żółtym dywanie. Wokół niego rozpościerały się mniszki lekarskie i jaskry.

– Co się stało? – spytał, gdy do niego podeszłam.

– Dokonaliśmy w piwnicy pewnego odkrycia – odparłam. – Ale wszystko jest w porządku. Policja chciała na to spojrzeć, więc zrobiło się małe zamieszanie.

– Mogę przyjść innego dnia.

– Tak czy owak, możemy się przejść po ogrodzie.

– Sam nie wiem...

– Spacer dobrze nam robi.

Poprosiłam go, żeby zaczekał, a sama poszłam do domu po puszkę z kocim jedzeniem, nie mogłam już zdzierżyć tego uporczywego błagania Madame Bovary. Daniel zasugerował, bym została w domu, „ktoś przecież musi mieć nad tym kontrolę” – oświadczył, kiwając głową w stronę schodów do piwnicy.

To była przyjemność: móc zaczerpnąć świeżego powietrza, poczuć słońce na skórze, usłyszeć buczenie trzmieli. Ogrodnik przeprosił z zażenowaniem za chwasty, jakby to była jego wina. Zatrzymał się przed wspaniałymi różowymi i herbacianymi różami przy szczytowej ścianie budynku po lewej stronie.

Z namaszczeniem wymieniał ich nazwy: Rose de Rescht i Rosa serafini, Comte de Chambord, och, cóż za nazwy! Souvenir de la Malmaison i Rosa Mundi, cudowna, różowo-czerwona. Należy je przycinać tuż po ustąpieniu przymrozków, zanim drzewa wypuszczą liście na wiosnę. Ostrożnie pogłaskała różę, której wcześniej nie widziałam, jasnoróżową na końcach i ciemniejszą, prawie purpurową, w samym środku. Jak dla mnie pachniała trochę zbyt słodko, jak miód i masło.

– Róża habsburska – poinformował. – Podobno została przywieziona z cesarskiego ogrodu w Wiedniu i posadzono ją w prezencie ślubnym.

– Kiedy? Dla kogo?

Przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego.

– Tak twierdził mój ojciec. Nazywał ją Cesarzową, ale to nie jest jej prawdziwa nazwa. Żadna róża tak się nie nazywa. Przykro mi.

Ján Kahuda szedł dalej w coraz to wyższej trawie, w górę, w kierunku lasu, wydeptywał nową ścieżkę lub przecierał tę zarośniętą, która już tu była. Podczas tego spaceru stwierdził, że tutejsze góry i gleba są pełne minerałów. To daje winu charakterystyczny smak, zwłaszcza białemu.

Minęliśmy wyburzony niewielki budynek, prawdopodobnie kanciapę ogrodnika. Krzaki i chaszczki poprzerastały to, co zostało z ceglanych ścian, w środku ruin drzewo zapuściło korzenie. Pod nieobecność dachu liście chroniły to, co już przeminęło.

Ján Kahuda zatrzymał się przy małym zagajniku klonów, gdzie trawa była usiana białymi stokrotkami. Powiedział, że to najbardziej wartościowe drzewa w tych lasach, wycinano je do produkcji instrumentów smyczkowych w fabryce w Luby. Popukał w jeden z pni i kazał mi przyłożyć do niego ucho. Jeśli się człowiek wsłucha, to może usłyszeć, jak przenosi dźwięk i rezonuje. On niestety miał kiepski słuch z powodu przebytego w przeszłości zapalenia prawego ucha. Ja usłyszałam tylko puknięcie w drzewo, ale i tak sprawiło mi to przyjemność. Poczułam się częścią przyrody, miałam wrażenie, że wyczuwam jego korzenie. To, co wydarzyło się nocą, było odległe, jakby przytrafiło się komuś innemu. Czy nie za tym tęskniłam, by zbliżyć się do

czegoś pierwotnego, uciec od powierzchownego pośpiechu? Ogrodnik posługiwał się tym swoim powolnym i rozwlekłym niemieckim, zdawało się, że szuka każdego słowa i stara się, bym go zrozumiała. Nazywał otaczającą mnie rzeczywistość. Drzewo było nie tylko drzewem.

Dotarliśmy do upraw winorośli rozciągających się na zachód, szliśmy zboczem w kierunku gór. Tu i ówdzie, wśród mniszka lekarskiego i dziko rosnącej trawy, wystawały poskręcane i zdrewniałe korzenie winorośli, brązowe i sękaty. Ledwo można było dostrzec rosnące tutaj kiedyś równe rzędy winnej latorośli.

– Można je reanimować, jak pan sądzi? Czy trzeba posadzić nowe?

Ján Kahuda ukląkł i odgarnął chwasty, by odsłonić korzeń, zniekształcony mały kikut, poskręcany i pomarszczony, prawie czarny, z połamanymi odnogami, pędami, które nie wyrosły albo obumarły.

– Nie wiem – odparł, wyrывая garść chwastów, które odrzucił z nagłą złością. – Naprawdę nie wiem.

Powiedział mi, że do majątku należało więcej ziemi, dalej na zachód, lecz po wojnie została właścicielom odebrana, prawdopodobnie dlatego, że znajdowały się tam złoża węgla. Prasy do winogron i pozostały sprzęt wywieziono, nie wiedział dokąd.

– Powinniście zachować ostrożność, jeśli chodzi o uprawę bliżej rzeki – poinformował. – Przykro mi, ale odradzam grzebanie w ziemi w tamtym miejscu.

Mówił o truciznach spływających do rzeki z najbardziej skażonych terenów w Czechach, kopalni węgla i fabryk chemikaliów, które w czasach komunizmu powstały na terenach przygranicznych, nie wspominając o wydobyciu uranu w Jáchymovie. Powiedział, że trzydzieści lat temu to była kraina martwych lasów. Ale przyroda i roślinność mają niesamowitą żywotność. Pewne gatunki roślin powstały jakby z martwych i pojawiły się nowe, nie wiadomo skąd, może spoczywały głęboko w ziemi albo zostały przyniesione przez ptaki i na nowo zapuściły korzenie.

W drodze powrotnej, gdy ja czułam coraz większe przygnębienie, on snuł swoją opowieść o rzece, tym spokojnie płynącym, zdradzieckim błękicie – w jaki sposób łączy się z Łabą i na południu nawet z Wełtawą, która dała początek najpiękniejszej muzyce. O wodzie, która dzieliła z nią tajemnice, dopływie bez nazwy.

Ściemniało się? Nadciągały chmury czy tylko mi się wydawało? Pomyślałam, że nie mogę powiedzieć Danielowi, dlaczego nie możemy tam kopać w ziemi, wściekłyby się, wycofałby się z kupna posiadłości, oskarżałby się.

– Musieli się wynieść – dodał Ján Kahuda.

– Słucham?

Nie patrzył na mnie, tylko w kierunku miasteczka, skupiska dachów o różnych kątach nachylenia.

– Niemcy. Po wojnie nikt ich tu nie chciał. Później wprowadzili się tutaj obcy ludzie. Robotnicy albo złodzieje, z tego co wiem, nie znali się na winorośli, zbierali winogrona nie wtedy co trzeba. Dość szybko się wynieśli.

– Czy winnica od tamtego czasu była opuszczona?

– Czasami tu zaglądałem. Mieszkam tam dalej, po drugiej stronie rzeki.

– Wskazał palcem samotny dom nad czerwonym pasem maków przy plaży, niewielki, skąpany w zieleni ogród. – Mój ojciec nie chciał, żeby róże umarły, kilka z nich to naprawdę rzadkie gatunki.

Przy bramie powiedzieliśmy sobie do widzenia i uzgodniliśmy, że będzie codziennie przychodził na kilka godzin. Pomoże nam wyrwać chwasty wokół domu, zrobi rabatki, zdecyduje, co należy wyrzucić, a co zostawić. Wynagrodzenie, które zaproponowałam, było według niego zdecydowanie za wysokie, odniosłam wrażenie, że równie dobrze mógłby pracować za darmo.

Kiedy szedł w kierunku swojego domu, dostrzegłam poruszenie w wysokiej trawie, to była płochliwa kotka. Szła za nim w dół zbocza i kawałek drogą. Tuż za granicą działki zawróciła i znowu zaszyła się w polnych kwiatach.

Usłyszałam za plecami męskie głosy. Odwróciłam się i zobaczyłam dwóch policjantów z noszami. Daniel stał w drzwiach. Ciało było teraz przykryte. Trzaśnięcie drzwi samochodów przez jakiś czas niosło się echem. Radiowozy wolno mnie minęły i odjechały.

Wcześniej powiesiłam w oknach jasne zasłony, ale nie było wiatru, na którym mogłyby powiewać. Powietrze stało, jakby czas czekał razem z nami. Nie pamiętam, co robiliśmy następnego dnia i kolejnego. Malowaliśmy tu i ówdzie i czekaliśmy, przypominam sobie dźwięk szlifierki i pytania, które w końcu wypełniły każdy zakamarek domu. W piwnicy wciąż wisiały taśmy policyjne. Dzwoniliśmy tam wiele razy, ale nawet nie połączono nas z odpowiednią osobą.

Dzieci przysyłały wiadomości z pytaniami, na które nie umiałam im odpowiedzieć. Kim był? Czy został zamordowany? Nie boisz się tam teraz spać?

Trzeciego dnia w drodze na zakupy skręciłam na rynek. To była jedyna część miasteczka, którą widzieliśmy przed przyjazdem tutaj, na zdjęciach w Internecie. Wszyscy fotografowie zdawali się stać w tym samym miejscu, przy zamurowanej studni na samym środku rynku, z obiektywem skierowanym na rząd małych średniowiecznych kamieniczek z arkadami, otynkowanych na ciepłe, pastelowe kolory, niebieski, żółty i pomarańczowy, przerwany szachulcowym budynkiem, w którym kiedyś mieścił się Grand Hotel, i dlatego wyobrażałam sobie romantyczne, dobrze zachowane miasteczko, tajemniczą perłę w środku Europy, z mansardowymi dachami pokrytymi dachówką, ornamentami oraz sztukateriami i zegarem z cyframi rzymskimi na ratuszowej wieży. Pod jej dobrze zachowanym łupkowym dachem panowała cisza, która sprawiała, że każdy dźwięk niósł się echem; wiedziałam o tym, odkąd przyjechaliśmy tu, by podpisać umowę kupna winnicy.

Komisariat policji znajdował się w budynku obok. Oryginalne drzwi zastąpiono drzwiami antywłamaniowymi, a wystrój zmieniono w latach pięćdziesiątych, pojawiły się dębowe szafy i drewniane listwy, tapety w odcieniu brązu i beżu.

Mężczyzna w dyżurce nie miał na sobie munduru. Nie mówił w żadnym zaproponowanym przeze mnie języku, ale gdzieś podzwonił i w końcu podał mi słuchawkę. Usłyszałam kobiecy głos mówiący po angielsku. Kobieta nalegała, żebym wypełniła jakiś formularz, prawdopodobnie

myślała, że chcę zgłosić kradzież. Tak pewnie powiedział jej mężczyzna z dyżurki, ponieważ to dlatego najczęściej przychodzili tutaj ludzie. Musiałam wyjaśniać trzy razy, o co mi chodzi.

– A więc chce pani zgłosić zgon?

– Nie, nie, ten chłopiec nie żyje od dawna.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego pani tutaj dzwoni.

– Ktoś miał się z nami skontaktować, ale nikt nie odezwał się do nas od wielu dni.

– Czyli nie chce pani dokonać zgłoszenia?

– Już to zrobiliśmy. Musicie mieć to w papierach, nie wiem, kto prowadzi dochodzenie.

– To nie mój wydział.

Poprosiłam, żeby przekazała mój numer, ale nie wierzyłam, że to zrobi.

Wypiłam kawę, siedząc w cieniu przy chwiejącym się stoliku przed sklepem z wyrobami tytoniowymi. Ludzie przechodzili przez rynek w drodze do domu albo z domu, jakieś kobiety z torbami na zakupy zebrały się w małą grupkę pod arkadami. Próbowałam przetłumaczyć kilka nagłówek gazet, korzystając z aplikacji w telefonie, przykładało się go do tekstu i otrzymywało automatyczne tłumaczenie. Rzadko rozumiałe. Ciekawiło mnie, czy pojawiła się jakaś wzmianka o chłopcu.

Wychodząc z rynku, weszłam w jedną z ciasnych uliczek na jego tyłach, gdzie mało kto się zapuszczał i robił zdjęcia. Znajdował się tam sklep żelazny, przez ścianę z małą księgarnią, która zawsze była jakby zamknięta. Na drzwiach wisały kartki z odręcznie napisanymi informacjami w stylu „Będę po czwartej” albo „Przepraszamy, dziś jest zamknięte”. W oknie wystawowym zawsze widziałam tylko książki po czesku i dochodziłam do wniosku, że mimo wszystko nie są dla mnie. Teraz przed księgarnią stał stojak z kolorowankami i widokówkami, a przez otwarte drzwi słychać było muzykę, coś klasycznego i niepokojąco znajomego. Nie mogłam wpaść na to, co to takiego, więc przystanęłam. Dźwięk smyczków wypełnił niemłodą już uliczkę, na której kamieniczki chyliły się ku sobie, przenosząc mnie w przeszłość. Księgarnia wydawała się stara, z regałami od ziemi aż po sam sufit i żyrandolem z początku ubiegłego wieku. Nieżyjący chłopiec mógł się snuć tymi uliczkami, możliwe, że wtedy wszystko wyglądało podobnie.

Potem rozpoznałam klientkę stojącą przy kasie, plecami do mnie, miała na sobie tę samą marynarkę. Anna Jones odwróciła się, gdy weszłam do

środką, i po kilku sekundach uśmiechnęła się do mnie.

– Dzień dobry, znowu się spotykamy.

Sprzedawczyni podała mi rękę i przedstawiła się jako Martha, miała krótko ostrzyżone włosy i była ubrana na czerwono, nosiła też ładne okulary połyskujące na niebiesko.

– Sonja kupiła tutaj winnicę – poinformowała Anna Jones.

– Tę po drugiej stronie rzeki? Odważnie. Ma pani zamiar wskrzesić tradycję?

– Możliwe – odparłam i spojrzałam na regały. – Ale najpierw muszę się trochę podszkolić... Ma pani jakieś książki o uprawie winorośli albo po prostu o tej okolicy, po angielsku lub niemiecku? – Książka o winie, we wspaniałej szacie graficznej, którą dostałam w prezencie, gdy odchodziłam z pracy, okazała się mało przydatna.

Martha weszła w głąb sklepu, żeby się rozejrzeć, wyjęła drabinę i wspięła się pod sam sufit.

– Nie widziałam pani przez kilka dni – powiedziała Anna Jones, wkładając widokówki do torebki. – Pewnie miała pani mnóstwo roboty?

– Tak... to znaczy nie – odparłam. – Nie zrobiliśmy zbyt wiele. Właściwie to prawie nic.

Dopiero teraz poczułam, jaka jestem w tym wszystkim samotna. Chciałam o tym opowiedzieć, zrzucić z siebie ten ciężar.

Ściszyłam głos, żeby tylko ona mogła mnie usłyszeć. Anna Jones słuchała mnie w skupieniu. Drgnienie powieki, gdy opisywałam piwnicę i ciało chłopca, coś w jej oczach, to wszystko.

Cisza, gdy zamilkłam.

– Nie wiem, czy policja coś robi – oznajmiłam. – Czy to uzasadniona obojętność, nawet jeśli to było dawno temu? Czy mimo wszystko nie należałoby oddać mu sprawiedliwości?

– To może trochę potrwać – stwierdziła Anna Jones. – Analizy tego rodzaju rzadko są łatwe. Cóż, proszę wybaczyć, jestem prawniczką, choć to nie moja działka. To złożony proces, trzeba na przykład ustalić, z jakiego czasu pochodzą tekstylia, poziom rozkładu szkieletu. Przeprowadzić identyfikację. Nie ma materiału DNA do porównania, więc podejrzewam, że muszą sięgnąć do materiałów historycznych, przeszukać archiwa. Przed wojną znikali tysiące ludzi... I zdaje się, że żadne z tych materiałów nie zostały zdigitalizowane, o ile w ogóle są...

– Nie wiem, co robić, mam wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Nawet nie wiemy, czy możemy schodzić do piwnicy ani czy ona w ogóle jest nasza.

Anna Jones przyglądała mi się w milczeniu.

– Nie jest to zapisane w umowie kupna?

– Nie sądzę. Nie wiem.

Opowiedziałam jej o zepsutym kserze w urzędzie gminy, że nie dostaliśmy wszystkich dokumentów dotyczących winnicy.

– Brzmi to dziwnie – stwierdziła Anna Jones.

– Ale znajomo – podsumowała Martha, która zdążyła zejść z drabiny i usłyszeć końcówkę naszej rozmowy. Wręczyła mi mały przewodnik z międzynarodowej serii. – Pewnie na niewiele się zda, piszą głównie o zabytkach, kościołach i takich tam. Jak tylko znajdę chwilę, to poszukam czegoś więcej.

– Wezmę go.

Anna Jones zdążyła wyjść, podczas gdy płaciłam za książkę. Martha dała mi swoją wizytówkę i poprosiła, żebym zajrzała do księgarni za kilka dni.

– Nie zawsze tu jestem, więc proszę zadzwonić, uczę muzyki w szkole i mam jeszcze trochę innych zajęć. Z tego nie da się wyżyć. – Wykonała gest w kierunku regałów z książkami, nie widać było innych klientów. Znowu uświadomiłam sobie, że słyhać muzykę, grała coraz głośniej.

– Co to za muzyka?

– Symfonia Faustowska Ferenc Liszta.

– Wydawało mi się, że skądś to znam, ale chyba się myliłam.

– Na pewno znajdę dla pani coś interesującego – oznajmiła Martha. – Ta księgarnia istnieje od ubiegłego wieku, z krótkimi przerwami rzecz jasna, w piwnicy jest sporo ciekawych rzeczy.

Wyszędłszy z księgarni, zobaczyłam Annę Jones. Jakby na mnie czekała. Paliła cygaretkę. Wcześniej nie widziałam, żeby paliła.

– Jeśli chcieliby państwo o coś zapytać, z czysto prawnego punktu widzenia – powiedziała – to mogę do was wpaść.

– Do nas do domu? – Pomyślałam o Danielu i o tym, co powiedział o rozmowach z przyjaciółkami.

– Fajnie byłoby zobaczyć to miejsce – oznajmiła. – Zanim stąd wyjadę.

– Mój mąż nie chce, żebym o tym mówiła – przyznałam. – Boi się, żeby to nie wypłynęło do mediów.

Dym z jej cygaretki wił się do góry w kierunku kalenicy dachu i rozwiewał, jego zapach przypominał mi mojego ojca.

– To była tylko luźna propozycja.

– Kiedy pani wyjeżdża?

– Mam pokój jeszcze na jedną noc.

Daniel właśnie wstał i pił kawę w samych bokserkach, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Ja też tego dnia zostałam trochę dłużej w łóżku. Między nami było jakoś spokojniej, ponieważ przed chwilą kochaliśmy się, dość szybko i mechanicznie, ale jednak.

Za drzwiami stała Anna Jones i wyglądała jeszcze bardziej nienagannie niż zwykle. Sama czułam, że się kleję i jestem potargana, lecz przynajmniej zdążyłam wskoczyć w sukienkę.

– Proszę wybaczyć, może przyszedłam za wcześnie – powiedziała.

– Nie, nie, żaden problem, proszę tylko chwilkę poczekać, powiem mężowi, o co chodzi.

Kiedy opowiedziałam Danielowi, że poznałam prawniczkę specjalizującą się w prawie gospodarczym, zgodził się, by weszła, stwierdził nawet, że to dobry pomysł. Zniknął w pokoju, żeby się ubrać, a ja przeciągnęłam szczotką po włosach, nie widząc, jak wyglądam. W domu nie mieliśmy luster, nawet w łazienkach, to nie była rzecz pierwszej potrzeby.

Usterki stały się wyraźniejsze, gdy Anna Jones weszła do środka, jakby ktoś skierował na nie światło reflektora. Deski podłogowe zaatakowane przez czas i wilgoć, tynk odpadający z murowanego komina. Ściany jakieś krzywe. Teraz, gdy wiedziałam, że ziemia pod nami jest wydrążona, bardziej mnie to niepokoiło, śniło mi się, że wpadamy do tych korytarzy.

– Wiecie, kto tutaj przed wami mieszkał? – Anna Jones rozejrzała się dyskretnie.

Chciałam, żeby powiedziała coś miłego o potencjale tego domu, dobrze zachowanych oryginalnych elementach.

– Najprawdopodobniej aż do wojny mieszkali tutaj Niemcy – odparłam, relacjonując to, co powiedział mi ogrodnik. – Ale w gminie nie ma żadnych informacji na temat tego, kiedy wyprowadzili się stąd ostatni właściciele.

Zaproponowałam, że oprowadzę ją po domu, podczas gdy Daniel się ogarniał. Anna Jones zatrzymała się przy jednym z wysokich okien

w salonie. Słoneczne światło załamywało się na nierównych szybach.

– Gdzie pani znalazła tego chłopca?

– Pod ziemią niełatwo się zorientować, gdzie się dokładnie jest, ale wydaje mi się, że to było bliżej rzeki, może na wysokości bramy – odparłam, wskazując palcem w tamtym kierunku, pozostały z niej jedynie kamienne słupy i kawałek murku. Odpoczywała na nim bursztynowa kotka. Opowiedziałam Annie Jones o podziemnych korytarzach używanych przez setki lat jako droga transportu i kryjówka na broń.

– Chciałabym je zobaczyć – oznajmiła Anna Jones.

– Niestety wydaje mi się, że nie możemy zejść na dół. Taśmy policyjne...

– A tak, wspominała pani o tym.

Wchodząc na górę, delikatnie pogłaskała poręcz.

– Ładne rękodzieło – stwierdziła. – Szlachetne drewno, ciekawe jakie.

Zapamiętałam, by zapytać o to starszego ogrodnika. Ściany na piętrze były drugi raz pomalowane na popielato, oprowadzałam ją po pokojach i opowiadałam o tym, że mamy w planie zrobić pokoje gościnne, i zaprosiłam ją, jeśli tu wróci. Na początku wystrój miał być skromny, najważniejsze było, żeby wystartować z wynajmem. Zostały nam jeszcze pieniądze ze sprzedaży domu w Sztokholmie, miały nam wystarczyć na przeżycie co najmniej roku, ponieważ tak tanio kupiliśmy winnicę, ale potem musimy zacząć zarabiać.

W sypialni, która miała być nasza, Anna Jones podeszła do okna, stała przez chwilę w milczeniu. Powiedziałam coś o widoku, lecz wyglądało na to, że mnie nie słuchała.

– Co to za drzewo? – spytała.

– Lipa. – Górowała samotnie i majestatycznie nad ostatnim zboczem schodzącym do rzeki. Wyobraziłam sobie pomalowaną na niebiesko ławkę, cień i promienie słońca przenikające przez liście pod rozłożystą koroną. – Robi wrażenie, prawda?

Chyba nie odpowiedziała.

Kiedy zeszliśmy na dół, Daniel zdążył już zaparzyć świeżą kawę. Przywitali się, uścisnęli sobie dłonie.

– Gratuluję – powiedziała Anna Jones. – Piękna posiadłość.

Śniadanie wciąż stało na stole, lecz Anna Jones poprosiła tylko o filiżankę herbaty. Kuchenne krzesło zachwiało się, gdy na nim usiadła.

– Słyszałam, że kupili ją państwo w dobrej cenie – dodała. – Może dlatego, że bezpośrednio od miasta?

– Jak tylko podpisaliśmy dokumenty, to na chwilę nam je zabrali, miał je podpisać burmistrz – powiedział Daniel. – Ale pewnie był zajęty. – Znalazł w komórce zdjęcia niektórych dokumentów i pokazał je Annie. – Ksero było zepsute, lecz mieli nam natychmiast przysłać kopie wszystkich papierów. Mejlowałem, sam już nie wiem ile razy.

– Może są na urlopie – zasugerowałam.

Anna Jones otworzyła swoją teczkę i wyjęła okulary do czytania.

– Obawiam się, że nie znam czeskiego.

Daniel aktywował funkcję tłumaczenia w swojej komórce i tekst zmieniał się na jej oczach.

– Czy to się w ogóle trzyma kupy z prawnego punktu widzenia? – spytał.

– Trudno zinterpretować prawniczy tekst, jeśli nie jest poprawnie przetłumaczony.

Spytała, czy Daniel może jej przesłać zdjęcie umowy, żeby mogła na nią spojrzeć na spokojnie. Daniel zapisał sobie jej numer i przesłał zdjęcia, w teczce cicho zawibrowało, gdy dotarły.

– Nie wiem, czy nas stać na prawnika. – Daniel zaczął się stresować, słyszałam to napięcie w jego głosie, te nerwy.

– Może to nie będzie konieczne – oznajmiła Anna Jones. – Może chodzi tylko o biurokrację. Zmiana zwyczajów trochę trwa, wychowałam się w takim miejscu jak to.

Poprosiła, żebyśmy jej opowiedzieli ze szczegółami, jak doszło do kupna winnicy, spytała o datę i o to, jak było sformułowane ogłoszenie i czy jeszcze je mamy. Z Internetu oczywiście już dawno zniknęło, ale Daniel tyle razy je czytał, że znał tekst na pamięć. Było krótkie i bezpretensjonalne, żadnych pustych frazesów na temat widoku na rzekę, wysokości pomieszczeń i witrażowych okien, tylko powierzchnia i liczba pomieszczeń.

Zrobiłam sobie jeszcze jedną kanapkę, chociaż nie byłam głodna, przyzwyczajenie, żeby jeść, gdy jedzenie jest na stole. Robiąc notatki, Anna Jones spytała, czy porównaliśmy ceny innych winnic, czy zauważyliśmy, żeby sprzedającemu się spieszyło. Od dnia, gdy Daniel znalazł ogłoszenie, do dnia kupna winnicy minęły niecałe dwa tygodnie.

Pośrednik nieruchomości dał nam jasno do zrozumienia, że powinniśmy się pośpieszyć.

– Podejrzuwa pani, że coś jest nie tak? – spytałam.

Anna Jones wyjęła łyżeczką torebkę z herbatą i wycisnęła z niej ostatnie krople.

– Jak już wspomniałam, być może wszystko jest w porządku.

– A jeśli nie jest? – spytał Daniel.

– Wtedy możliwe, że będziecie musieli wynająć prawnika.

Daniel walnął ręką w kuchenny stół i zaklął po szwedzku.

– Na pewno wszystko jest w porządku – zapewniłam. – Jest tak, jak pani mówi, biurokracja. Przecież Kafka pochodzi z tego kraju, prawda?

Anna Jones się uśmiechnęła i podziękowała za herbatę, w której ledwo zamoczyła usta, krzesło zatrzeszczało, gdy z niego wstawała. Podała Danielowi rękę i obiecała, że jeszcze wpadnie.

Odprowadziłam ją do drzwi.

– Chce pani zobaczyć ogród?

Chciała. Ogrodnik zdążył już go trochę przetrzebić. Anna Jones zachwyciła się różami, co bardzo mnie ucieszyło. Niestety w tamtej chwili nie pamiętałam tych wszystkich nazw, ale opowiedziałam jej tę historię o habsburskiej róży. Słuchała z zainteresowaniem. Największa prawie całkiem rozkwitła, widać było jej purpurowy środek. Intensywnie pachniała.

Naturalnie wszystko było w porządku. To tylko Daniel wszystkim się zamartwiał, wyobrażał sobie, że ktoś mu zabierze winnicę.

Zapłaciliśmy, podpisaliśmy dokumenty, na których widniała pieczęć miasta.

– Proszę wybaczyć mojemu mężowi, nie jest sobą.

– To nie takie dziwne, wzięwszy pod uwagę, co znaleźliście w waszej piwnicy. Każdy zacząłby widzieć duchy.

– Był taki już wcześniej. – Nie rozwijałam tego tematu, przecież obiecałam Danielowi, że nie będę o nim z nikim rozmawiać.

Trawa kołysała się na słabym wietrze, by w następnej chwili całkiem przestać się poruszać. Nie wspomniałam też o swoich snach, w których chłopiec z tunelu pojawiał się razem z moją zmarłą w dzieciństwie siostrą, ani o dźwiękach, które wydawało mi się, że słyszę w nocy.

Zatrzymałam się przy budynku gospodarczym, żeby pokazać jej stare narzędzia ogrodnicze. Niektóre z nich wcześniej wyjęłam z ziemi

i zdążyłam trochę wyczyścić.

– Znaleźliście te narzędzia tutaj? – Anna Jones przyglądała się wnikliwie każdemu przedmiotowi.

Cieszyło mnie, że interesowała się tym, co inni mogliby potraktować jak stare rupiecie. Były wśród nich kilof ogrodowy z dwoma ostrzami, jakieś wygięte cęgi oraz siekiera na krzywym i cienkim trzonku. Sporo rzeczy znaleźliśmy w górnej części piwnicy oraz w wałacej się szopie z cegły kawałek od domu, o widły się potknęłam, w połowie tkwiły w ziemi i były zarośnięte trawą. Opowiedziałam Annie Jones o pomysłe stworzenia niewielkiego muzeum, o tym, że chcielibyśmy, by wizyta tutaj była bardziej przygodą, podczas której goście mogliby się zapoznać z wielowiekową tradycją uprawy winorośli. W moich ustach zabrzmiało to jakoś głupio. Poczułam niepokój, chociaż próbowałam go trzymać na wodzy.

– A to ciało, które znaleźliście w piwnicy – zagaiła Anna Jones. – Jak myślicie, kiedy się tam znalazło?

– Na pewno po tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku – odparłam. – Wtedy umieszczono tam wino, więc raczej mało prawdopodobne, by leżał tam martwy człowiek.

– Skoro dziecko miało... ile miało lat?

– Może dziesięć.

– Skąd wiecie, że to był chłopiec?

– Miał dość masywne buty i rodzaj czapki z daszkiem. Przeczucie. Ale mogę się mylić.

– A więc powinien teraz być po dziewięćdziesiątce, gdyby żył. Czysto teoretycznie mogą jeszcze żyć ludzie, którzy go znali.

Anna Jones ostrożnie oparła motykę z powrotem o ścianę.

– Jeśli to się stało później – powiedziałam – to szansa jest jeszcze większa.

– Myśli pani, że został...? – Spoglądając w dal, Anna Jones uniosła rękę, żeby zasłonić oczy przed ostrym słońcem. Pamiętam tę ciszę, żadnych owadów czy ptaków, żadnego wiatru. Nie dokończyła zdania. Zabity, zamordowany, pozbawiony życia, zatłuczony na śmierć. Te słowa mnie samej przychodziły do głowy, wisiały w powietrzu między nami.

– Będziecie teraz w stanie tutaj mieszkać? – spytała w końcu. – Coś takiego pewnie wszystko zmienia, kładzie się cieniem na dotychczasowym życiu.

Szłam w trawie kawałek za nią, zastanawiałam się, co jej odpowiedzieć. Anna Jones zatrzymała się tuż przed słupami bramy, w cieniu lipy. Ciekawiło mnie, czy jest zadowolona ze swojej podróży, czy teraz pojedzie do domu, do Anglii.

– Do domu? – zdziwiła się, obserwując ogromne drzewo, jego korzenie częściowo wystające ponad ziemię. – Nie jestem już pewna, co to słowo dla mnie znaczy.

Tamtej nocy znowu śniła mi się moja siostra. Była zaledwie niemowlęciem, gdy zmarła, lecz we śnie urosła. Ten chłopiec też tam był. Oboje żyli. Piwnica była królestwem śmierci. Korytarze pod domem prowadziły w różnych kierunkach, pokazałam policji złą drogę i próbowałam wyjaśnić, że zaszło nieporozumienie, gdy zaczął dzwonić telefon Daniela. Spał twardo, wcześniej widziałam tabletki nasenne w jego kosmetyczce.

Sięgnęłam nad nim po komórkę i odebrałam.

Dzwonił jakiś mężczyzna, nie dosłyszałam nazwiska. Powiedział, że jest tłumaczem, posługiwał się nienaganną angielszczyzną i poprosił, żebyśmy za godzinę przyszli na komisariat policji.

Słońce zakradało się do środka przez szpary między zasłonami, było pięć po ósmej.

Dobudziłam Daniela, ale nie zdążyliśmy zjeść śniadania. Zaparkowaliśmy na rynku w chwili, gdy ratuszowy zegar zaczął wybijać dziewiątą, dźwięk niósł się echem pod arkadami.

Tłumacz czekał w dyżurce. Dał nam po wizytówce i ponownie się przedstawił. Nazywał się Anton Adámek. Ciepły i pewny uścisk dłoni, przystojny mężczyzna. Gęste włosy, głęboka spojrzenia, wiem, że nie powinnam zwracać uwagi na takie rzeczy.

Wpuszczono nas do jakiegoś pomieszczenia. Dębowy stół, zimne ściany, ta sama beżowo-szara tapeta. Przywitał nas ten sam starszy komisarz, który był u nas w winnicy. Jego asystentkę widzieliśmy po raz pierwszy.

Josef Krall. Elina Kavaleka. Miała rozpuszczone, falujące włosy, dekolt niezbyt pasujący policjantce.

Usiedli po jednej stronie stołu, my po drugiej, tłumacz trochę nonszalancko wyluzowany przy krótszej krawędzi stołu obok mnie. Policjantka otworzyła laptopa, położyła teczki na stole, poprawiła długopis. Komisarz mówił krótkimi zdaniami, robił przesadnie długie przerwy dla tłumacza.

– Rozumiem, że chcą się państwo dowiedzieć, co się stało. Niestety muszę was rozczarować. Takie rzeczy trwają. To było dawno temu. Dochodzenie jest skomplikowane. Nigdy nie poznamy całej prawdy.

Daniel był niecierpliwy.

– Wiecie, kim było to dziecko? Czy można ustalić przyczynę jego śmierci?

Tłumaczenie trwało krótko, tak jakby tłumacz zadał tylko jedno z pytań. Zastanawiałam się, czy czegoś nie przeoczył.

– Szkielet był w nadzwyczaj dobrym stanie, wzięwszy pod uwagę jego wiek – zaczęła kobieta, wyglądało to, jakby czytała z ekranu laptopa. – Ciało musiało leżeć w bezpiecznym miejscu, w piwnicy nie było żadnych insektów ani zwierząt, które mogłyby je uszkodzić, wyjątkiem są... – Pochyliła się lekko do przodu. – Palce, knykcie. Niezagojone rany mogły powstać, gdy denat próbował się wydostać albo wezwać pomoc. Kształt czaszki potwierdza, że to był chłopiec.

Anton Adámek podniósł rękę, żeby jej przerwać, i przetłumaczył to, co powiedziała. Zamknęłam i otworzyłam oczy, obraz i tak tam był. Uwieczony chłopiec próbujący się wydostać.

– Po śmierci – kontynuowała policjantka monotonnym głosem – warunki panujące w piwnicy doprowadziły do relatywnie szybkiej mumifikacji. Suche powietrze w połączeniu z silnym wychudzeniem.

– Przepraszam?

– Znalaziono kilka pustych butelek po winie. Proces mógł zostać przyspieszony, jeśli dziecko wypilo ten alkohol.

– Mumifikacja? – To słowo przywiodło mi na myśl stare horrory, zawinięte ciała, nie mogłam pojąć, że właśnie coś takiego widziałam. Skóra, tak cienka i delikatna, wrażenie, że szkielet był nią obciążony. – Jak to możliwe?

Elina Kavaleka spojrzała znad laptopa.

– Jak już wspomniałam, czynniki zewnętrzne. Suche środowisko, brak owadów. Jak również czynniki wewnętrzne. Chłopiec prawdopodobnie głodował, co w połączeniu ze spożyciem alkoholu tworzy sprzyjające warunki do powstania tak zwanej mumii spontanicznej.

– Czego?

– Mumii spontanicznej – powtórzył zdziwiony tłumacz. Na wszelki wypadek skonsultował to pojęcie z policjantami, zanim potwierdził, że właśnie to mieli na myśli.

– Może do tego dojść w krótkim czasie – wyjaśnił komisarz. – Sam znalazłem kiedyś starszego mężczyznę, który zapił się na śmierć. Żona zmarła, nie miał mu kto przygotowywać posiłków, w domu były szczelne okna. Leżał tylko przez dwa lata.

– Ale dziecko?

Zrobiło się cicho. Anton Adámek przetłumaczył pytanie. Słowa zawisły na chwilę w powietrzu, to samo zdanie w dwóch językach, Daniel chwycił mnie pod stołem za rękę.

– Wiecie coś więcej na temat wieku tej...?

Kobieta znowu pochyliła się nad laptopem, zaczęła coś mówić o zespoleniu kości udowej i proksymalnej części ramienia, szybko się w tym pogubiłam. Tłumacz poprosił ją, by to powtórzyła, i wdał się z Danielem w krótką dyskusję na temat terminów medycznych. Wszystko wskazywało na to, że chłopiec miał jakieś dziesięć do piętnastu lat, co najwyraźniej jest okresem, gdy niektóre kości zrastają się z innymi. Analiza szczęki dała dokładniejszy wynik. Wyglądało na to, że wyrzynała się w niej siódemka. Chłopiec nie mógł mieć mniej niż jedenaście lat, prawdopodobnie miał dwanaście.

Przetrawiałam to wszystko.

– A czas? – Daniel zwrócił się do tłumacza. – Mogą powiedzieć, kiedy zmarł, jak długo tam leżał?

Kobieta zerknęła na starszego policjanta, który drapał się po łysinie. Typowej: łysina na czubku głowy, a po bokach włosy. Prawdopodobnie odłożył sobie przejście na emeryturę o kilka lat.

– To wymaga szczegółowej analizy – oznajmił. – Na tym etapie technicy nie potrafią podać żadnych dokładniejszych danych.

– Ale mniej więcej? O jakiej dekadzie mówimy?

Ich wzrok znowu się spotkał. Komisarz przysunął sobie jedną z teczek i z kieszonki na piersi wyjął okulary do czytania.

– Zidentyfikowano buty. Znajdowała się na nich pieczętka wskazująca na to, że wyszły spod ręki szewca z Děčína. Prawdopodobnie w latach dwudziestych. To nie mówi nam zbyt wiele. Chłopiec mógł je odziedziczyć po ojcu albo dziadku. O ile oczywiście ich nie ukradł.

Wyjmując z teczki kartkę, komisarz jakby się zawahał, uważnie się jej przyjrzał, zanim położył papier na stole, żebyśmy mogli go zobaczyć.

– Radzę nie iść z tym do prasy. To by ich nie zainteresowało. Pokazuję to tylko do waszej wiadomości.

– Oczywiście – powiedział Daniel.

Nikt nie oddychał, a przynajmniej takie miałam wrażenie. Anton Adámek pochylił się do przodu. Trudno było powiedzieć, co przedstawiało zdjęcie. Ramię albo nogę, jakieś majtki?

– Może tego nie widać, ale to są resztki materiału. Możemy to stwierdzić z siedemdziesięcioprocentową pewnością. Teraz są szare. Kiedyś mogły być białe. Prawdopodobnie to opaska na ramię.

– Co to oznacza?

– Wiedzielibyście – odparł. – Gdybyście byli stąd.

Komisarz ostrożnie odłożył wydruk. W końcu tłumacz sam odpowiedział:

– To oznacza, że chłopiec był Niemcem. Niemcem sudeckim.

Powoli, bardzo powoli, Josef Krall wyjął inny dokument.

– Oto co znaleźli w kieszeni chłopca, a raczej w tym, co z niej zostało.

Przed nami wylądowały dwa zdjęcia przedstawiające dwie monety lub awers i rewers tej samej monety. Tak ciemne, że ledwo było widać to, co zostało na nich wybite.

Duża jedynka z dwoma małymi listkami pod spodem. Liśćmi dębu. Litery przy górnej krawędzi. „1 Reichspfennig”.

Daniel zasłonił światło, gdy pochylił się do przodu, zobaczyłam na papierze jego cień.

Na widok rewersu monety: orła trzymającego w swoich szponach swastykę i napis „Deutsches Reich”, wzdrygnęłam się, zmroziło mnie, poczułam duży dyskomfort.

– W tamtym czasie wybijano monety z cynku – poinformowała po chwili milczenia kobieta. – Było to tańsze i prostsze, a przecież trwała wojna.

W tej samej chwili, gdy wypowiedziała rok i równocześnie usłyszałam tłumaczenie, udało mi się dostrzec cyfry na poczerńiałym metalu.

1943.

– Więc jeśli ktoś ma odpowiedzieć za nieszczęśliwą śmierć tego chłopca, to sam Hitler – oświadczył komisarz i dokładnie zamknął teczkę. Położył na niej pulchną dłoń i dał tym samym do zrozumienia, że nie zostanie ponownie otwarta.

– Rozumiem wasze rozczarowanie – dodał. – Ale gdybyśmy mieli szukać wszystkich dzieci, które zaginęły w tamtych latach...

– Ale – wszedł mu w słowo Daniel – skoro buty były stąd, to może chłopiec też pochodził z tych okolic, może żyją jego krewni...

– Nie sądzę – oznajmił Josef Krall i oparłszy się na krzesło, zaczął mówić, nie robiąc przerw, więc tłumacz musiał przekładać dwa razy szybciej.

Z dużym prawdopodobieństwem można było stwierdzić, że chłopiec był Niemcem sudeckim. Powiązanie z okolicą, buty, opaska na ramię. Nie miał żadnych krewnych, ponieważ w tym rejonie nie było już Niemców sudeckich, dzięki Bogu.

Przez setki lat Niemcy sudeccy żyli obok Czechów, bez konfliktów, mieli swoje szkoły i kościoły, ale potem pojawił się Hitler i pierwszymi osobami, które stały na rynku, wiwatowały na jego cześć i biły brawo wkraczającym nazistom, byli Niemcy sudeccy.

Jak świat mógł na to pozwolić? Komisarz wbił w nas wzrok, jakbyśmy byli za to odpowiedzialni, jakbyśmy byli częścią zachodnich sił, które popchnęły ten kraj w ramiona Hitlera.

– Monachium tysiąc dziewięćset trzydzieści osiem – wyrzucił z siebie. – Może wiecie, co się wydarzyło w Monachium? Kiedy Hitler zaklinał się, że jeśli tylko dostanie Kraj Sudetów, to nie będzie miał żadnych terytorialnych roszczeń w stosunku do Europy. A jeśli nie, to będzie wojna.

Anglia i Francja dały się zastraszyć, złamały swoją obietnicę, że będą wspierać małą demokratyczną nację, rzuciły Kraj Sudetów na pożarcie, a Chamberlain wrócił do Londynu i chwalił się tym, że zapewnił „pokój w naszych czasach”.

Następnego dnia, pierwszego października 1938 roku, Hitler zajął Kraj Sudetów, a potem pożarł resztę państwa.

– Po wojnie mój dziadek – kontynuował komisarz – osobiście dopilnowywał, żeby każdy Niemiec sudecki w tym mieście spakował się i wsiadł do pociągu, i już nigdy się tu nie pojawił. Ginęły czeskie dzieci, żydowskie dzieci, niech mi Bóg wybaczy, że nie płaczę nad śmiercią jakiegoś niemieckiego chłopca.

W pokoju zrobiło się jeszcze bardziej duszno. Zapadła cisza, a potem zaskrzypiało krzesło, gdy komisarz wstał jako pierwszy, a pozostali poszli w jego ślady. Teczki wylądowały w torbie asystentki.

– Zalecam – powiedział komisarz – żebyście jak najszybciej z powrotem zamknęli to wejście. Może tam się dostać jakieś inne dziecko i nieszczęście

gotowe.

– Ale to nasza piwnica na wino – zauważył Daniel. – Stanowi część winnicy.

Starszy mężczyzna obserwował go przez chwilę.

– W takim razie to również wasza odpowiedzialność.

Anton Adámek odprowadził nas do wyjścia. Uścisk jego dłoni wciąż był ciepły.

Kiedy wyszliśmy, zaproponowałam Danielowi kawę, ale wolał jechać prosto do domu. Pozwoliłam mu wziąć samochód, a sama powiedziałam, że pójdę na zakupy.

Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kotka przebiegła obok mnie jak strzała, gdy kilka godzin później otworzyłam drzwi wejściowe. Zobaczyłam bursztynową kreskę i już jej nie było.

Daniel musiał ją przez przypadek wpuścić do środka. Zaskoczyło mnie to. Wcześniej Madame Bovary ani przez chwilę nie dała mi do zrozumienia, że chciałyby zostać domowym kotem, zazwyczaj czmychała, gdy tylko wychodziłam, i zaszywała się w trawie, chaszczach, w swoim rewirze. Wypakowywałam zakupy, podczas gdy moje serce się uspokajało, wymieniałam zwiędłe kwiaty na nowe, zerwane przy drodze. Może wbiegła za myszą, znalazła sobie własne drogi.

Słyszac glosy, starlam ze stołu troche pyłku kwiatowego i opadłych płatków. Nie potrafilam ich zlokalizowac. Glos Daniela rozpoznałam natychmiast, ale ten drugi? Był słabszy, Daniela bardziej perswadowajacy. Nie słyszałam, o czym dokładnie rozmawiają, tylko pojedyncze słowa, to było bardziej jak dźwięki w tle, które raz stawały się głośniejsze, raz cichły, szarpana melodia języka. Pauzy, przerwy. Niemiecki, angielski?

Właśnie wtedy mnie olśniło, przypomniałam sobie glosy policjantów, którzy byli w tunelu, pomruki niosące się rurami, kanałami wentylacyjnymi i otworami znajdującymi się w nieznanym nam miejscach.

Otworzyłam drzwi prowadzące do piwnicy. Daniel znajdował się gdzieś poniżej, po schodach niósł się echem jego wzburzony głos.

– It's closed, cordoned, shut down. Do you understand? Geschlossen. You can't go in there, how did you even get in?

A później ten drugi, mniej dźwięczny głos, przerywali sobie. Teraz rozpoznałam, do kogo należy. To był jękający się, uległy głos starszego ogrodnika. Mówił po niemiecku.

– Entschuldigung, Ich wollte nicht... aber die Katze...

Mówił o kocie, że ten zakradł się do środka. Że zostawił uchylone drzwi, przeprosił za to, to była jego wina, a potem nie mógł znaleźć kota, który gdzieś się schował, i że nie powinien był wchodzić do tunelu, za to

też bardzo przepraszał. Tak, widział taśmy policyjne, wyobraziłam sobie, jak Daniel macha mu nimi przed oczami.

– Nie wolno tak sobie tutaj wchodzić i wychodzić, out of control, węszyć i szukać Bóg wie czego. Jesteśmy za to odpowiedzialni, rozumie pan to? Our responsibility.

– Nie chciałem... Ich wollte nur sehen... To było tak dawno. Nie byłem tam od czasów dzieciństwa.

Nie rozumieli się, nie umieli się dogadać. Powoli zesłałam na dół. Poczułam, że kręci mi się w głowie, gdy kolejny raz otoczyły mnie ziemia i skała, nieruchoma wilgoć. Teraz było mi jeszcze ciężiej oddychać.

– Co się stało? – spytałam.

– W końcu – powiedział Daniel. – Czy pozwoliłaś temu mężczyźnie łązić po naszym domu pod naszą nieobecność?

– Nie, jasne, że nie, ale chyba nic takiego się nie stało...

Staruszek wsparł się o taczkę. Światło latarki, którą trzymał w rękę, rozjaśniło ich twarze, jego i Daniela, od dołu, resztę spowijał mrok.

– Powiedział, że szukał kota – przypomniałam, pokonując ostatnie stopnie schodów, ostrożnie, ponieważ ledwo widziałam, co się znajduje pod moimi nogami. Podeszłam do ogrodnika i położyłam rękę na jego ramieniu. – Spokojnie – powiedziałam po niemiecku. – Mój mąż po prostu się zaniepokoił.

– Kota tutaj na dole wcale nie było, do cholery – przerwał mi Daniel, nie mogąc powiedzieć, żeby krzyknął, lecz niewątpliwie podniósł głos, który odbijał się od kamiennych ścian. – Siedział pod drzwiami do piwnicy i miauczał, więc musiałem sprawdzić, jak tu wszedł, i wtedy odkryłem, że drzwi w tej starej pralni, czy co to tam jest, są uchylone wprost na ogród. Każdy mógł sobie wejść do środka.

– Dałam mu klucz – oznajmiłam, próbując spojrzeć Jánowi Kahudzie w oczy, ale stał odwrócony, wpatrywał się w głęboką ciemność. – Przecież musi mieć dostęp do wody, jeśli ma pracować w ogrodzie.

– To chyba nie oznacza, do cholery, że może sobie tu wchodzić, kiedy mu się żywnie podoba, gdy nas nie ma.

– Próbuje nas przeprosić, cały czas próbuje ci to powiedzieć, żałuje, że zszedł na dół.

Ján Kahuda wciąż przepraszał, tylko trudno mu się było przebić przez krzyk Daniela. Mówił o tunelach, że kiedyś, dawno temu, było tam zejście prowadzące jeszcze niżej, pod miasto.

– Pewnie chciał tam tylko zajrzeć – próbowałam tłumaczyć ogrodnika.
– Mówi, że był w tych tunelach jako dziecko. Zaciekawilo go...

– Zaciekawilo? – Westchnienie i śmiech, które uświadomiły mi moją głupotę. – I uważasz, że to w porządku, że zszedł tutaj, bo go to zaciekawilo?

– Schodziliśmy z drugiej strony, to było oczywiście zakazane – dodał Ján Kahuda. – Tuż za rynkiem, tam gdzie kiedyś był sklep żelazny... – Coś sobie przypomniał, spojrział raz w jednym, raz w drugim kierunku. – Tej ściany wtedy nie było. Pamiętam te schody, ale tam na górze były drzwi... Głównie siedzieliśmy w tunelu, wąskie przejście prowadziło jeszcze kawałek dalej... – Odwrócił się w ciemności, a ja poczułam, że mi zimno.

– Tam leżał – poinformowałam.

– Leżał?

– Właściwie leżało. Dziecko. Das Kind.

– O jakim dziecku pani mówi?

Musiałam mu o tym opowiedzieć, o martwym chłopcu, którego znalazłam, może w tym samym ślepych zaułku, o którym mówił, opisałam, że była tam w głębi jakby prycza albo półka, na której się skulił, że na podłodze leżały butelki.

Światło zadrgało. To ręka starca zadrzała.

– Ale to było dawno temu – powiedziałam. – Prawdopodobnie ciało leżało tam od wojny, policja sądzi, że chłopiec był Niemcem, ponieważ miał na ramieniu opaskę.

– Biała opaska – wymamrotał staruszek.

– I nazistowską monetę w kieszeni, z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – dodałam.

– Dlaczego mu o tym mówisz? – zdziwił się Daniel.

– Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Kiedy powiedział o...

– Rany boskie. – Daniel tak się zamachnął, że uderzył ręką w kamienną ścianę. Zaklął. Miałam wrażenie, że to mnie chciał uderzyć, bo przecież nie ogrodnika? Stałam między nimi jak mur.

– Nie w czasie wojny – stwierdził Ján Kahuda. – To było później. To po wojnie musieli nosić opaski, żeby każdy wiedział, kto jest Niemcem.

– Możesz go poprosić, żeby trzymał język za zębami i nie rozpowiadał o tym na mieście? – spytał Daniel, a ja zrobiłam, co mi kazał, chociaż oczywiście innymi słowami, powiedziałam coś o tym, że policja nie chce,

żeby o tym za dużo mówić. Nie potrafiłam mu wytłumaczyć dlaczego, sama tego nie rozumiałam.

– Chyba powinienem już pójść – oznajmił Ján Kahuda. – Nie będę państwa dłużej niepokoił.

Powoli wszedł po schodach, chwiejąc się, niepewnie. Usłyszałam, jak zamykają się ciężkie drewniane drzwi.

– Dlaczego musisz być dla niego taki niemiły? – spytałam, gdy zostaliśmy sami. – Teraz już nigdy nie odważy się tutaj przyjść.

– No i świetnie. Nie mogę ciągle chodzić i sprawdzać, czy wszystkie drzwi są zamknięte. To nie był mój pomysł, żeby zatrudnić osiemdziesięciolatka. Staruszek jest zdezorientowany. Mógł spaść ze schodów i co by wtedy było? Gdyby coś się stało, to nas pociągnięto by do odpowiedzialności.

I tak dalej.

Nie chcę tego wszystkiego pamiętać, każdego słowa, które potem padło w tej dyskusji. Ostatnią rzeczą, jaką powiedziałam, zanim poszłam się położyć, było:

– W takim razie sam podlewaj róże.

ZAPISKI, OBSERWACJA
NOC Z PIĄTKU NA SOBOTĘ, 4.20
Krzyk dochodzący z piętra.
Wstał. Tumult, zamieszanie.
Nie żyją.
Wszyscy nie żyją.
Nie widzę dzieci.
Czy już po nie przyszli?
Tutaj nie ma żadnych dzieci.
Ale on woła.
Gdzieś to słyszałem.
Nie.
Nie zamykaj drzwi.
Nikt nie woła.
Jezus Maria, Herrgott sakra.
Nie słyszycie, że on woła?

Kręte drogi między wsiami i małymi miasteczkami stawały się coraz prostsze, pagórkowaty krajobraz się wypłaszczał. Kominy, zakłady przemysłowe. Skręciłam na autostradę do Pragi. Dodałam gazu i pogłośniłam muzykę jeszcze bardziej, słuchałam czyjejs playlisty. Smyczki grały coraz głośniej i szybciej, rozrywały piękno melodii, jakby za czymś goniły, to sprawiało, że czułam się wolna.

Powiedziałam Danielowi, że odwiedzę kilka innych winnic, kupię do domu trochę wina, żebyśmy w końcu mogli się przekonać, jak smakuje. I zrobię porządną rundkę po Ikei.

Zostanę na jedną noc, tylko jedną.

Żarówki były jedyną rzeczą, jaką Daniel dodał do listy zakupów. Nie zaproponował, że ze mną pojedzie.

Co bym wtedy powiedziała?

Że potrzebuję trochę czasu dla siebie, a on i tak nienawidzi wypadów do Ikei. Tak mówią ludzie, kiedy tak naprawdę mają coś innego na myśli.

Zjechałam na prawy pas, wypatrując zjazdu na Mielnik. „To trochę potrwa” – pomyślałam. „Nie mogę się stresować, nie ma pośpiechu. Nowego życia nie buduje się w mgnieniu oka, nic nie dzieje się od razu”. Zsiadłam z karuzeli. Te wszystkie poranki, sporo się ich nazbierało przez te wszystkie lata, gdy dzwoniłam, szukając zastępstw do wszystkich szkół i przedszkoli w gminie, podczas gdy na ekranie cały czas pojawiały się nowe wiadomości o zwolnieniach lekarskich, opiece nad chorym dzieckiem, urlopach bezpłatnych, wakacjach – że też ludzie nie mogą być zdrowi albo przynajmniej nie chorować w lutym, albo chociaż nie zgłaszać tego w ostatniej minucie, gdy nikt nie zdąży ich zastąpić na pierwszej lekcji i klasa zostaje bez nauczyciela, personel przedszkola padał na twarz, a w następnej sekundzie na monitorze komputera wyświetlała się kolejna osoba, przewlekła choroba, wypalenie, i przedszkolanka zostawała sama z dziewiętnaściorgiem dzieci. Nie możesz się angażować w każdy przypadek, powtarzał mi szef. To było jak piłeczki w grze komputerowej, kiedy złapało się je wszystkie, one przyspieszały i było ich coraz więcej.

Jechałam krętymi uliczkami Mielnika. Zamek znajdował się na wzgórzu, roztaczała się stamtąd niesamowita panorama na Wełtawę wpadającą do Łaby. Zamek wdów po czeskich księżętach i królach, przeczytałam w broszurze, którą wzięłam do ręki, gdy stawiano przede mną kieliszki. To właśnie na tym zboczu schodzącym do rzeki powstała pierwsza czeska winnica, jej założenie przypisuje się Ludmile, która w XIII wieku sprowadziła z Francji sadzonki winorośli, po tym, jak zasmakowała w winie podanym jej przez francuskiego króla. Teraz zamek należał do jakiegoś bogacza, który po upadku komunizmu wznowił produkcję wina. Degustowałam wina, trzymałam je chwilę w ustach, próbując znaleźć odpowiednie słowa, które by je opisywały, po czym je wypluwałam. Orzeźwiający i lekko chrupki, niezbyt skomplikowane, ale bardzo smaczne wino, powinno pasować do ryby, lecz można je też pić samo, lekkie, o delikatnie owocowym aromacie, trochę je trudno odróżnić od rieslinga, wyprodukowane ze szczepu będącego krzyżówką rieslinga i silvanera, nazwane na cześć mężczyzny, który w XIX wieku połączył te dwa szczepy. A więc tak smakowało wino Müller-Thurgau. Zakupiłam kilka butelek oraz kilka o nazwie „Blauer Portugieser”, „Johanniter” i „Muscat”, a także kilka butelek zamkowego wina musującego, w sumie była tego cała skrzynka, którą umieściłam w bagażniku.

Została mi tylko godzina. Jechałam prawie setką, wyprzedzana przez cholernie drogie auta, znaki drogowe pojawiały się coraz częściej.

Ten wyraz twarzy u ludzi, gdy mówiłam o naszej decyzji. Że zwolniłam się z pracy. Podziw i zazdrość, nie zawiść, tylko raczej zaskakująca radość, nieomal ulga z powodu tego, że ktoś miał odwagę. Że zrobiliśmy to, o czym wszyscy marzą, podążyliśmy za głosem serca, byliśmy tacy odważni, i oni też, nie teraz, ale kiedyś to zrobią. Miałam wrażenie, że robiłam to także dla nich, pokazałam im coś, co powinni zobaczyć.

Nikom nie mówiłam, a już na pewno nie Danielowi, o czym myślałam, budząc się z niepokojem nad ranem, zwłaszcza gdy wystawialiśmy dom na sprzedaż i opróżnialiśmy go z mebli, bo tak nam poradził pośrednik nieruchomości, czyste powierzchnie i piękne detale, jak miedziane garnki i pościel z lnu, gwarantowały lepsze oferty, ponieważ sprzedawaliśmy nie tylko dom, lecz również marzenie o życiu, jakie można w nim wieść.

W najgorszym wypadku – to była myśl, którą z nikim się nie podzieliłam – zostaną mi zastępstwa w szkołach i przedszkolach.

Głos nawigacji doprowadził mnie do centrum Pragi i do ogromnego garażu podziemnego. Znalezienie miejsca parkingowego na Starym Mieście po drugiej stronie rzeki było niemożliwe, więc ostatni kilometr pokonałam pieszo. Przeszłam tym słynnym mostem z rzeźbami i średniowiecznymi wieżami, z którego turyści robiący selfie próbowali ująć rzekę i zamek, i jakiś kwartet smyczkowy grał coś, co mogło być Bachem.

Z mostu skręcałam w prawo, a później w jakiś zaułek w głębi którego, maksymalnie pięćdziesiąt metrów dalej, miała się znajdować arkada z regałami pełnymi książek i kawiarnianymi stolikami, miało się wrażenie, że jest się w środku i jednocześnie na zewnątrz.

W kawiarni miałam spytać o klucz, ale go nie mieli.

– Pani przyjaciel już dotarł.

Chciałabym móc powiedzieć, że przyjechałam do Pragi, żeby pójść do Ikei, lecz prawda jest taka, że czekał na mnie on. Nie było żadnych okoliczności łagodzących.

Paul, jak mam opisać Paula?

To, jak wygląda w przejrzystym południowym świetle, gdy wchodzę do tego pokoju. Słońce zakrada się do zaułka, znajduję go na wpół leżącego, wyciągniętego na łóżku z laptopem, włosami w lekkim nieładzie, jakby nie wiedziały, w którym kierunku mają się ułożyć, przez otwarte okno słyszę odgłosy dobiegające z kafejek i barów na dole. Paul znajduje się w środku czegoś, co jest i jednocześnie nie jest jego światem, zajmuje dużo miejsca. Stos partytur na małym okrągłym stoliku, na podłodze otwarta walizka, czarny garnitur i biała koszula wiszące na wieszaku w drzwiach do łazienki.

Chciałabym móc zignorować wszystko to, co teraz dzieje się w tym pokoju, pominąć każdy szczegół, ale nie mogę. Wtedy nic nie będzie zrozumiałe.

Przez okno wpada muzyka z mostu Karola, tak cicha, że może ją usłyszeć tylko ktoś, kto ma w tym momencie wyostrzone wszystkie zmysły, wibrująca.

– Słyszysz? – spytał Paul. – To Debussy.

Wstaje, znowu czuję jego zapach. Jest zbyt intensywny, perfumowany. Przeszkadza mi, że zmienił wodę po goleniu. Jego palce wygrywające odległą muzykę na mojej ręce, w górę, wzdłuż przedramienia, gdzie skóra jest taka delikatna. Nikt tak mnie wcześniej nie dotykał, takie mam

wrażenie. Nie w taki sposób. Nie wiem, dlaczego się siebie wstydzimy. Dlaczego jeszcze nie wylądowaliśmy w łóżku, czy nie minął już kwadrans, odkąd tu weszłam, a może więcej? Od ostatniego razu minęło kilka miesięcy. Każdy musi być ostatni i tym samym jest pierwszy.

– Miałeś już się nie odezwać – przypomniałam. – Tak ustaliliśmy.

– Ty ustaliłaś. Jesteś na mnie zła?

– Jestem wściekła.

– Możesz mnie uderzyć, jeśli chcesz.

Tak właśnie robię. To część rytuału, prowadzimy ze sobą wojnę, może dlatego ciągle wracam. Biję go, aż krępuje mi ręce.

– Dlaczego w takim razie przyjechałaś?

– Bo mnie poprosiłeś.

– Bo nie umiesz powiedzieć nie.

– Umiem.

– To powiedz to.

– Nie. Nie. Nie.

Otwarte okno, żadnych zasłon. Muzyka coraz dziksza, jego ręce pod moją sukienką, cały ten materiał, który tylko przeszkadza. Ktoś mógł nas zobaczyć i usłyszeć, spojrzeć w górę z kawiarni na dole i zastanawiać się, co my tam właściwie robimy, zaśmiać się lub zaczerwienić i zatęsknić za tym, by być na naszym miejscu.

– Czy te koncerty w Pradze to przypadek?

– Chcesz w to wierzyć?

– Tak. Nie.

Owinał mi prześcieradło wokół ust, więc nie mogłam już nic więcej powiedzieć.

Nie zauważyłam, kiedy jego partytury spadły na podłogę, ale po wszystkim miał problem, żeby je poukładać. Pełzając przede mną na podłodze z nutami w rękach, układał je mocno skoncentrowany. Obserwowałam go z łóżka, wciąż był nagi, na czworakach. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć o jego ciele. Muszę je opisywać? Wtedy wszystko strywializuję, sprowadzę tylko do fizyczności. Napinające się mięśnie ud, gdy zmieniał pozycję na podłodze, sięgał po kolejny papier, smukły kark, który przywołał mi na myśl rasowego kota, gdy go pierwszy raz zobaczyłam, jego blada skóra, unikał słońca. Chodziło o jakąś chorobę skóry, którą trzymał w szachu maściami i lekami, nie można się nią było

zarazić, ale powodowała u niego jaśniejsze plamy na plecach i pośladkach. Wyciągnęłam duży palec u stopy i pogłaskałam je.

– Nie teraz – powiedział i zaśmiał się, próbując przesunąć moją stopę, a potem moje ręce, odepchnął moją twarz. – Muszę to uporządkować przed koncertem, a potem wziąć prysznic. Ubierz się, zarezerwowałem stolik. Słyszysz? Przestań.

Później szliśmy za rękę. Nie robiliśmy tego zbyt często, na pewno zdecydowanie rzadziej, niż się kochaliśmy. Tylko raz, po koncercie w Örebro, gdy spławił pozostałych muzyków z orkiestry, szedł ze mną otwarcie po ulicy za rękę. Wtedy mnie to zaniepokoiło. Nie znałam nikogo w Örebro, było ciemno i pamiętam, że wiał lodowaty wiatr, to był luty, ulice opustoszałe, lecz i tak widziałam nas oczami innych ludzi, hologram, projekcja, błędne mniemanie, że jesteśmy ze sobą.

Może nie powinnam tego nazywać miłością. Ile było tych spotkań? Ponad dziesięć, nie więcej niż dwadzieścia.

Niecały rok, odkąd się zaczęło.

Może zwróciłam na niego uwagę już podczas tamtego pierwszego koncertu, na mężczyznę grającego na pierwszym klawirze. Miał długą solówkę, tego jestem pewna, nie pytajcie mnie o kompozytora. Dostałam bilet od przyjaciółki, której mąż się rozchorował, znała kogoś z orkiestry, to był koncert jubileuszowy, a po nim małe afterparty. Noc, kiedy zostałam zbyt długo. Mieszkał w hotelu przy Kungens Kurva, wydawało mi się to niegroźne i jednocześnie śmiertelnie niebezpieczne. Zawsze miałam słabość do wysokich mężczyzn, i jeszcze ten klawir, i jego palce fruujące i naciskające klawisze, jakby właśnie w tym momencie odkrywał dźwięki, a może tylko sobie wyobrażam, że już wtedy było to nieuniknione. Później nie mogłam słuchać muzyki klasycznej z innymi osobami, nigdy nie włączałam jej w domu.

Zakończyłam to, zanim podjęliśmy decyzję o sprzedaży domu. Potem spotkałam się z Pauliem tylko raz. Wiele osób uznałoby, że zdradziłam Daniela, ale prawda jest taka, że nie mogłam zdradzić żadnego z nich.

I teraz Praga. Koncert był krótki, odbył się w wytwornej barokowej sali, w ogromnej filharmonii, pierwszy raz miałam na sobie aksamitną sukienkę, granatowo-szarą, a Paul czarny garnitur, gdy szliśmy uliczkami Starego Miasta do restauracji, w której zarezerwował stolik. Nikt miał nas tam nie rozpoznać. Wciąż trzymaliśmy się za ręce, czułam jego ciepły, ale niezbyt mocny uścisk. Zatrzymał się przy niewielkiej, bardzo starej

świątyni. Masywny kamień z łukowymi oknami i niesamowicie stromym dachem, przycupnięty między wyższymi budynkami otynkowanymi na błękitny, różowy i biały kolor niczym lukrowane ciastka. To było na środku ulicy pełnej turystów, szliśmy pod prąd.

– Chodź, wejdziemy – powiedział i przyciągnął mnie do siebie ze śmiechem.

– Wypowiadasz się?

– To synagoga.

– Ale jestem głupia.

– Chodź, chciałbym ci coś pokazać. To oczywiście mit, ale nie można mieć pewności. Mity też mają gdzieś swój początek, z nich wywodzi się sztuka i równocześnie nasza podświadomość.

Paul taki właśnie był, chciał mnie wprowadzić w te światy, playlisty, które wysyłał mi pod ukrytym nazwiskiem, muzykę, dziedzictwo kulturowe, sztukę, wszystko to, z czego według niego składało się życie.

– To światło. Mogę ci tutaj zrobić zdjęcie?

Wieczne światło, ukośne promienie słońca żarzące się w oknach i wszystko, co oświetlały, blaszane dachy lśniące przez moment na złoto.

Drzwi były zamknięte na klucz, ale on chciał mi pokazać coś innego, obeszlśmy synagogę od tyłu. To najstarsza synagoga w Pradze, nawet najstarsza w Europie, i wokół nas było kiedyś żydowskie getto.

– Podobno w środku znajduje się ciało Golema, tylko czy on nie żyje? Czy ktoś stworzony z gliny może umrzeć? Podobnie jak w przypadku Frankensteinia można mieć wątpliwości, czy to był człowiek.

Wskazał palcem kilka wysokich, wąskich okien pod dachem, na poddasze synagogi. Istota zwana Golemem została stworzona w XVI wieku przez mistyka, rabina Jehudę Löw ben Becalela. Golem miał chronić żydowską ludność przed prześladowaniami i pogromami, był stworzonym z gliny strażnikiem getta.

Według podań rabin ulepił z gliny wielką postać, którą następnie ożywił za pomocą tajemnych rytuałów i modłów, na koniec wkładając do ust Golema pergamin z prawdziwym imieniem Boga. W innej wersji rabin napisał Golemowi na czole słowo emet oznaczające w języku hebrajskim „prawdę”. Tym samym Golem został powołany do życia i nocami widziano go, jak pilnuje getta. Rano rabin wymazywał pierwszą literę i powstawało słowo met oznaczające „śmierć”, i Golem znowu zamieniał się w glinę. Pewnego ranka rabin zapomniał wymazać pierwszą literę.

Golem wpadł w getcie w szal i niszczył wszystko na swojej drodze. To wtedy rabin ukrył go na strychu synagogi.

– Tylko jedna litera – powiedział Paul – różni prawdę od śmierci.

Chciał się też przejść po starym żydowskim cmentarzu. Bardziej zwracałam uwagę na jego piękne słowa, o ile były jego, niż na to, co właściwie znaczą, mówił o tym, że to w domach toczy się tajemne, prawdziwe życie. Rano użyczają go ludziom, a nocą zabierają je z powrotem z odsetkami... „I niekiedy zrywa się słabe drzenie poprzez ich ścianę, którego niepodobna wy tłumaczyć, szmery płyną poprzez dachy i spadają w rynny deszczowe...”¹

Żydowski cmentarz był otoczony murem, ale wystawał znad niego – zarośnięty trawą, z poprzewracanymi macewami, na tej małej powierzchni pochowano dwadzieścia tysięcy osób, kilka warstw grobów, ciasnota. Paul wspomniał coś o położeniu kamienia na grobie rabina Löwa, to dlatego przed jedną z większych krypt była taka kolejka, ale przestałam go słuchać.

W oknie wystawowym po drugiej stronie drogi dostrzegłam jakiegoś mężczyznę. Znajdowały się tam stragan sprzedający strudel jabłkowy, butik z czeskim kryształem i całą masą suwenirów. Między tym wszystkim i mnóstwem ludzi, którzy zatrzymywali się, by zrobić zdjęcie, dostrzegłam płaszcz, który mógł należeć do Daniela. Jasnobeżowy, prawie biały, kończył się tuż przed kolanem, sprzedawca nazwał go „płaszczem Strindberga”, gdy kupowałam go Danielowi w prezencie dwa lata temu. Próbowałam wyswobodzić rękę, lecz Paul mocno mnie za nią trzymał i mężczyzna szybko zniknął mi z oczu. Może wszedł do jednego z butików albo gdzieś tam stał, ukryty wśród ludzi.

Sprawdziłam komórkę. Żadnych wiadomości ani nieodebranych połączeń. Miał ciemnoblonde włosy jak Daniel, a może ciemniejsze? Płaszcz nie był unikatowy, pewnie miało taki wiele osób.

– ...i to jest również geneza opowieści o Frankensteinie i całego szeregu hollywoodzkich filmów, w których tworzy się roboty mające służyć ludzkości, a potem one przejmują kontrolę i unicestwiają człowieka... gdy ludzie bawią się w stwórcę, w Boga...

W ścisku, wśród turystów, gdy szliśmy dalej przez Rynek na Starym Mieście, widziałam Daniela w każdym płaszczu, który pojawiał się od tyłu, we wszystkich oknach wystawowych. Miałam wizję, że tutaj za mną przyjechał, niby jak? Pociągiem? To było oczywiście możliwe, lecz jeśli

nawet, to jak by mnie znalazł? Pomyślałam o różnych funkcjach w komórce i przestałam oddychać. Przypomniało mi się, że istnieje coś takiego jak „Znajdź mój iPhone”, usługa, z której Daniel korzystał, gdy ktoś z rodziny zgubił komórkę.

Pomyślałam, że to chore. Daniel taki nie był. Nic nie wiedział. Był zbyt zajęty sobą i tym, co go spotkało. Nie odnotowywał już niewielkich zmian w moim wyglądzie, zapachów ani rumieńców.

Straszyły mnie moje własne wyrzuty sumienia, nic innego.

– Przepraszam, co powiedziałaś?

– Powiedziałem, że jesteśmy na miejscu. Co ty na to?

Restauracja mieściła się na pokładzie barki zacumowanej na nabrzeżu, niskie kanapy i kuliste lampy, pachniało dymem i mięsem z grilla.

„To ostatni raz” – powiedziałam w myślach do samej siebie i mocniej przytuliłam się do Paula na kanapie, gdy kelner przyniósł nam butelkę wina. Siedząc przy stoliku, bylibyśmy za daleko od siebie. Dziś wieczorem i nigdy więcej. Pod czarnym niebem Pragi i nigdy więcej, wielokolorowe światło mieniające się w rzece, delikatne kołysanie barki. I nigdy więcej.

– Skąd wzięłabyś swój kamień? – spytał, gdy czekając na jedzenie, podjadaliśmy oliwki z małej miseczki.

– Jaki kamień?

– Ten do położenia na grobie rabina. Powinien być z miejsca, które dla ciebie coś znaczy.

– Ach tak – bąknęłam, próbując sobie przypomnieć, co mi wcześniej mówił, wtedy gdy staliśmy pod synagogą.

– Można też wypowiedzieć życzenie... – Paul okręcał sobie moje włosy wokół palców, bawił się nimi.

– Może z wioski, w której mieszkali moi dziadkowie od strony matki, zawsze spędzaliśmy tam wakacje. Wszystko było niebieskie, góry, niebo, rzeka, prawie tak rozległa jak morze. Nie mogłam nad nią sama chodzić i się kąpać, ponieważ mogło nią spływać drewno i mnie uderzyć. Może kamień z tamtej plaży.

Podano mięso parujące na deskach. Jazzowe dźwięki dobiegające z sąsiedniej barki, zapach marihuany docierający z nabrzeża, po którym włóczyły się grupki młodych ludzi, wystawali pod barami, na pomostach.

Młodzież, powsinogi z plecakami, blondynki z powiększonymi ustami, nikt mnie tutaj nie znał.

Nikt.

– A więc nie wzięłabyś kamienia z winnicy? – zdziwił się Paul. – Nie jest dla ciebie ważna?

– Jasne, że jest. Po prostu nie pomyślałam o niej w ten sposób.

– Tęsknota za dzieciństwem... Dlaczego spowija je nostalgiczna mgła, czy nie było przede wszystkim nudne? Osobiście wcale za nim nie tęsknię.

– Sama nie wiem. Może dlatego, że przeminęło. Wtedy łatwiej było być szczęśliwym.

– A teraz nie jesteś?

– Tego nie powiedziałam.

– Tylko pytam – oznajmił i zaczął oddzielać mięso od kości. – Bo w ogóle nie mówisz o winnicy, nie wspomniałaś ani słowem, jak tam wasz wymarzony projekt.

– Nie mogę o tym mówić, przecież wiesz.

– Daniel, Daniel... – Zaczął pukać nożem w stół i nucić stary kawałek Eltona Johna tylko po to, żeby się ze mną podroczyć. Your eyes have died, but you see more than I, Daniel, you're a star...

– Przestań. Wiesz, jak jest. Od samego początku.

Później wolno wróciliśmy nabrzeżem. Zobaczyłam mężczyznę i kobietę, jak objęci wchodzą pod podporę mostu. Byli od nas starsi, on na pewno po sześćdziesiątce, ona trochę młodsza, wyglądali na podchmielonych świrusów szukających jakiegoś ustronnego miejsca. Pomyślałam, że to się nigdy nie kończy, że to, co się wydaje młodością, z czasem może stać się intensywniejsze, bo człowiek jest świadomy końca.

Ostatnie szaleństwo.

W zaułku znajdowała się mała winiarnia. Paul chciał od razu iść do pokoju, lecz ja miałam ochotę napić się jeszcze wina, chciałam nas upić i chciałam, by spróbował wspaniałego czeskiego wina i czegoś się o nim dowiedział, ten wieczór nie mógł się jeszcze skończyć.

– Z Czech? – spytała młoda kobieta za barem, miała kolczyk w nosie, który poruszał się, gdy mówiła, i klucz ptaków wytatuowany na ramieniu. – Nie mamy. Nie, nie ma wina z tego regionu.

– Ależ jest – oznajmiłam i opowiedziałam jej i Paulowi o zamku w Mielniku, byłam już trochę podchmielona. – Mam całą skrzynkę w aucie, ale stoi w garażu po drugiej stronie rzeki, inaczej dałabym wam spróbować.

Z niedowierzaniem przeniosła wzrok ze mnie na Paula, z lekkim uśmiechem, jakby chciała go przeciągnąć na swoją stronę.

– Ach tak, nawet jeśli, to pewnie nie jest zbyt dobre – wymamrotała pod nosem i zaproponowała rieslinga z Moraw.

Odchyliłam się lekko do tyłu, żeby nie było mnie widać z ulicy, i schowałam się za kolumnę. Na moście – znowu miałam to paraliżujące uczucie – coś mi zamajaczyło, zobaczyłam kogoś albo i nie, wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje. Trochę za szybko opróżniłam kieliszek.

– Chyba nigdy nie opowiadałam ci o mojej siostrze – stwierdziłam.

– Nie wiedziałem, że masz siostrę.

– Nigdy nie pytasz o takie rzeczy.

– Co z nią?

Nie wiedział też nic o moich rodzicach, ani ja o jego, rozmawialiśmy o sztuce, muzyce, kamieniach, które moglibyśmy gdzieś położyć, nawet mnie nie spytał, czego bym sobie zażyczyła przy grobie rabina. A czego według ciebie powinnam sobie życzyć? – odpowiedziałabym. No powiedz – nalegałby, zmusiłby mnie do wyjawienia tajemnicy. Ciebie, nagiego, związanego. Tak mogłaby wyglądać ta rozmowa, która wcale by nas do siebie nie zbliżała.

– W ostatnim czasie znowu zaczęła mi się śnić – oznajmiłam. – Zmarła, po prostu przestała oddychać.

– O kurczę.

– To było przed moim urodzeniem. Nie zdążyli jej ochrzcić. Nie ma swojego kamienia nagrobnego, w tamtych czasach nie rozumieli, jakie to ważne. Pochowali ją w grobie zbiorowym. Rodzice mieli nie rozpaczać, kazano im zapomnieć i postarać się o kolejne dzieci. Kiedy się urodziłam, dali mi jej imię. Miała się nazywać Sonja.

– Nie wiedziałem.

– Pewnie myśleli, że w ten sposób złagodzą swoją tęsknotę.

– Ludzie nadają dzieciom imiona po zmarłych krewnych, wszyscy tak robią, ale żeby po siostrze? To przecież tak, jakbyś nie dostała własnej tożsamości.

– Nie zdążyli jej ochrzcić. To imię było dla nich ważne, występowało w obu rodzinach. Sądzili, że zaleczę ranę. Przecież tak mówili lekarze, wszyscy tak twierdzili.

– To chyba czas leczy rany, o ile w ogóle.

– Rozwiedli się, gdy miałam pięć lat. Siedem lat po jej śmierci. Razem ją oplakiwali, ale nie wystarczyło radości, ja nie wystarczałam, nie umiałam sprawić, by byli razem.

– Byłaś dzieckiem, nie ponosisz za to odpowiedzialności.

Musiałam pochylić się do przodu, żeby przestało mi się kręcić w głowie. Poczułam ciężar jego ręki na swoich plecach, wtuliłam się w niego, pocałowałam go namiętnie.

Paul zapłacił rachunek.

– Chodź, idziemy na górę.

Byliśmy zbyt pijani, nie wyszło z tego nic dobrego. To był dziki seks, ale zdecydowanie za szybki. Po wszystkim delikatnie mnie odsunął, rozdzielił nas i podniósł się z łóżka, stanął w oknie plecami do mnie.

– Co jest? – spytałam.

– Chyba nie wrócisz teraz do domu i nie powiesz mu, że chcesz rozwodu?

Usiadłam. Oddychałam. Owinęłam się prześcieradłem.

– Nie...

– Po prostu nie jestem teraz na nic gotowy. Nie ma we mnie przestrzeni na związek. Chcę, żebyś to wiedziała.

– Dlaczego mówisz o tym właśnie teraz? Nie powiedziałam, że się rozwiodę. Kto tu mówi o związku? To ty chciałeś się ze mną spotkać.

– A ty tego nie chciałaś?

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Za nim okno otwarte na całą szerokość, było dobrze po północy. Ciężka wilgoć w powietrzu, spaliny, zapowiedź deszczu. Powinam już spać, wyjechać wcześniej rano. Ikę otwierają już o dziewiątej.

– Jasne, że chciałam – odparłam. – Tęskniłam za tobą, ale to nie znaczy, że coś się zmieniło. – Musiałam wstać i podejść do niego, objąć go. Wyswobodził się.

– Wszystko się zmienia – oświadczył. – Wszystko płynie. Ty i ja nie jesteśmy już tacy jak podczas naszego pierwszego spotkania. Podobało mi się, że okłamujesz męża.

– Co masz na myśli?

– To było sexy, że fantazjowałam o mnie, gdy byłaś w domu ze swoim mężem.

– Skąd wiesz, że tak było?

– Mówiłaś mi o tym.

– Może raz czy dwa.

– Czuję się zamieszany w cudze sprawy, to wszystko. Nie chcę, żebyś uciekała do mnie od swojego nieszczęśliwego małżeństwa. Dlaczego

przyjechałaś do Pragi? Miałaś zacząć wszystko od nowa ze swoim mężem, czyż nie? Nowy początek, nowe życie. Co ty w ogóle tutaj robisz?

– Nic nie wiesz o moim małżeństwie. – To było wszystko, co potrafiłam z siebie wydusić. Przede mną rozciągały się dachy, wspinały się na siebie wśród lasu kominów. Poczułam w ustach kwaśny smak, mój oddech też pewnie taki był. Paul położył się do łóżka za moimi plecami, naciągnął na siebie kołdrę, widziałam to wszystko w oknie.

– Muszę się przespać – oświadczył. – Jutro też mam koncert.

Przez całą noc miałam wyciszony telefon. Sięgnęłam po niego, dopiero gdy wcześniej rano szłam mostem Karola. Jedna wiadomość nagrana na sekretarkę, trzy krótkie SMS-y.

„Zadzwoń do mnie”.

„Zadzwoń!”

„Halo?!”

I wiadomość głosowa. Daniel był wściekły, roztrzęsiony, a może to był tylko strach ukryty pod wybuchem złości, jeszcze raz odsłuchałam wiadomość. Powiedział za ledwie, że bym zadzwoniła, jak tylko odsłucham wiadomość. Koniec zdania był jakiś zduszony, jakby Danielowi zabrakło powietrza, a potem głęboki wdech, odniosłam wrażenie, że chciał powiedzieć coś więcej.

Spojrzałam na zegarek. Pod pomnikiem Madonny leżało kilku turystów z plecakami, służby sprzątające usuwały góry śmieci. Pierwsi artyści ciągnęli swoje wózki, wyjmowali niebieskawe pejzaże Pragi.

Zadzwoniłam. Wyglądało na to, że Daniel miał wyłączony telefon. „Jest aż tak wściekły?” – pomyślałam. Zaniepokoiło mnie, że nie odebrał, i jednocześnie poczułam ulgę. Miałam czas, by wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo. Może po prostu się obudził i zapomniał, że wyjechałam, tylko dlaczego tak wcześniej? Dzwonił tuż przed ósmą, niespełna godzinę temu. Przecież zazwyczaj przesypiał całe przedpołudnie. Zaniepokoił się tym, że nie ma mnie w łóżku? A potem przypomniał sobie, że jestem w Pradze i znowu zasnął, i może najpierw wyłączył telefon, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

Nic się nie stało.

Nagrałam się na sekretarkę, poinformowałam wesołym głosem, że rozłądował mi się telefon i że za kilka godzin będę w domu.

Ikea otworzyła nowy flagowy sklep w centrum Pragi, przy placu Waclawa, gdzie blisko trzydzieści lat temu demonstrowano przeciwko

komunizmowi, lecz ja poszłam prosto na podziemny parking. Tak szybko, jak tylko się dało, wyjechałam z miasta i ruszyłam do jednego ze sklepów znajdujących się na obrzeżach. I tak miałam go po drodze.

Przelotny pocałunek przed wyjściem z pokoju. Cześć. Trzymaj się.

Ostatni raz.

Na parkingu przed Ikeą znowu zadzwoniłam do Daniela, po czym wysłałam mu SMS-a. „Hej, dzwoniłam, chciałeś coś? Buziaki”.

Przez Ikeę nie da się przelecieć. Mijając kolejne działy, od sypialni do jadalni i łazienki, nabierałam coraz większej pewności, że to Daniela widziałam wieczorem. Wszystko wydawało mi się znajome i obce zarazem. Szwedzkie nazwy, regał Billy i stołek Bosse, krzesło Ypperlig. Część mniejszych mebli mogłam wsadzić do samochodu, a resztę zamówić tutaj zamiast przez Internet, ale większość rzeczy wydawała mi się zbyt trywialna lub za droga. „Czy w ogóle nas na to stać?” – pomyślałam. Wyposażenie łazienki, okap kuchenny, blat.

Blåsippa, Sommaräng, Trofast.

Zgubiłam się i trzeci raz szłam przez dział dziecięcy, mijałam ogromne niedźwiedzie polarne w wielkim koszu oraz restaurację, która życzyła „smacznego”.

Daniel wciąż nie odbierał. Zgubiłam listę zakupów. „Dywanik do łazienki, szczotki do toalety” – powtarzałam w pamięci, koncentrując się na tych małych rzeczach, które mogłam wrzucić do dużej torby. Zasłony na piętro, tylko białe, jednokolorowe, niewymagające i śmiesznie tanie, musiałam dokonać niemożliwego wyboru pomiędzy Ingvild a Gertrud, wydawały mi się identyczne, zastanawiałam się też nad jakimiś błękitnymi. No i karnisze. „Dekoracją domu zajmiemy się później, gdy wszystko się uspokoi, kupię maszynę do szycia i uszyję własne zasłony” – rozważałam w myślach. Później moją uwagę przykuły żarówki, przypomniałam sobie, że Daniel mówił coś o innym gwincie.

Nie mogłam zapomnieć o lustrach. Powiedziałam Danielowi, że mam już dość malowania się przy kieszonkowym lusterku, tego, że się nie widzę. To był jeden z powodów, dla których musiałam tu przyjechać właśnie teraz.

W końcu mogłam się poprzeglądać. Cała, w połowie, w lustrach ze złotą ramą, z oświetleniem lub wbudowanym zegarem, okrągłych, owalnych i prostokątnych. Żadnych widocznych śladów, nawet zaczerwienienia na policzkach, chociaż skóra wydawała mi się lekko

podrażniona. Paul zawsze był idealnie ogolony, nie o to chodziło, ale rany, co myśmy robili, miałam to na całym ciele, lecz mimo wszystko nie było tego widać. Kłamstwo i prawda nie są wypisane na czole. Pod oczami dostrzegłam cienie będące skutkiem niewyspania. Może miałam je już wcześniej. Czas odciska swoje piętno bardzo wolno, niezauważalnie. Kilka pogłębionych zmarszczek wokół ust, lekko zwiotczała skóra.

„Jeszcze długo nie” – pomyślałam i wzięłam kilka luster, nie pamiętam ich nazw, w złotej ramie do łazienki i kilka tańszych bez ramy czy innych ozdób do powieszenia w garderobie.

Wyjechałam stamtąd, nie puszczając muzyki. Według nawigacji podróż miała trwać godzinę i siedemnaście minut. Poszło mi szybciej. Wcześniej planowałam się nie spieszyć i zatrzymać się w którejś z winnic, może porozmawiać o współpracy, turystyce winiarskiej, możliwości przechowywania i oznaczania naszego wina własną etykietą, mieliśmy tyle pomysłów. Telefon milczał przez całą drogę. Dzwoniłam do Daniela kilka razy. Naprawdę zaczęłam się martwić.

Dochodziło południe, gdy skręcałam z głównej drogi i zwalniając, wjechałam do miasteczka. Tego przedpołudnia niebo było zachmurzone, wiem to, chociaż nie poświęciłam pogodzie ani jednej myśli. Moje wspomnienie tamtej chwili jest zupełnie pozbawione słońca. Jest szare, prawie czarno-białe, jakbym nie dostrzegła wtedy zieleni pól ani kwiatów. Tylko ten samochód zaparkowany po drugiej stronie mostu i blokujący szutrówkę. Dopiero potem, z pewnym opóźnieniem, zauważyłam kilkoro młodych ludzi opartych o balustradę mostu i patrzących w stronę winnicy i dotarło do mnie, że coś jest nie tak.

Widzieli: radiowóz policyjny. Mężczyznę w mundurze. Może dostrzegli też jakąś część taśmy policyjnej rozpiętej przed wjazdem, ludzi chodzących po naszej działce. Czerwone volvo, które zwolniło i się zatrzymało.

Nie potrafię opisać, co wtedy czułam. Byłam kompletnie pusta w środku. Nie wiem, jak zaparkowałam, lecz wjechałam krzywo między dwa drzewa, jarzębinę i wiąz, zdecydowanie za blisko wiązu, tak że nie dało się swobodnie otworzyć drzwi.

Przy taśmie zatrzymał mnie policjant. Próbowałam dojrzeć Daniela wśród tych wszystkich ludzi, którzy stali i rozmawiali przy słupach bramy, wokół lipy, którzy zajmowali się czymś na ziemi, było ich pięciu,

nie, sześciu, jeśli liczyć tego w mundurze pilnującego wjazdu, ale nigdzie nie widziałam Daniela.

– Co się stało? Mieszkam tutaj.

Wyjęłam mój dowód i próbowałam dogadać się z policjantem po angielsku i po niemiecku.

Na ziemi obok lipy leżał wybrzuszony brezent. Pojawiła się myśl, którą natychmiast odrzuciłam. Nie.

– Gdzie jest mój mąż? Daniel Åström? Gdzie on jest? Co się tutaj stało?

Musiałam krzyczeć, bo wszyscy odwrócili się równocześnie. Twarze, niczego nierozumiejące, zastygły. Jeden z mężczyzn przerwał ciszę. Pomachał do swojego kolegi, musiałam stwierdzić, że wszyscy są policjantami i że jest ich dużo. Kiedy przyszli po chłopca leżącego w piwnicy, było ich tylko czterech. Podszedł do mnie powoli, jak w zwolnionym tempie na filmie, i zobaczyłam, że to komisarz, jak on się u diabła nazywał? Był starszy i miał takie śmieszne nazwisko, które przywiodło mi na myśl policjanta z Pippi Långstrump. Knopp? Krapp? Rozmawiał z tym młodszym, który szedł tuż za nim.

– Co tutaj robicie? – spytałam, gdy podeszli na tyle blisko, by mnie słyszeć. – Możecie powiedzieć temu mężczyźnie, żeby mnie wpuścił, on nie wie, kim jestem, możecie mi powiedzieć, co się tutaj dzieje?

– Dzień dobry pani. Niestety nie możemy pani wpuścić, dopóki nie zabezpieczymy wszystkich śladów.

– Śladów, jakich śladów? To mój dom, mam prawo wejść na własną działkę.

Wchodziłam w słowo policjantowi, który jękając się, tłumaczył rozmowę.

– Proszę się uspokoić – powiedzieli jak echo.

Zamilkłam. Brezent był niebieski i gruby, i źle się układał na tym, co pod nim leżało.

„Lipa” – pomyślałam. „Dlaczego zrobiłeś to pod lipą?”

– Gdzie pani była w nocy?

– W Pradze.

– Czy ktoś może to powiedzieć?

– Słucham?

– Że była pani w Pradze. – Niemiecki młodego policjanta nie był zbyt dobry, używał nieodpowiednich słów, mówił niegramatycznie. „Miał na

myśli potwierdzić” – pomyślałam i ziemia pode mną zaczęła wirować. Potwierdzić, co robiłam w Pradze.

– Dziś rano byłam w Ikei – poinformowałam. – Mam rachunek. Wczoraj zatrzymałam się przy zamku w Mielniku na degustację win, pewnie mnie pamiętają. Możecie zajrzeć do auta, jeśli nie wierzycie.

Starszy policjant wyjął komórkę i czegoś w niej szukał. Wiem. Nazywał się Krall, Josef Krall!

– Gdzie jest Daniel? – wydusiłam. – Czy on... czy on...? – Nie byłam w stanie dokończyć zdania. Paraliżował mnie strach. Nikt nie zwrócił uwagi na moje pytania, nawet nie zostały przetłumaczone.

– Proszę spojrzeć na to zdjęcie – powiedział ten młody, podczas gdy Krall pokazał mi komórkę. – Rozpoznaje pani tę osobę?

Minęło kilka sekund, a może minut, zanim byłam w stanie spojrzeć w dół. Dwoje małych dzieci? Zdawały się siedzieć na huśtawce, słyszałam ich śmiech.

– Przepraszam, to moje wnuki – powiedział Josef Krall i nacisnął ekran grubym palcem, dzieci zniknęły. Wstukał swój PIN i pojawiło się właściwe zdjęcie.

Nie potrafiłam odwrócić wzroku. Patrzyłam i nic nie rozumiałam. Krew od karku w dół, na szyi, kobieta leżała półprofilem, policzkiem na ziemi. Miała rozpuszczone włosy.

„To nie Daniel” – pomyślałam. „To nie on”.

– A więc nigdy wcześniej jej pani nie widziała?

– Owszem – odparłam. – Przepraszam. Czy to... czy to ona tam leży?

Ludzie znowu zaczęli się kręcić wokół brezentu, jakiś mężczyzna chodził pochylony i coś mierzył na ziemi. Czułam zapach ziemi, słyszałam ich ciche głosy, coś, czego nie rozumiałam. Stałyśmy tam, pod tą lipą, to tam się pożegnałyśmy.

– Anna Jones. Nazywała się Anna Jones. Poznałyśmy się w zajeździe, nocowała tam, myślałam, że wyjechała.

– Znalazł ją pani mąż. Zadzwoił dziś rano. Czy kontaktowaliście się od tego czasu?

Dziś rano, tuż przed ósmą. Tuż przed tym, jak opuściłam pokój w Pradze, gdy wciąż czułam na skórze dotyk Paula, był jak świeże rany po poparzeniu, tak, rano też to robiliśmy, żeby zatrzeć złe wrażenie po nocnej rozmowie, może zrobiliśmy to właśnie dlatego. Czy kościelne dzwony nie wybijały wtedy ósmej, nie huczały przez otwarte okna?

Potem telefon Daniela zamilkł. Może go zgubił? Najpierw zadzwonił na policję, a potem do mnie, a może do nich później i to wtedy padł mu telefon.

– Znalazł ją tam, pod lipą. Podejrzewam, że kilof należy do was.

Komisarz pokazał mi inne zdjęcie. Kilof z dwoma ostrzami. Zakrzywionymi, ostrymi, zardzewiałymi. Długa drewniana rękojeść.

– Gdzie on jest? Gdzie jest mój mąż?

Być może któryś z nich się poruszył, zerknął w tamtym kierunku, nie wiem, może jedynie przez przypadek spojrzałam właśnie w tamtej chwili w górę, w stronę dwóch samochodów na podjeździe, a może, gdy się żyje ze sobą tak długo, to dzieją się niewytłumaczalne rzeczy.

Twarz Daniela w bocznej tylnej szybie samochodu. Napis „Policie” dominujący cały obraz, niebieskie i żółte elementy. Z tej odległości nie byłam w stanie zinterpretować wyrazu jego twarzy. Bał się, odczuwał pustkę, był wściekły?

Musiał mnie widzieć przez cały czas. Mimo to nie wysiadł z auta, nie podszedł do mnie i mnie nie objął, nie powiedział „wszystko będzie dobrze”.

– Mogę tam podejść i z nim porozmawiać?

– Niestety nie. Pojedzie z nami na komisariat.

– Dlaczego?

– Musimy mu zadać kilka pytań. Technicy jeszcze nie skończyli. Radzę przenocować gdzie indziej.

Zrobiłam kilka kroków w tył, w trawę, gdy rozwiązywali taśmę policyjną. To było chwilę po tym, jak dałam im moje rachunki. Samochód przejechał między słupami bramy i wolno mnie minął. Daniel musnął mnie spojrzeniem, to było jak dotknięcie, o którym nawet się nie wie. Żwir chrzęścił pod kołami, coraz dalej.

Zauważyłam te spojrzenia w restauracji. Kiedy do niej weszłam, rozmowy ucichły.

Właściciel zajazdu wyciągnął rękę z kluczem, ale nie od razu mi go dał. Najpierw upewnił się, czy numer osiem mi odpowiada.

– Jeśli to dla pani w porządku – powiedział z empatią w głosie. – Obawiam się, że to pokój tuż obok pokoju tej kobiety.

– A więc słyszał pan, co się stało?

– Nie mówią zbyt dużo. – Libor patrzył na mnie badawczo, szukał w moich reakcjach czegoś, co łączyłoby się z tym, czego już się dowiedział. Policja zadzwoniła do niego pół godziny wcześniej i poinformowała, że nie wolno mu wchodzić do tego pokoju. Wypadek, powiedzieli, chodzi o jednego z gości. W restauracji też o tym rozmawiano, ktoś widział radiowozy, ktoś inny słyszał jakieś plotki, Libor wydedukował, że to się stało na terenie mojej winnicy.

„Po prostu daj mi klucz” – pomyślałam. „Nie chce mi się z tobą gadać”.

– Jasne – zgodziłam się.

– Słucham?

– Może być sąsiedni pokój – oznajmiłam. – To nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– To straszne – powiedział, wciąż ściskając klucz w dłoni tak, że naprężyły mu się mięśnie i ścięgna. – Człowiek już nie wie, kto się tutaj kręci, wszędzie, kobiety nie są nigdzie bezpieczne, a mimo to każą nam przyjmować kolejnych emigrantów, uchodźców. Ale pani ją przecież znała, prawda? Pamiętam, że rozmawiałyście ze sobą.

– Nie chcę teraz o tym mówić.

– Naturalnie, to dla pani szok. – Libor ściszył głos, zerknął w głąb restauracji, gdzie kilku gości wznosiło okrzyki z powodu strzelonego albo straconego gola, właśnie trwał mecz. – Chciałbym tylko, żeby się pani nie przestraszyła, jeśli usłyszysz pani jakieś odgłosy dochodzące z pokoju numer siedem.

– Dziękuję.

– Muszą przeprowadzić dochodzenie. Nawet jeśli to wypadek. – Powiedział to tonem, z którego wywnioskowałam, że nie wierzy policji. – Więc proszę się nie zdziwić, jeśli pani coś usłyszy, tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Spokojnie – powiedziałam, ale spokój był ostatnią rzeczą, jaką czułam. – Nie wierzę w duchy.

W końcu włożył mi klucz do ręki. Musiałam pokonać dwa piętra. Walizka wydawała mi się cięższa niż poprzednio, chociaż było w niej to samo. Nie pozwolili mi nawet wejść do domu po czystą bieliznę.

Rzuciłam walizkę na podłogę i otworzyłam okno na całą szerokość.

Dwuosobowy pokój. To mogła być kwestia godzin, jak wypuszczą Daniela, ale tej nocy oczywiście nie mogliśmy wrócić do domu, nawet gdybym chciała.

Anna Jones miała rację. Pokoje były w porządku.

Usiadłam na szerokim łóżku. Było twarde. Poduszki i narzuta białe i jasnobrązowe, lampki nocne z tworzywa imitującego kryształ. Tapeta w odcieniach błękitu. Nad biurkiem wisiał obraz przedstawiający Bramę Pravčicką, naturalną bramę z piaskowca; czytałam, że kręcili tam scenę z Narnii. Zastony były podwójne, grube, można je było zaciągnąć, jeśli nie chciało się wyglądać przez okno ani żeby ktoś zaglądał do środka, jeśli chciało się długo spać lub wcale się nie obudzić.

Kiedy podniosłam słuchawkę hotelowego telefonu, usłyszałam kliknięcie, a potem sygnał. Relikt przeszłości, beżowy i nieporęczny, miał przyciski z powycieranymi numerami. Przypomniałam sobie, że zazwyczaj dzwoniło się przez zero. Udało się, byłam na linii.

Policja zarekwirowała wcześniej moją komórkę. Uprzejmie mnie o nią poprosili, by sprawdzić, czy mówiłam prawdę, oczywiście zobaczyć, gdzie byłam, komórka zbierała informacje i gromadziła moje ślady, była szpiegiem śledzącym każdy mój krok. Wiadomości od Paula usunęłam rano, jak zawsze. Wstyd mi było, że poczułam z tego powodu ulgę.

Nie mogę teraz odebrać.

Głos Daniela nagrany na automatycznej sekretarce, taki sam jak zawsze, jakby po prostu poszedł pobiegać. Poinformowałam go, gdzie jestem, i podałam mu numer do zajazdu, żeby mógł się ze mną skontaktować.

„Buziaki, Kocham cię, do zobaczenia niebawem”.

Laptopa w każdym razie mi nie zabrali. Przed wyjazdem do Pragi włożyłam go do walizki, może ze strachu, że Danielowi przyjdzie do głowy, by do niego zajrzeć, i odkryje coś, co należało tylko do mnie. Moje teksty. Szkice listów albo fragmenty wierszy, gmatwaninę emocji, które próbowałam nazwać.

Otworzyłam laptopa na biurku pod sceną z Narnii, nabrałam powietrza nosem i wypuściłam je ustami.

Dzieci. Muszę się skontaktować z dziećmi.

Nie miałam siły do nich dzwonić, nie chciałam usłyszeć, jak głośno radość w ich głosach, nie chciałam, żeby się o nas martwiły.

„...to tata ją znalazł, teraz jest na policji, ale nie martwcie się, naprawdę nic się nie stało”.

Wykasowałam to i zaczęłam od nowa.

„Rzeczowo – pomyślałam – żadnych zbędnych słów, ale też zbytniego owijania w bawełnę, chronienia ich, zwłaszcza My od razu by mnie przejrzała”. Napisałam: „nie martw się”, a ona odpowiedziała: „czym mam się nie martwić?”. To jej bardziej się spieszyło z wyprowadzką, zrobiła to rok przed Elmerem, chociaż była młodsza, a mimo to wkurzyła się, gdy sprzedaliśmy dom.

– Jasne, że macie spełniać swoje marzenia, po prostu trochę mi dziwnie z tym, że nie będę mogła wrócić do domu, w którym się wychowałam, a tak w ogóle, to wiecie, co robicie? Czy nie tak właśnie postępują zdesperowani ludzie w średnim wieku, by ratować swoje małżeństwo?

– Super, róbcie swoje – oświadczył Elmer i wrócił do swoich zajęć.

Weszłam na ich konta na Facebooku, najpierw na konto Elmera, a potem My. Żadne z nich nie było tam zbyt aktywne, prowadzili swoje społeczne życie na innych platformach, na które nie mogłam wchodzić bez poczucia, że ich śledzę, ale czasami pojawiło się jakieś zdjęcie, jakiś przyjaciel oznaczył ich na swojej fotce.

Elmer z kilkorgiem przyjaciół na koncercie w Seattle, nazwisko artysty nic mi nie mówiło. Link do jego najnowszego utworu, ambitna elektroniczna muzyka, chyba trochę za wolna i jednostajna, jak na moje ucho. My ze swoim chłopakiem, o ile jeszcze wciąż są razem, to było dwa miesiące temu, a ja nie pytałam, roześmiana i taka pełna życia, jej włosy rozwiane na tle spienionego potoku gdzieś pod Umeå.

Czy naprawdę muszą się natychmiast dowiedzieć, co się stało? Czy nie lepiej poczekać, aż wszystko się wyjaśni, aż Daniel wróci, aż rzeczywiście

nie będzie powodu do niepokoju?

Telefon wciąż milczał. Miałam ochotę wyrwać go z gniazdka i uderzyć nim o ścianę tak, by się rozpadł na brzydkie, bezsensowne kawałki plastiku, ale tego nie zrobiłam. Podniosłam słuchawkę, by usłyszeć kliknięcie, a potem sygnał, przekonać się, że naprawdę działa. Odłożyłam ją i ponownie zapadła cisza.

Marzyłam o tym, żeby się przespać, choć chwilę.

Zegar ratuszowy wybił piątą, a zaraz po nim rozległ się subtelniejszy dźwięk z wieży kościelnej, czas wypadł z taktu chwilę przed tym, nim ich usłyszałam.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że przez ścianę wszystko słyhać.

W pokoju obok otworzyły się i znowu zamknęły drzwi. Następnie rozległy się głosy, krótkie zdania z tym dłuższą ciszą pomiędzy nimi. Nie prowadzili rozmowy, raczej brzmiało to, jakby wydawali sobie polecenia. Nie wiem, dlaczego odniosłam wrażenie, że się spieszą. Dźwięk wysuwanych szuflad i zamykanej szafy. Stukoty i odgłosy trudniejsze do zinterpretowania. Kilka razy uderzono w ścianę, przy której siedziałam. Głuchy odgłos, pomyślałam, że to może walizka, którą przewrócili na podłogę. Może Anna Jones zdążyła się spakować, przecież mówiła, że niebawem wyjeżdża. Pościel – pewnie ją ze sobą wzięli. Co hotelowy pokój mógł właściwie powiedzieć o człowieku? Czy ktoś ją w nim odwiedzał? Kochanek, kochanka?

Nie wiem, dlaczego założyłam, że jest samotna.

Trochę później odniosłam wrażenie, że drzwi znowu się otworzyły. Pomyślałam, że Anna Jones wróciła. Żadnych dźwięków dobiegających z pokoju obok. Wydawało mi się, że drzwi dość szybko znowu się zamknęły, bardzo cicho, ledwo słyszalnie.

Ścierpły mi nogi od tego, że długo siedziałam skulona w okiennej niszy, próbując sobie przypomnieć, czy naprawdę włożyłam tę motykę do szopy?

Tak powiedziałam policji, ale już nie wiedziałam, czy dobrze pamiętam. Rozprostowałam nogi i zaczęłam krążyć po pokoju, z którego nie miałam odwagi wyjść. Musiałam czuwać przy telefonie. Im bardziej się koncentrowałam, by zobaczyć przed oczami Annę Jones, co właściwie robiła w takim pokoju jak ten, dzień za dniem, tym mniej byłam pewna jej obrazu, jaki miałam.

„Dlaczego poszła do winnicy dzisiejszej nocy, a może wczoraj wieczorem albo nawet wcześniej rano?” – zastanawiałam się w myślach. Uświadomiłam sobie, że nie wiem nawet, o której zmarła.

Pomyślałam o naszym pierwszym spotkaniu, przypomniałam sobie, że myślałam, że wiem, jakim jest typem człowieka. Kiedy to właściwie było? Ponad tydzień temu, ale chyba nie dawniej niż dwa tygodnie? Dni były tutaj zaskakująco do siebie podobne, na dobrą sprawę było obojętne, czy jest wtorek, czy środa. Potem podeszła do mnie, pewnego dnia, gdy padało, zamówiliśmy wino. Czy to było w ubiegły czwartek?

Znowu usiadłam w niszy, z laptopem na kolanach. Nie miałam siły siedzieć przy biurku, próba napisania do dzieci tylko obudziła we mnie jakieś lęki. Z okna miałam dobry widok na dachy budynków, w oddali majaczyła wieża ratuszowa, a ja zastanawiałam się, czy Daniel jest na sąsiadującym z nią komisariacie, przypomniałam sobie te grube kamienne mury, drzwi antywłamaniowe, brązowy wystrój. Zdałam sobie sprawę, że nie wypuszczą Daniela tego wieczoru, gdyby tak miało być, już by to zrobili. Zapadał zmrok, zegary wybiły najpierw siódmą, a później wpół do ósmej.

Kiedy to się właściwie zaczęło?

Spisuję to tylko dla siebie, żeby wszystko uporządkować. Przywołać tamte jasne, wczesnoletnie poranki, gdy pierwszy raz widziałam Annę Jones, zapamiętać wszystkie szczegóły, te ważne i te nieważne. Wszystko zaczyna się i kończy na Annie Jones. Jej obraz w narożniku restauracji, z książką, pod wypchaną głową rogowca wiszącą na ścianie.

Nie, nie przyszło mi wtedy do głowy, że to może być zły omen.

Pomyślałam tylko, że tam nie pasuje.

Wspomnienia są zwodnicze. Oszukują nas nieustannie, łączą jedno z drugim, bo tak chce nasz mózg, chce jakiejś prawidłowości i sensu, nawet jeśli to tylko przypadek, zmieniają się i wypełniają czymś, co opowiedział nam ktoś inny, lub czymś, o czym być może tylko śniliśmy.

Czy to rzeczywiście ja nawiązałam z nią kontakt czy może ona ze mną?

Czy w jej pytaniu o lipę było jakieś drugie dno czy słyszę to teraz, po fakcie?

Staram się panować nad emocjami, zatrzymuję się i zamykam oczy, staram się nie myśleć o teraźniejszości i tym wieczorze, który staje się coraz mroczniejszy.

Kim tak naprawdę byłaś, Anno Jones?

Czas prawie przestał istnieć. Przepływał przeze mnie jak powietrze, podczas gdy ja pisałam, godziny i minuty, gdy wdychałam i wydychałam niewidoczne cząsteczki, niebawem ten dzień miał się wreszcie skończyć. Wszystko bolało mnie ze zmęczenia, lecz nie miałam odwagi się położyć, bojąc się, że zasnę, bojąc się, że zapomnę, bojąc się strachu z powodu tego, co się stało. Wieczór był chłodniejszy, niż się do tego przyzwyczaiłam. Zamknęłam okno i poczułam, jaka jestem głodna, wcześniej zjadłam tylko kanapkę.

Libor wynurzył się z pomieszczenia na tyłach, gdy wcisnęłam guzik na kontuarze. Wyglądał, jakbym go właśnie obudziła. Było po jedenastej, a restauracja zamknięta, lecz zapiął kilka guzików koszuli i oznajmił, że może mi podgrzać gulasz.

Dziesięć minut później w kuchni zapiszczało, a on postawił na barze talerz. Podejrzewałam, że to resztki z lunchu.

– A pani mąż, mówiła pani, że kiedy się pojawi?

– Nie jestem pewna. Nikt nie dzwonił?

Właściciel zajazdu pokręcił przecząco głową i wyjął butelkę francuskiego wina.

– Niestety recepcja jest po północy zamknięta – poinformował. – Ale ma pani chyba komórkę?

Zabrałam się za gulasz, żeby nie musieć odpowiadać. Mięso było żylaste, a chleb odrobinę czerstwy.

– Proszę po prostu zejść na dół i otworzyć – dodał Libor. – To znaczy, gdy mąż się pojawi.

Chociaż wbiłam wzrok w talerz, to wiedziałam, że mnie obserwował, gdy wkładałam do ust kolejną łyżkę; pływające kawałki marchewki i ziemniaki z gulaszu, który był bardziej zupą, kleks śmietany rozdzielił się, kiedy dotknęła go łyżka, rozpląnął się i zabielił powierzchnię.

– Słyszałam, że policja tu była i przeszukiwała jej pokój – oznajmiłam, przerywając milczenie. – Wie pan, czy coś znaleźli?

– Wątpię. – Libor nalał sobie piwa z kija. – Na pani miejscu nie zadawałbym takich pytań nieodpowiednim osobom.

– Co pan ma na myśli?

Obserwował opadającą pianę. W oczekiwaniu na jego odpowiedź zdążyłam dojeść gulasz.

– Jesteśmy tutaj od dawna. Mój dziadek przejął to miejsce po wojnie i stałem na recepcji, jeszcze zanim dosięgałem do szafki na klucze. Może pani zauważyła, że nie mamy zbyt wielu gości, ale przeżyliśmy już gorsze czasy dzięki temu, że nie mieszałyśmy się w sprawy, które nas nie dotyczyły. Należy mieć oczy i uszy otwarte, ale nic nie słyszeć i nic nie widzieć. Wywieszać odpowiednią flagę, kiedy się powinno, czerwoną, gdy obowiązuje czerwień, państwową w czasach takich jak te. Radzę ostrożność, tylko tyle.

– Dlaczego? – Mój mózg był przymulony ze zmęczenia, z trudem nadążałam za jego tokiem myślenia. – Co powiedzieli?

– Mnie w każdym razie ani słowa. Ja pani też nic nie powiedziałem, jakby co. Przyszli i zrobili swoje tam, na górze, oddali klucz, podziękowali i sobie poszli. Byli bardzo grzeczni. Wydaje mi się, że zajęło im to niecałe pół godziny. Oczywiście zabrali ze sobą walizkę, rozpoznałem ją, sam ją wnosiłem na górę. Pomyślałem, że pewnie wrócą, by zdjąć odciski palców i zebrać materiał DNA, i zrobić to wszystko, co się ogląda w telewizji, lecz nawet nie zaplombowali drzwi. Jak już wspomniałem, jestem ostrożny, nie chcę się z nikim poróżnić, w takim miasteczku jak to lepiej tego nie robić.

Przypomniałam sobie, że odniosłam wrażenie, że się spieszyli. Musiałam usłyszeć Libora, który zajrzał do pokoju Anny, gdy już sobie poszli.

– Zapytałem tylko, czy już skończyli i czy można sprzątnąć pokój – ciągnął. – Cóż, proszę mi wybaczyć, nie chcę wyjść na gruboskórnego, coś straszego przytrafiło się jednemu z moich gości, to była taka sympatyczna kobieta, zawsze uprzejma, bardzo dyskretna, nigdy nie narzekała, choć w jej oczach nasz zajazd musiał wyglądać skromnie, ale muszę prowadzić mój biznes i wątpię, żeby policja zapłaciła mi za to, że ten pokój będzie stał pusty.

– Chyba nie rozumiem.

Pochylił się nad barem i ściszył głos, chociaż nikogo tam nie było.

– Pokoju nie trzeba było sprzątać – oświadczył. – W ogóle. Odwalili za mnie robotę, mili policjanci. Z tego, co widziałem, to wytarli każdą

powierzchnię, nie zostawili ani jednego śmiecia czy plamy, co najwyżej ziarnko kurzu.

Mogłam coś źle zrozumieć i może dodałam coś od siebie, jak już wspomniałam, jego angielski nie był zbyt dobry, a niemiecki jeszcze gorszy. Jedno słowo sprawdziłam później w słowniku, żeby być pewną, że dobrze je rozumiałam, jak to mam w zwyczaju, by uniknąć błędu w zapisie. Matka bibliotekarka wpoila mi, że należy przykładać wagę do poprawności językowej.

Auslöschen.

Zatrzeć.

Libor spojrział mi w oczy, gdy to mówił, dostrzegłam w jego spojrzeniu coś mrocznego.

– Nie przyszli, by obejrzeć pokój. Przyszli, by zatrzeć wszystkie ślady.

– Ale dlaczego?

– Cóż, to pytanie do nich. Ale lepiej nie zadawać takich pytań.

Następnie zmoczył ścierkę i zaczął dokładnie ścierać z baru tłuszcz i zaschnięte plamy po piwie.

Wizytówka wciąż znajdowała się w moim portfelu, gdy pomyślałam o niej w nocy, pisząc i równocześnie próbując zaplanować, co muszę zrobić, jak tylko się rozjaśni.

„Pójść na policję – pomyślałam – zadzwonić do ambasady, ale to dopiero za jakiś czas”.

Ręka tłumacza musnęła moją, gdy podawał mi wizytówkę.

Nie miałam odwagi zadzwonić przed ósmą rano. Spałam tylko dwie godziny, śniło mi się, że czegoś szukam, ale nie wiedziałam czego. Było za późno, za późno, by uratować Daniela, za późno na wszystko. Obudziłam się złana potem, chociaż śpiąc, zrzuciłam kołdrę i prześcieradło na podłogę.

Godzinę później Anton Adámek pojawił się w drzwiach restauracji. Usiadłam w rogu, z dala od innych, by nikt nie mógł nas usłyszeć. Przywitał się i zerknął na rogowca nade mną, po czym usiadł.

– Przykro mi – powiedział. – Najpierw ta historia z Niemcem sudeckim w waszej piwnicy, a teraz to. To musiał być dla pani szok.

– Napije się pan kawy?

– Zaraz będę leciał. Mam tam być o dziesiątej.

– Na policji?

Tłumacz skinął twierdząco głową i położył na stoliku swoją komórkę, wyświetliła się godzina. Miał czterdzieści sześć minut, spacer na rynek zajmował co najwyżej trzy minuty.

– Widział się pan z moim mężem? Wie pan, jak on się czuje?

– Zadzwonili po mnie wczoraj po południu, żeby mu wyjaśnić, o co chodzi, jakie ma prawa i tak dalej. Cóż mogę powiedzieć? Widziałem go tylko przez chwilę.

– I o co chodzi? Jest aresztowany, tymczasowo zatrzymany? Można go odwiedzić?

Anton Adámek się odwrócił, wyglądało na to, że przygląda się pozostałym gościom. Parze niemieckich turystów szykującej się na górską wycieczkę i stałemu klientowi, który zamówił pierwsze tego dnia piwo.

– Wypiję małą kawę – rzekł.

Ręka lekko mi drżała, gdy nalewałam mu kawy z dzbanka, który podano mi do śniadania.

– Oczywiście obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – dodał. – Właściwie w ogóle nie powinienem z panią rozmawiać.

Wydaje mi się, że jego wzrok zjechał niżej, między moje piersi, ale nie jestem pewna. Miałam na sobie białą sukienkę, makijażem zamaskowałam zmęczenie, rozświetliłam cienie pod oczami.

– Cieszę się, że pan przyszedł – powiedziałam.

Tłumacz dotknął łyżeczki.

– Mogą trzymać pani męża przez czterdzieści osiem godzin. Ma prawo skontaktować się ze swoją ambasadą, ale nie skorzystał z niego, ponieważ twierdzi, że nie popełnił żadnego przestępstwa, zażądał, obawiam się, że dość głośno, by go natychmiast wypuszczono. Chyba źle zrobił.

– Nie popełnił żadnego przestępstwa.

– Jestem tylko tłumaczem.

– Powinien mieć adwokata?

– Jeśli trafi do aresztu tymczasowego, to go dostanie niezależnie od tego, czy tego chce, czy nie. Prawo tego wymaga, gdy w grę wchodzi tak poważne przestępstwo.

– Czterdzieści osiem godzin? – Czas wirował mi w głowie, zabrali go około pierwszej poprzedniego dnia, a może liczą od chwili, gdy go zamknęli? Przed oczami miałam średniowieczną celę o grubych kamiennych murach. – To chore – stwierdziłam. – Naprawdę mogą trzymać człowieka przez dwie doby, nawet jeśli nic nie zrobił?

– O ile po upływie tych czterdziestu ośmiu godzin nie zostanie on przekazany do dyspozycji sądu wraz z wnioskiem o zastosowanie tymczasowego aresztowania. Bo jeśli tak, to mogą go trzymać przez kolejne dwadzieścia cztery godziny w oczekiwaniu na decyzję sądu.

Podniósł do ust filizankę z kawą i na jego twarzy pojawił się niewielki grymas, nie wiem, czy chodziło o kawę, system prawny czy zachowanie Daniela. To, że krzyczał, żądał i odmawiał...

– Jak pan myśli, kiedy będę go mogła zobaczyć?

– Teraz raczej nie ma takiej możliwości.

Mój strach przybrał inną formę. Czułam, że spadam w dół, przelatuję przez podłogę i wpadam do piwnicy, coraz głębiej i głębiej, że nie ma ucieczki.

– Mój mąż nie czuje się zbyt dobrze. – Chyba wbiłam wzrok w stół i mamrotałam pod nosem, bo widziałam przed sobą na wpół zjedzoną kanapkę, marmoladę morelową i żółty ser bez smaku.

– Przepraszam – przerwał mi tłumacz, pochylając się do przodu. – Nie usłyszałem...

Powtórzyłam to, co przed chwilą powiedziałam, i przypomniałam sobie, że gdy widzieliśmy się pierwszy raz, to spodobały mi się jego oczy. Pewne, głębokie spojrzenie.

– Naprawdę to rozumiem – oświadczył. – Nikt chyba nie czuje się dobrze w takiej sytuacji.

– Nie o to mi chodzi – oznajmiłam, zerkając na zegarek. Tłumacz miał jeszcze czas. Pomyślałam, że ktoś musi się o tym dowiedzieć, ktoś musi zrozumieć Daniela. – Chcę powiedzieć, że nie jest do końca sobą, może reagować, jak by to ująć, trochę ostro, dość agresywnie na małe rzeczy, chcę, żeby pan o tym wiedział, jeśli tak się właśnie będzie zachowywał podczas przesłuchania, to wcale nie musi oznaczać...

Anton Adámek przyglądał mi się w milczeniu, ale z zainteresowaniem, tak to przynajmniej odebrałam.

– To dlatego kupiliśmy tę winnicę – ciągnęłam. – Bo nie widział wyjścia z sytuacji. To nie była jego wina, potraktowano go niesprawiedliwie i nawet niezgodnie z prawem, ale to, co się stało, już się nie odstanie. Przeżył to dość mocno. Chodzi o pracę, która mu odpowiadała, był w tym dobry, kochał ją. Proszę sobie wyobrazić, że połowa pana życia, wszystko, co wydaje się panu takie pewne, zawała się w jedną noc. Że ludzie odwracają się do pana plecami, wycofują się.

– Mogę to sobie wyobrazić – stwierdził Anton Adámek.

– Uszkodził sobie kolano – powiedziałam. – Zimą dwa lata temu, na nartach w Alpach francuskich, i problem polegał na tym, że długo dochodził do siebie, może przez tego partacza, który przeprowadził pierwszą operację, a może po prostu miał pecha...

Dotarło do mnie, że wdałam się w zbyt szczegółowe wyjaśnienia, i zobaczyłam to też w oczach Antona, wymuszoną cierpliwość, jakby było mu mnie szkoda i dlatego pozwalał mi mówić, lecz ja nie mogłam powiedzieć tylko, że Daniel stracił pracę. Wtedy pomyśleliby, że to jego wina, a tak nie było. Chodziło o całą serię niesprzyjających okoliczności, które dziwnym trafem się na siebie nałożyły.

– Pracował w wydawnictwie publikującym podręczniki. Tutaj pewnie jest podobnie, że wszystko zmienia się bardzo szybko. Wszystkie materiały są zdigitalizowane i szkoły nie kupują już książek, dzieciaki dostają tablety. Wydawnictwa przechodzą reorganizację, dopasowują się do nowej rzeczywistości, ekonomiści zostają szefami, zaczynają się liczyć inne kompetencje, „cyfrowi tubylcy”, jak to określił jeden z nowych właścicieli, młodzi ludzie urodzeni w erze nowych mediów. Mija jakiś czas, zanim się orientujesz, że odbywają się spotkania, na które nie jesteś zapraszany, że twoje doświadczenie jest nic niewarte.

Wiem, że za dużo mówiłam, ale naprawdę chciałam, żeby to zrozumiał.

– Na to wszystko nałożyła się kontuzja kolana i trzy operacje, Daniela tam nie było i nie mógł bronić swojej pozycji.

Anton Adámek dotknął telefonu, pewnie żeby sprawdzić godzinę. Do stawienia się na komisariacie zostało mu osiemnaście minut.

– Proszę wybaczyć – oznajmiłam. – Wiem, że to długa historia...

– Chyba rozumiem, co mi pani chciała powiedzieć.

– Daniela zawsze doceniano. Nie mógł sobie wyobrazić, że zostanie jednym z nich.

– Jednym z nich?

Spojrzałam w dół, na podłogę, i poczułam się jak zdrajczynie. Wszystko, co robiłam, robiłam przecież dla Daniela. Zgodziłam się na kupno winnicy w tym przeklętym mieście, żebyśmy mogli zbudować coś nowego i własnego, coś trwałego, czego nikt nie mógłby mu zabrać, z czego miał być dumny.

– Rozumiem, że to dla pani trudne. – Spojrzenie Antona Adámka było intensywne, badawcze i może zainteresowane na różne sposoby. To mnie zdenerwowało.

– Chciałam panu wyjaśnić, że Daniela może wytrącić z równowagi drobnostka, jeśli czuje się tłamszony albo niezrozumiany. Z powodu tego, co się stało. Czasami wydaje mu się, że wszyscy są przeciwko niemu, ale nigdy by nie...

– Skłamałbym, mówiąc, że to proste. Nie ma żadnych świadków, jest mężczyzna, który bronił swojego dobytku, żona, której nie było całą noc.

– Kiedy to się właściwie stało? – spytałam. – W środku nocy czy rano?

– Nie wiem, czy mogę o tym mówić.

Kiedy do oczu napływają łzy i wiesz, że nie możesz się rozpląkać. Ktoś musi być opanowany, ktoś musi zachować zimną krew. Ktoś musi to

trzymać w kupie, gdy wszystko się wali.

– Gdybym tylko była wtedy w domu. Mogłabym zaświadczyć, że leżał w swoim łóżku, spał, wiem to, zdarza się nawet, że zażywa środki nasenne.

– Tylko nakreśliłem sytuację.

– Pojechałam do Pragi po lustra. Może pan sobie wyobrazić coś bardziej idiotycznego?

– Lustra?

– Nie mamy luster, ani jednego, a na człowieka to źle wpływa, gdy w ogóle się nie widzi. Nie mogę przestać myśleć o tym, że to wszystko może by się nie wydarzyło, gdyby samochód tam stał. Gdybym tylko była w domu.

Spadaj, przekłety płaczu.

– Ludzie je wyrzucali – oznajmił Anton Adámek. – Wprowadzając się do pustych domów. Mój ojciec wychował się w domu bez luster, nigdy nie przyzwyczał się do swojego widoku w lustrze. Podobno można w nich było zobaczyć Niemców sudeckich, tych, którzy tam wcześniej mieszkali.

Zostało jedenaście minut.

– Może pan pozdrowić ode mnie Daniela?

Kiedy wstał, zasłonił całe światło wpadające przez okna, marynarka zarzucona przez ramię, szerokie barki.

– Chyba nie powinienem wspominać, że się spotkaliśmy.

Potem sobie poszedł. Po uścisku jego ręki, ciepłym i pewnym, zostało we mnie uczucie porozumienia. Oparłam się na twardej sofie, wykończona napięciem. Ktoś w każdym razie mnie wysłuchał. Zrobiłam, co mogłam. Kilka sekund później zobaczyłam go, jak przechodzi pod oknem w drodze na rynek. Włożył marynarkę. Stawiał duże kroki.

Tropikalna fala upałów nad centralną Europą zamieniła się w coś, co przypominało szwedzkie lato. W wilgotny i irytujący wiatr, zdający się wiać z różnych kierunków i zatrzaskujący okna, deszcz wiszący w powietrzu. Wzięłam z samochodu cienką kurtkę przeciwdeszczową. Założyłam kaptur chroniący przed wiatrem. Daniel miał być przesłuchiwany przez kilka najbliższych godzin, pozostawało mi tylko czekać. Przez chwilę czułam się zawstydzająco wolna.

Idąc, poczułam jasność umysłu i jednocześnie niepokój, że to, co powiedziałam, może zostać opacznie zrozumiane i wcale nie pomoże Danielowi. Czy nie przedstawiłam go jako nieobliczalnego, na granicy, zdesperowanego? Jako mężczyznę, który za każdą cenę będzie bronił swojego rewiru, swojej własności.

Blżej rzeki wiatr przybrał na sile. Skręciłam, zanim dotarłam do mostu. Droga po tej stronie była prawie tak samo wąska i bardzo stara, z warstwą piachu, kamienia i asfaltu, zdartego przy poboczu.

Kilka zadbanych domów, zawałona stodoła. Następnie otworzył się widok na winnicę po drugiej stronie rzeki. Niewzruszona zieleń lipy, ciemna ziemia. Wszystko wyglądało tak spokojnie. Nigdzie ani śladu policji, żadnego samochodu, kompletnie żadnego ruchu z wyjątkiem wiatru poruszającego drzewami i trawą oraz kilku małych ptaków krążących nisko nad ziemią.

Długo tak stałam i próbowałam zdać sobie sprawę z tego, co czuję. Może zobaczyłam w oknie słabe światło, może gdzieś paliła się jakaś lampa. Miałam wrażenie, że jestem obserwowana, chociaż nikogo tam nie było. Przypomniałam sobie, co powiedział albo zacytował z pamięci Paul, gdy szliśmy przez starą Pragę, że to w domach toczy się tajemne, prawdziwe życie, którego nam tylko użyczają.

Węższa alejka prowadziła do domu ogrodnika, stał trochę na uboczu. Skrupulatnie wypielegnowany ogród, była tam fontanna w kształcie małej syrenki, kwitnący żywopłot z dzikiej róży i róże podobne do naszych.

Nacisnęłam dzwonek przy drzwiach, ale nie usłyszałam, żeby zadzwonił. Zapukałam i odczekałam kilka sekund, po czym ponownie zapukałam. Przecież obiecałam temu staruszkowi, że go wynajmę do pracy w ogrodzie. Zasługiwał na to, żeby się dowiedzieć, co się stało. Może już coś usłyszał w zajeździe albo gdzieś indziej, widział radiowozy po drugiej stronie rzeki. Pewnie się zastanawia, co powinien teraz zrobić.

Zeszłam po schodkach i ruszyłam w głąb ogrodu, żeby zobaczyć, czy go przypadkiem nie ma na zewnątrz. Nie rosły tam żadne chwasty, a trawnik był starannie wykoszony. Krzaki dzikiej róży pachniały jak te w moim dzieciństwie. Przez okno zobaczyłam tylko ramy obrazów i białe koronkowe firanki. Rozważałam, czy nie zostawić jakiejś wiadomości, lecz nie wiedziałam, co napisać. Czyżby Ján Kahuda zrezygnował z pracy w naszym ogrodzie? Poczulałam ogromne zmęczenie.

Może dalej tam chodził i podlewał róże?

– Przyszła pani. Wspaniale. Nie sądziłam, że pani przyjdzie.

Martha odłożyła książki, które trzymała w ręku, gdy zadzwańdz dzwoneczek nad drzwiami, nieomal wybiegła mi na spotkanie. Wzięła mnie pod ramię i wciągnąwszy do księgarni, zamknęła za mną drzwi.

– Słyszałam, coś okropnego. Zadźgali kogoś pod pani domem. Herbaty, kawy, czegokolwiek?

– Nie, dziękuję, nie zostanę długo.

Mimo to zdjęłam kurtkę, w drodze do księgarni złapał mnie deszcz.

– Przemarzała pani.

– To nic takiego.

– Proszę wejść.

Martha zamknęła drzwi na klucz.

– I tak nikt nie przyjdzie. Mam to gdzieś.

Zaciągnęła mnie do graciarni za ladą i włączyła czajnik. Paczka maślanych ciastek, widok na podwórko przez wąskie okno, kubły na śmieci. Rozpoznałam byłego prezydenta Václava Havla na oprawionym pogniecionym plakacie wiszącym na ścianie. Było na nim napisane „Havel na Hrad”.

– Havel do zamku – przetłumaczyła Martha. – To było w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy odsunęliśmy od władzy komunistów. Byłam tam, studiowałam wtedy w Pradze. To był jeden z tych wyborczych plakatów, które zaczęliśmy drukować zaraz potem, przed wyborami na prezydenta. Nigdy nie zapomnę tamtej nocy

sylwestrowej, gdy tańczyliśmy na placu Wacława, czuwając nad zwłokami Marksa i Lenina i wierząc, że nadchodzi wolność i szczęśliwe dni.

– A tak się nie stało?

– Zależy, kogo pani spyta.

Okryła moje ramiona rozpinanym swetrem i nalała do filizanek gorącej wody, ogrzałam sobie ręce. Miała rację, mówiąc, że przemarzłam. Wiało prosto z północy, wracając od ogrodnika, skręciłam w złą uliczkę i wyłądowałam między domami, przed którymi ujadły psy i stały ogrodowe krasnale.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała, siadając. – Co tam się właściwie stało?

– Nie wiem, czy mogę o tym mówić.

– Nikt nas nie słyszy. – Martha się uśmiechnęła i zapukała w stół. – Już nie.

– Co pani słyszała?

– Ktoś powiedział, chyba sąsiadka z naprzeciwka, że to się stało na terenie winnicy, i wtedy pomyślałam o pani, ale według jednego nauczyciela ofiarą jest ktoś nie stąd, jakiś włóczęga albo turysta. Sprzedawca ze sklepu żelaznego tuż obok twierdzi, że już kogoś złapali. To dobrze.

Zamieszałam kawę, zjadłam ciastko i wzięłam kolejne, próbując pozbierać myśli. Co z tego wszystkiego, o czym mówiła Martha, mogło wyjść od policji, a co komuś być może tylko się wydawało, lecz i tak rozповідаł o tym na prawo i lewo. Przypomniało mi się, że widziałam wtedy na moście szpiegującą grupkę młodzieży.

– Czyli ludzie mówią, że zamordowano jakiegoś mężczyznę?

Martha zrobiła wielkie oczy.

– Nikt nie powiedział, że on nie żyje – zdziwiła się.

– Jeśli pani powiem, co tam się stało, to domyślą się, od kogo to wyszło – oznajmiłam. – Wygląda na to, że oni nie chcą, żeby ta sprawa ujrzała światło dzienne, a ja nie wiem dlaczego.

Martha oparła się o krzesło z filizanką w dłoniach, obserwowała mnie, pijąc.

– Wie pani, dlaczego z takim uporem prowadzę tę księgarnię? – spytała. – Chociaż prawie nikt już nie kupuje książek i ledwie zarabiam na prąd i czynsz, i już trzydzieści lat temu zarzekałam się, że stąd wyjadę?

Pokręciłam przecząco głową, a Martha spojrzała na kubły na śmieci, szare elewacje budynków, trochę złomu leżącego w rogu.

– Moja babcia pracowała tutaj jako sprzedawczyni, potem przejęła tę księgarnię, a później prowadziła ją moja mama. W latach siedemdziesiątych wylądowała w obozie pracy przymusowej, w kopalni rudy uranu w Jáchymovie, za to, że sprzedawała spod lady samizdat, wydawnictwa podziemne. Komuniści oczywiście zajęli księgarnię i straciliśmy przynależące do niej mieszkanie. – Martha wskazała palcem na sufit, na piętro, a ja zdążyłam pomyśleć, że to jest jak sen, mała księgarnia z mieszkaniem na górze. – Praktycznie rzecz biorąc, to urodziłam się tam, na górze. Po aksamitnej rewolucji, gdy jeszcze żyła moja mama, chociaż już wtedy miała zaawansowanego raka, udało nam się odzyskać księgarnię. Procesowałyśmy się przez siedem lat, lecz wydaje mi się, że to ją właśnie trzymało przy życiu, bardziej niż te wszystkie chemie i naświetlania. Pomimo strasznych bólów kazała mi się tutaj przywieźć na wózku tego dnia, gdy dostałyśmy z powrotem klucze. Tydzień później już nie żyła. Proszę mi wierzyć, nauczyłam się trzymać język za zębami.

– To nie był mężczyzna – oznajmiłam.

Martha obserwowała mnie przez kilka sekund, po czym głośno odstawiła filiżankę na stół.

– A niech mnie – rzuciła. – Czy to zawsze musi być kobieta? Jakaś biedaczka, prostytutka z Ukrainy albo z Mołdawii. Przez kilka lat od otwarcia granic przy tutejszych drogach był istny burdel, aż do niemieckiej granicy. Naprawdę mam nadzieję, że będzie pani miała teraz odwagę tam mieszkać, że złapali tego skurczybyka.

Gdzieś w pobliżu hałasowała wentylacja, głucho i irytująco buczenie.

– Nie wiem, czy to pani pamięta – powiedziałam – ale kiedy tu ostatnio wpadłam, była tu również inna kobieta, dość długo ze sobą rozmawialiśmy.

– Tak, jasne, że pamiętam, ma na imię Anna. Często tu zagląda, ostatnio jest moim najlepszym klientem, ale nie widziałam jej od dwóch dni, może wyjechała...

Przerwała zdanie na wdechu. Zobaczyłam, że wpada w amok, błędziła wzrokiem, aż w końcu spojrzała na mnie. Jej oczy jakby straciły kolor, zmatowiały, jak gdyby wchłoneły całą tę szarość, która była za oknem.

– To nieprawda – bąknęła. – Proszę mi powiedzieć, że to nieprawda.

Cisza wystarczyła. Nieudzielenie odpowiedzi również było odpowiedzią, i tak niosło się echem, wypełniło ciasne pomieszczenie. „Nic nie powiedziałam” – pomyślałam. „Nikt nie może mnie o nic oskarżyć, bo nawet nie wypowiedziałam jej imienia ani nazwiska”.

– Ale dlaczego? – spytała w końcu Martha. – Kto chciał ją skrzywdzić?

– Nie wiem. To mógł być przypadek, że trafiło właśnie na nią.

– Kupiła u mnie sporo książek, kilka po angielsku, w wydaniu kieszonkowym, a po pocztówkę lub dwie przychodziła prawie codziennie, lecz nigdy nie odpowiedziała mi szczerze na pytanie, co tutaj robi. „Rozglądam się po okolicy, w której nigdy nie byłam” – to była jej odpowiedź. Dobrze ją pani znała?

– Nie, wcale.

Buczenie wentylacji jakby przybierało na sile. Między kubłami na śmieci przebiegł szary kot, do złudzenia przypominający szczura.

Pomyślałam o Madame Bovary, kompletnie o niej zapomniałam. Miała dość zdrowego rozsądku, żeby samej zatroszczyć się o jedzenie, czy przyzwyczajona do karmienia siedziała teraz i miauczała?

– Nie rozumiem, dlaczego przyszła do nas w środku nocy – dodałam. – A może o świcie. Może chciała ze mną o czymś porozmawiać?

– To nie pani wina, chyba to pani wie?

Nie odpowiedziałam, bo nie wiedziałam, czy powiedzieć „zgadza się, to nie moja wina”, czy „tak, wiem”, zresztą byłam przekonana, że w jakiś sposób ponoszę za to odpowiedzialność. To ja ją do nas zaprosiłam.

– Miała dzieci – poinformowałam. – Dorosłe dzieci w Anglii. Zastanawiam się, czy już wiedzą.

– Ale była Niemką, wychowała się gdzieś we wschodnich Niemczech – oznajmiła Martha. – Wiem o tym, bo rozmawiałyśmy o rzeczach, o których można porozmawiać tylko z kimś, kto ma to doświadczenie. Powiedziała, że do szewskiej pasji doprowadza ją to, że w pracy na Zachodzie wszyscy milczą, gdy kierownik zachowuje się jak idiota. Nie rozumiała, czego się tak boją. „Przecież za to nie idzie się do więzienia. Co najwyżej spada się szczebel niżej na drabinie kariery”.

– Niebawem mogła stracić pracę – rzekłam. – A może już straciła. Odniosłam wrażenie, że zastanawiała się, co zrobić z resztą swojego życia.

Obie zamilkłyśmy. Miałam ochotę się rozplakać, lecz zamiast tego wstałam i umieściłam filiżankę w małym zlewie.

– Pozostaje wierzyć, że policja robi, co w jej mocy – stwierdziłam.

– Hm – mruknęła Martha.

– Pora wracać.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Nie boi się pani?

Powiedziałam, że nocuję w zajeździe, ale nie wspomniałam o Danielu.

– Znalazłam coś dla pani – poinformowała Martha. – Ale teraz pewnie nie ma pani do tego głowy.

– Do czego?

– W magazynie. Przecież obiecałam, że czegoś poszukam, gdy pani tu ostatnio była. – Martha też wstała z krzesła, przepłukała filizanki.

– Racja – powiedziałam, próbując sobie przypomnieć, o co wtedy pytałam. O jakieś książki. Wydało mi się to teraz nieistotne. Miałam przed oczami pokój w zajeździe, pomyślałam o biciu dzwonów kościelnych i tamtejszym telefonie. Za dobę miało minąć te czterdzieści osiem godzin. – Co pani znalazła?

Martha wysupłała z kieszeni klucze.

Nie ruszyła z powrotem do księgarni, tylko zeszła po schodkach na dół i otworzyła drzwi, które okazały się prowadzić do kanciapy z akcesoriami do sprzątania. Za wiadrami i mopami oraz stosem kartonów były kolejne drzwi i węższe schody, kończące się przy niskich drewnianych drzwiach z żelaznymi okuciami, znajdowałyśmy się jakieś dziesięć metrów pod ziemią, a klucz był chyba trzy razy większy od pozostałych kluczy.

– Tego miejsca mama nigdy nie oddała, przez całe lata trzymała je w tajemnicy. Opowiedziała mi o nim tego samego dnia, gdy dostałyśmy decyzję, że księgarnia znów jest nasza.

Spowiła nas ciemność, poczułam dobrze mi znaną woń piwnicy. Suche, chłodne powietrze. Murowane ściany, nieregularne kamienne schody. Martha nacisnęła włącznik i pod nami zapaliło się słabe światło.

Na końcu musiałam przykucnąć, sufit coraz bardziej się obniżał. W miejscu, gdzie kończyły się schody, zaczynało się wysprzątane pomieszczenie. Goła żarówka u sufitu. Pomieszczenie wypełniały książki. Na regałach, ułożone w stosy, w kartonach, wszędzie wzdłuż ścian, z wyjątkiem miejsc, gdzie korytarze szły dalej w ciemność.

– Niech pani patrzy pod nogi – uprzedziła Martha. – Jest tu mały bałagan.

– Nie sądziłam, że do tych tuneli można wejść – zdziwiłam się. – Czy nie zostały zamknięte sto lat temu?

– Już nigdzie nie prowadzą, zaczynają się i nagle kończą, jak ślepa kiszka.

Ostrożnie przejechałam ręką po kilku grzbietach książek, były pokryte delikatną warstwą kurzu. Poczułam cichy szacunek do tego, co stare, do wiedzy, do wszystkiego, co zostało zebrane pomiędzy okładkami.

– Co to za książki?

– Na górze głównie wysyłane przez mamę do kopalni rud uranu, pisma i książki, które udało jej się ukryć. Mnóstwo dzieł pisarzy związanych ze środowiskiem Karty 77, znalazłam nawet odbitą na powielaczu Kartę 77, a tutaj ma pani Bohumila Hrabala, jednego z naszych największych pisarzy... – Martha wyjęła plik kartek z jednego z pudeł. – Jego powieści przetłumaczono na wiele języków, ale tutaj miał zakaz publikacji i drukował je w samizdacie. Mama pokazywała mi je z wielkim entuzjazmem, z tak wielkim, na jaki tylko pozwalały wysokie dawki morfiny. Myślała, że będę je mogła zanieść do księgarni, gdy zapanuje wolność, lecz stało się to dopiero kilka lat po aksamitnej rewolucji. Tak szybko to zleciało. Dzienniki więzienne Havla albo jego listy do żony Olgi, niektóre z nich pewnie mogłabym sprzedać, gdyby nie to, co powiedział o Niemcach sudeckich.

– A co powiedział?

– Że powinniśmy ich prosić o wybaczenie.

Martha weszła dalej, do jednego ze ślepych korytarzy, do których nie docierało światło. Jej głos zanikał.

– A teraz prawie nikt nie kupuje już literatury, żyję z książek kupowanych na gwiazdkę, map i może z Harry’ego Pottera, bo wszyscy chcieliby, żeby poza światem, który widzimy, istniał jeszcze świat magiczny.

Weszłam za nią i prawie na nią wpadłam.

– Proszę uważać.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało, ale mogła pani wywinąć orła.

Martha włączyła latarkę. Przed jej nogami rozpościerała się dziura otoczona z trzech stron małym murkiem, kolejne schodki prowadziły jeszcze dalej w głąb. Wyglądały jak wykute w skale. Przypomniałam sobie, że średniowieczne tunele znajdowały się trzy piętra pod miastem.

Cień Marthy przemieszczał się po moich stopach.

– Jak głęboko zejdziemy?

– Tylko dotąd.

Martha zatrzymała się na półpiętrze i skinęła głową w stronę następnych schodów prowadzących w ciemność.

– Na samym dole znajdują się książki ukryte przez poprzednich właścicieli, zanim weszli tu naziści. To była starsza żydowska para, deportowano ich do Terezina, ale wcześniej udało im się uratować książki. Literaturę, która inaczej spłonęłaby na stosie, ponieważ była żydowska, deprawująca lub zbyt rewolucyjna. Freud i Jung, oczywiście Marks, Bertolt Brecht, Kafka... W zasadzie zarówno moja babcia, jak i mama mogły ją wyciągnąć i otwarcie sprzedać za komunizmu, ale to prawie same niemieckie pozycje, a w tamtych czasach wypędzono stąd niemieckojęzyczną ludność, więc kto miałby je czytać?

W głębi otwierało się kolejne pomieszczenie, podłużne, z zaokrąglonym sufitem i kilkoma małymi niszami wykutymi w ścianach. Stosy książek na podłodze i książki ułożone na półkach z ciemnego drewna wyglądających, jakby zostały zbite tutaj, na miejscu, krzywych i wypaczonych w niektórych miejscach, kompletnie bez ładu i składu.

– Proszę wejść, właśnie to chciałam pani pokazać.

Martha włączyła lampę na baterie stojącą na małym biurku. Były tam również krzesło, filiżanka z zaschniętą kawą oraz zmięte opakowanie po czekoladzie, najwyraźniej Martha bywała tutaj na dole.

Na biurku leżało też kilka zeszytów i książka. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam nuty, partyturę. Książka była otwarta. Stare czarno-białe fotografie, a na nich kościół, jakaś klasa i kilka osób stojących przed swoim domem.

– Rozpoznaje je pani?

– Które?

Wskazała palcem portret rodzinny. Mężczyzna miał ujmujące wąsy i kapelusz w rękę, matka trzymała na rękach niemowlę. Mały chłopiec prężył się dumnie tuż obok.

Potem poznałam schody, małe szybki w drzwiach wejściowych. Wejście, z którego nigdy nie korzystaliśmy, gdzie płyty chodnikowe poprzerastały chwasty.

Zdjęcie przedstawiało Viktora i Annę Hellerów – dzieci nazywały się Otto i Johann – zostało zrobione w 1914. Erzgebirge Weinberg. Nazwa

winnicy.

– Generalnie strasznie nudna książka – podsumowała Martha. – Rodzaj kroniki przedstawiającej życie Niemców w tym mieście. Ale kiedy zobaczyłam to zdjęcie i imiona tych ludzi, to pomyślałam o czymś innym. – Wyjęła niewielki plik partytur, kartki pożółkły, a może papier był taki od samego początku, ozdobne, górnolotne litery na okładce, dzieło Ferenc Liszta.

Liebestraum – Marzenie miłosne.

Martha podniosła pierwszą kartkę i wskazała palcem stempel. Exlibris. Julia Heller.

„Gdzie to ja całkiem niedawno widziałam to imię?” – pomyślałam.

Wino! To imię widniało na jednej z etykiet na kwaśnym winie.

– Nie mam pewności – powiedziała Martha. – Ale jeśli ta osoba jest spokrewniona z ludźmi stojącymi na schodach, to można zgadywać, że w pani salonach ktoś grał Liszta.

– Niesamowite – stwierdziłam. – Kiedy byłam ostatnio w księgarni, to pani go puszczała.

– Zabawne, nie pamiętam. Naprawdę?

Przekartkowałam partytury, żałując, że nie potrafię ich przeczytać, że nie słyszę muzyki wydobywającej się z nut.

– Liszt nie tylko opisuje miłość, on w sobie rozkochuje – dodała Martha.

– Wiele lat temu wzięłam je do domu, żeby poćwiczyć, i przypomniało mi się, że wcześniej wiele razy natykałam się na ten exlibris, gdy przeglądałam to wszystko i próbowałam tu trochę uporządkować. – Przeszła nad kilkoma pudłami i zbliżała się do krzywego regału. – Moja matka próbowała to wszystko jakoś logicznie posortować, lecz niestety nie zdążyła mi powiedzieć, jaka logika tym wszystkim rządzi. Panuje tu kompletny chaos.

Martha podniosła książkę oprawioną w skórę. Zobaczyłam, że to dzieło Goethego. Pieczętka na stronie tytułowej, ten sam exlibris.

– Znajduje się tu jakieś piętnaście czy dwadzieścia woluminów, które należały do Julii Heller, możliwe, że jest ich więcej, nie przejrzałam jeszcze wszystkich książek. A i tak staruszce nie udało się uratować wszystkiego.

Martha przejechała ręką po grzbietach książek oprawionych w skórę, wyjęła jedną ze spuchniętymi okładkami, kartki były pofalowane i sklezione ze sobą.

– Zamokły od deszczu – stwierdziła.

Cisza zamknięta tak głęboko pod ziemią jest szczególna. I nie chodzi tutaj o brak dźwięków, tylko o coś fundamentalnego, jak ta ubita ziemia, jak skała. Gdy tylko Martha milkła na kilka sekund, miałam wrażenie, że słowa już zostały pochłonięte, nie było żadnego echa, nie zostawało nic poza uczuciem, że cisza staje się coraz gęstsza, z powodu tego wszystkiego, co ze sobą niesie.

Stary księgarz przeżył obóz koncentracyjny. Wrócił z niego sam. Jego żona została deportowana na północ, z zapewnieniem, że jedzie w zdrowsze miejsce, gdzie sobie odpocznie. Oznaczało to, że została zastrzelona w jakimś lesie we wschodniej Polsce. On sam uczył dzieci w Terezynie tak długo, jak tylko mógł. Pisania i czytania, podczas gdy pociągi do Auschwitz odjeżdżały coraz częściej. Jakby kurczowo trzymał się słów, podsumowała babcia, jakby mogły kogoś uratować.

Kontynuowała swoją pracę, gdy księgarz wrócił z obozu. Pomogła mu sprzątnąć w księgarni, znowu ustawić książki na półkach, a potem jeszcze raz posprzątać, po tym jak wściekli Czesi wybili kamieniami okna wystawowe. Wyrzucili z księgarni wszystkie niemieckie książki, jakie w niej znaleźli, i je podpalili. Babcia widziała to przez okno i bała się wyjść. W tamtych czasach takie rzeczy były na porządku dziennym tuż po ogłoszeniu pokoju i w następnych miesiącach. Jako Czeszka babcia była raczej bezpieczna, lecz równocześnie pracowała w księgarni i sprzedawała niemiecką literaturę.

Potem, zarówno późno wieczorem, jak i późną jesienią, gdy większość Niemców sudeckich wygoniono z miasta, a ich domy i gospodarstwa zajmowali przesiedleńcy z południa – to się działo szybko, czasami jeszcze zanim poprzedni właściciele się wynieśli – widywała starego księgarza, jak chodził wolno ulicami miasta, rowami między gospodarstwami na obrzeżach, pochylony. Zbierał książki wyrzucone przez nowo przybyłych. Goethego oprawionego w skórę, skarby, które stały się zniechęconymi śmieciami. Do opuszczonych domostw wprowadzali się biedni chłopcy i czescy nacjonałiści, ludzie z różnych stron kraju, zwabieni obietnicą pracy i pustymi domami, ale również trochę Rumunów i Ukraińców oraz prawdziwych kryminalistów, którzy korzystali z okazji i plądrowali cudzą własność.

Stary księgarz udawał się na poszukiwania nawet w deszczu, widziała go, jak ślizgał się na glinie. Brał tyle, ile był w stanie unieść, i chował

w piwnicy, dokładnie jak kilka lat wcześniej chował żydowską literaturę, do dnia, aż ktoś wejdzie do księgarni i o nie zapyta, bo nie mógł patrzeć, jak leżą w rynsztoku.

– Słyszałam, jak mama spytała kiedyś babcię, co robiła, czy mu pomagała. Babcia pod koniec swojego życia piła sporo becherovki, wokół jej łóżka zawsze unosił się korzenny zapach, cóż, piła w łóżku, trzęsła się i wymiotowała, chyba po to, żeby zasnąć, by uśmierzyć ból. „Powinnam była – odparła – gdybym nie miała ciebie i gdyby tylko nie padało”.

Niewiele później księgarza również deportowano, jednym z ostatnich pociągów, które na dobre wywoziły z kraju Niemców sudeckich. To była zemsta za to, że chcieli połączenia z Niemcami i zaprosili Hitlera, zemsta za wojnę, za nazistowski terror, za masakrę w Lidicach, zemsta za wszystko.

– Ale powiedziała pani, że był Żydem.

– Mówił po niemiecku, jak większość Żydów w tym kraju. Dlatego zaklasyfikowano go jako Niemca i wysłano do Niemiec, a o tym, co tam się stało, moja babcia raczej nie mogła wiedzieć, w każdym razie nic o tym nie mówiła. Zanim pociąg ruszył, księgarz przepisał na nią księgarnię. Cały majątek i tak im zabrano. W narodowych dekretach napisano, że nie mają prawa wrócić ani żądać odzyskania mienia, dekrety się uprawomocniły i obowiązują od tamtej pory.

Martha usiadła w niszy, z której odchodził w górę kanał wentylacyjny. Odrobina dziennego światła wpadała do środka przez wąską kratę trzydzieści metrów nad nami. Zaczęła zwijać skręta.

– Proszę się nie martwić dymem, wentylacja odprowadzi go do góry. Zapali pani?

Zaciągnęła się i podała mi nieforemnego skręta. Poczułam słodki zapach, gdy wydmuchała dym. Dym zrobił półobrót nad jej głową, zanim się wzniósł do góry.

– Przepraszam, zapomniałam – powiedziała ze śmiechem. – Jest pani z Zachodu, więc pewnie przestała pani palić trawkę w wieku czternastu lat.

– Trzynastu – poprawiłam ją, przysuwając krzesło bliżej wentylacji. Zaciągnęłam się zbyt szybko i głęboko, oczy zaszyły mi łzami, gdy kasłałam. Od bardzo dawna nie paliłam trawki. Martha wzięła ode mnie skręta, a potem znowu mi go dała. Wydawało mi się, że zaczynam

dostrzegać powiązania między różnymi rzeczami, tworzyły pajęczą sieć. Nic nie było już przypadkowe, wszystko było jej częścią.

– Planowałam tylko pojechać do domu, by pomóc mamie – ciągnęła Martha. – Miała doczekać się sprawiedliwości, a ja miałam posprzątać i uciec z tej czeskiej dziury raz na zawsze, ale porządkowanie nie szło mi zbyt dobrze. A kiedy próbowałam wrócić do Pragi, era wolności i możliwości już się skończyła, rewolucjoniści, dysydenci i studenci rozpierchli się na skutek walki o władzę, pozycję i pieniądze, noce w cudzych mieszkaniach minęły bezpowrotnie. Staliśmy się tacy jak wszyscy... jak...

– Jak my?

– Wy na Zachodzie myśleliście, że tego właśnie chcemy – odparła Martha i wypuściwszy z ust kilka kótek dymu, przyglądała się im. – Ale my biliśmy się o prawo bycia sobą.

Trzymała skręta, żebym mogła zaciągnąć się ostatni raz, prawie poparzyła sobie opuszki palców, jej głos unosił się jak mgła razem z błękitnym dymem w kierunku małej kropki słońca wysoko nad nami. „Naprawdę świeci słońce?” – pomyślałam. Dopiero co padało, a może wszystko pomieszałam, to w opowieści Marthy padał deszcz. Myśląc o mieście nade mną, zobaczyłam ulicę późną jesienią czterdziestego piątego roku, książki płynące rynsztokiem i mężczyznę, który próbował je ukryć pod swoim płaszczem. O dziwo, trudniej mi było sobie wyobrazić, jak wyglądała ta ulica zaledwie kilka godzin wcześniej.

– Jako dziecko nie zastanawiasz się, dlaczego w środku wsi stoi opuszczony kościół ani czemu w zamku jest magazyn cementu. Nieobecność milczy, o niczym nie opowiada.

Martha wtarła w podłogę ostatnie żdźbła marihuany, zmiażdżyła je podeszwą, aż nie został po niej nawet ślad.

W wielu wsiach i miasteczkach takich jak to niemieckojęzyczna ludność stanowiła większość. Na przestrzeni kilku miesięcy radykalnie się to zmieniło, zniknęła cała kultura i połowa historii regionu. To było, zanim komuniści przejęli władzę w 1948 roku. W sumie z Kraju Sudetów wypędzono prawie trzy miliony ludzi.

I nikt o tym nie mówił.

– Nie powinnam była tego przeglądać – oświadczyła Martha. – Nie było w tym żadnego celu, tylko chęć posprzątania po zmarłych, dokończenia

tego, co niedokończone, ale z każdą znalezioną rzeczą zatracalam się w tym coraz bardziej.

To nie były tylko książki. Jej babcia kontynuowała zbieranie po tym, jak księgarz został wywieziony, może z poczucia winy. Znosiła kartony z podręcznikami, kartotekami, szkolnymi zdjęciami, wszystkim, co wyrzucono, gdy na dobre zamknięto niemiecką szkołę podstawową. Były tam gminne dokumenty dotyczące niemieckojęzycznej ludności, którą władze nie musiały już sobie zaprzętać głowy, dokumentacja medyczna z niemieckiej przychodni, pamflety i ulotki, bajki z niemieckiego przedszkola i w środku tego wszystkiego kilka pudeł z czeskimi książkami, które najprawdopodobniej wyrzucono, gdy komuniści przejęli władzę kilka lat później.

– Kiedy w końcu tu zeszałam, mama miała już przerzuty do mózgu i halucynacje, no i brała te wszystkie leki, nie mogła mi odpowiedzieć na każde pytanie. Zostało tak niewiele czasu i wtedy chce się rozmawiać o miłości, wspominać to, co piękne, a nie rozpamiętywać rzeczy, o których nikt nie chciał wiedzieć, choć zdarzały się wyjątki. Mama prawie nie miała wspomnień z tego roku, gdy nastał pokój, lecz pamiętała, że zobaczyła książeczki dla dzieci umieszczone w pudle i zrobiło jej się smutno, bo nie mogła ich dotknąć. Ten wieczór, gdy palono książki na ulicy, też wyrzył jej się w pamięci, musiała mieć wtedy trzy latka, tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty, wracała do tego w ostatnich miesiącach swojego życia, kiedy to często przy niej siedziałam. Przed śmiercią człowiek mówi o rzeczach, które być może całe życie ocierały się o jego korę mózgową, ale nigdy nie zostały wypowiedziane, ponieważ dorośli twierdzili, że o takich rzeczach się nie rozmawia. Babcia zamknęła ją w domu i zabroniła jej wychodzić, ale mama widziała ludzi biegających po ulicy, słyszała ich krzyki, krzyczeli o zdrajcach, krzyczeli o śmierci, a potem wybito szybę w sklepie na dole i wybuchł pożar, a ona myślała, że znowu jest wojna.

Śniło ci się, powiedziała później babcia, jest pokój, nie będzie znowu wojny, lecz mama kaszlała od dymu przez wiele dni. Czarne zasy śnieżne jeszcze długo leżały pod drzwiami.

Rozbolała mnie głowa, przyjemne odurzenie zamieniło się w coś ciężkiego i przymulającego.

– Zamieniali się dziećmi, wiedziała pani o tym?

– Jak to, zamieniali się?

– Podejrzewam, że nie słyszała pani o Kindertausch?

Pokręciłam przecząco głową. Sufit zawirował. Siedziałam bez ruchu.

– To był rodzaj wymiany studenckiej na najniższym poziomie – dodała Martha. – Piękny, stary zwyczaj w Kraju Sudetów. Żeby dzieci były dwujęzyczne, czescy rodzice pozwalali mieszkać swoim dzieciom z niemieckimi rodzinami przez wakacje albo jeden semestr w roku szkolnym i vice versa. Zwyczaj sięgał dziewiętnastego wieku albo jeszcze dalej i nie był kultywowany przez najbogatszych, tych było stać, żeby wysyłać dzieci do renomowanych szkół w Wiedniu, tylko przez klasę robotniczą i chłopów, którzy traktowali to jako korzyść, w tej okolicy posługiwano się przecież oboma językami od średniowiecza. Często między dziećmi a tymi rodzinami nawiązywały się przyjaźnie na całe życie, dzieci zyskiwały dodatkową rodzinę. Ludzie wymieniali się dziećmi jeszcze w latach trzydziestych, pomimo całej tej propagandy o czystości rasowej. – Martha pogrzebała w pudle i wyjęła kilka pism po czesku, tłumaczyła mi na głos: – „Mówienie innym językiem aniżeli swoim ojczystym źle wpływa na osobowość dzieci, czyni z nich złodziei i morderców...” I piosenka w szkolnym podręczniku: „Jestem szczęśliwy tam, gdzie dźwięczy czeska mowa, chcę chodzić do szkoły, w której uczą się czeskie dzieci...”

Rzuciła kartkami daleko od siebie, spadły na ziemię gdzieś, gdzie zaczynała się ciemność.

– Uczono nas, że za całe zło odpowiadają naziści, ale prawda jest taka, że nasi rodacy przez dziesięciolecia szerzyli podobną propagandę, zanim Hitler doszedł do władzy. Prawdziwy naród i bla, bla, bla. To, że Hitler był szaleńcem, wcale nie oznaczało, że my byliśmy tacy mądrzy.

Miałam ochotę zapalić kolejnego skręta, ale zabrakło mi odwagi, by poprosić o niego Marthę. Uczucie zmęczenia zamieniło się w niepokój, poczułam, jakby coś rozsadało mnie od środka, musiałam się ruszyć. Spojrzałam na zegarek i pomyślałam, że być może Daniel próbował się ze mną skontaktować. Przesłuchanie musiało się chyba skończyć.

– To była najbogatsza część Europy, żyliśmy razem tysiąc lat. Opiekowaliśmy się dziećmi naszych sąsiadów, a dzieci nazywały przyszywanych rodziców Vater i Mutter albo otec i matka, więc kiedy rozpoczęła się nienawiść?

– Przepraszam – powiedziałam. – Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Słońce świeciło ukośnie między domami i sprawiało, że kałuże lśniły. Bez przy wejściu w końcu całkowicie rozkwitł.

– Szukali pani – poinformował Libor, gdy weszłam.

Wyrwał kartkę z notesu i położył ją na barze. Zobaczyłam na niej godzinę dziesiątą.

– Chcą, żeby jutro rano pojawiła się pani na komisariacie. Ma pani coś do odebrania.

Klimatyzacja rzeziła, miała już swoje lata. W ciasnej recepcji zajazdu było ciepło i duszno. Pomimo tego zrobiło mi się w środku zimno, jakbym wciąż znajdowała się pod ziemią.

– Dziękuję. – Złożyłam kartkę, starając się zachować spokój. Miałam coś do odebrania? Pewnie chodziło o komórkę. – Nikt inny nie dzwonił?

Właściciel zajazdu pokręcił przecząco głową i pochylił się nad barem. Ściszył głos, a mimo to brzmiał on ostrzej niż zwykle, szorstko, jakby wydawał mi polecenie.

– Proszę nic nie mówić o pokoju. Nie chcę mieć problemów. Muszę prowadzić biznes.

Zapewniłam go, że nie pamiętam, by mi coś mówił, a on się uśmiechnął.

– Miejmy nadzieję, że złapali winnego – oznajmił, przejeżdżając ręką po blacie, jakby zauważył warstwę niewidzialnego kurzu. – Nie lubię, gdy moim gościom coś się przytrafia. Nie tylko dlatego, że to źle wpływa na interes, po prostu tego nie lubię.

Przez chwilę leżałam na łóżku. Przez chwilę siedziałam w oknie i przez nie wyglądałam. Kilka godzin siedziałam przy komputerze i próbowałam sobie przypomnieć rzeczy, które może nie miały żadnego znaczenia. Następnie na tyle zgłodniałam, że zeszłam na dół i zamówiłam sznycła.

Był ogromny. Nie wiem, jak to się stało, ale zjadłam wszystko.

Tego wieczoru obsługiwała młoda kelnerka, która pracowała w tutejszej restauracji dorywczo, ale Libor sam do mnie podszedł i napełnił mój kieliszek.

Siedziałam przy stoliku na samym końcu, tak wyszło. Czasami próbowałam spojrzeć na restaurację oczami Anny Jones. Tapicerowane krzesła wydały mi się mniej atrakcyjne, staromodne i brzydkie, ciemny wystrój – smutny. Pojawiono się więcej turystów w butach trekkingowych, biły od nich pewność siebie i zdrowie, rozkładali na stołach mapy.

Libor wysunął krzesło i usiadł obok mnie.

– Słyszałem, że wczoraj pochowali tego niemieckiego żołnierza – poinformował.

– Jakiego żołnierza?

– Tego, którego znaleziono w waszej piwnicy.

Miałam ochotę się roześmiać, ale nie byłam w stanie.

– Kto tak powiedział?

– To małe miasto – rzekł właściciel. – I dawno już nie kopano grobu na tym cmentarzu.

Wino tylko potęgowało mój ból głowy, lecz i tak opróżniłam kieliszek. „Małe miasto – pomyślałam – prowincja. Tęsknota za miejscem, w którym wszyscy się znają”.

– Sam zaszył się w piwnicy, gdy weszli Rosjanie – dodał Libor – czy ukryli go tam właściciele tego domu, o tym też się gada.

– Nie był żadnym żołnierzem – oświadczyłam. – Tylko dzieckiem.

– Dzieckiem – powtórzył Libor. – Które wyrosłoby na żołnierza.

Odzyskanie telefonu komórkowego było prostsze, niż myślałam. Podałam na dyżurce moje nazwisko, podpisałam jakiś papier i dostałam go w plastikowym woreczku. Nie miałam wrażenia, że zwyciężyłam czy odzyskałam wolność, raczej byłam zestresowana, myśląc o tym, do kogo powinnam zadzwonić.

Mężczyzna za szklaną szybą podniósł rękę w geście nakazującym, żebym poczekała. Wykonał telefon, wskazując palcem ławkę przytwierdzoną do ściany.

Telefon był wyładowany i martwy. Nie mogłam sobie przypomnieć PIN-u i miałam nadzieję, że gdzieś go zapisałam. W końcu z pokoju na tyłach dyżurki wyszła jakaś kobieta i zamachała w moją stronę. Dziwnie wystrojona, jak na to miejsce, wysokie obcasy i bluzka opięta na biuście, długie paznokcie pociągnięte perłowym lakierem, nie odezwała się ani słowem, gdy za nią szłam. Pod trzecimi drzwiami stali Anton Adámek i młody policjant, którego rozpoznałam. Był w winnicy po tym, jak znaleziono Annę Jones.

Podając mi rękę, poinformował, że chcą mi tylko zadać kilka uzupełniających pytań.

– Chcą wiedzieć, co pani wie o zamordowanej, co robiła u państwa w domu – przetłumaczył Anton Adámek.

– Gdzie jest Daniel? Czy areszt znajduje się w tym budynku? Czy mogę go zobaczyć?

– Proszę po prostu powiedzieć, co pani wie.

Pomieszczenie było mniejsze niż ostatnio, tylko z dwoma krzesłami. Ja i policjant usiedliśmy po przeciwnych stronach stołu, tłumacz stał po skosie za moimi plecami.

Głęboko zaczerpnęłam powietrza i opowiedziałam wszystko od samego początku, o tym, jak poznałam Annę Jones i o czym wtedy rozmawialiśmy. Część tych rzeczy zeznałam już, gdy zadawali mi pytania przy lipie, lecz wtedy nie było z nami profesjonalnego tłumacza. Czułam się bezpiecznie, słysząc ten miękki, rzeczowy, męski głos tłumaczący każde moje zdanie, miałam wrażenie, że to, co mówię, staje się bardziej prawdziwe.

– Jak pani myśli, co Anna Jones robiła przed państwa domem tuż przed świtem?

– Nie wiedziałam, że to było przed świtem.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Nie wiem, co tam robiła.

– Czy wspomniała, że widziała się z kimś na mieście?

– Nie. Odniosłam wrażenie, że jest sama.

– Czy wyrażała się o kimś niepocholebnie?

– Zdecydowanie nie. Była miła, uprzejma, niewiele o sobie mówiła. Możliwe, że była trochę przygnębiona albo zagubiona. Mogła stracić pracę, była rozwódką, wydaje mi się, że od niedawna. Skontaktowaliście się z jej dziećmi?

– Jaką miała relację z pani mężem?

– Słucham?

W pokoju zapadła cisza, wymienili spojrzenia. Przełknęłam ślinę.

– Żadnej – wydusiłam z siebie. – Spotkali się tylko raz.

Policjant wbił wzrok w swoje papiery, zaczął je przeglądać.

– A pani była... w Ikei?

– Już wszystko na ten temat powiedziałam.

Policjant spojrział mi w oczy.

– Ustalono, że zmarła między czwartą a szóstą rano. Nie wydaje mi się, żeby Ikea była wtedy czynna.

– Nocowałam w Pradze, tam powinno to być napisane.

– Oczywiście. Potrzebujemy czegoś, co mogłoby to potwierdzić.

Paliły mnie policzki i szyja. Paul zapłacił, jak zawsze, pokój był zarezerwowany na jego nazwisko. Nie miałam żadnego rachunku.

– Muszę poszukać rachunku – powiedziałam.

– Wspaniale.

Policjant ułożył równo papiery. Następnie podkreślił, że wszystko, co dotyczy tej sprawy, jest poufne ze względu na prowadzone dochodzenie i nie wolno mi z nikim na ten temat rozmawiać.

Kiedy wstał z krzesła, znowu spytałam o Daniela. Było chwilę po jedenastej, za dwie godziny miało minąć czterdzieści osiem godzin.

– To nie ja prowadzę te przesłuchania – oświadczył.

– Wypuście go dzisiaj?

– Nie ja o tym decyduję.

Policjant przypomniał mi o dostarczeniu rachunku i się pożegnał. Zdążyłam zerknąć na jego identyfikator, ale nie udało mi się zapamiętać nazwiska.

Anton Adámek wyszedł ze mną aż na ulicę. Stał blisko, lecz nie patrzył na mnie, tylko nad moją głową, jakby nie chciał, żeby ktoś zobaczył, że się znamy, albo coś w ten deseń. Ze się właśnie zaprzyjaźniamy.

– Dziś rano widziałem sędziego – poinformował cicho. – Przykro mi, ale to oznacza, że mogą chcieć go zatrzymać w areszcie.

– To niemożliwe.

– Może potrzebują tylko więcej czasu. Proszę się nie martwić.

Ręka tłumacza musnęła lekko moją rękę, a może to był wiatr, wirujące liście, coś nieistotnego.

Potem odwrócił się i odszedł. Nie, nie odchodź, chciałam krzyknąć, wróć tutaj i dopilnuj, żeby nie było żadnych nieporozumień, ale on wsiadł do błyszczącego niebieskiego samochodu zaparkowanego na rynku. Zrobił pół kółka i gdzieś odjechał.

Niemiecki cmentarz nie był zaznaczony na żadnej mapie. Znajdował się przy dawnym wyjeździe z miasta, który teraz prowadził donikąd.

Po drugiej stronie drogi ruiny.

Poluzowana na zawiasach żelazna brama wbijała się w ziemię i była lekko uchylona. Cmentarz leżał na górze. Wiekowe drzewa dawały

przyjemny cień, trawa sięgała mi do ud. Pokrzywy, osty, wszędzie nagrobki. Stały krzywo, pociemniałe, wiele z nich było poprzewracanych i popękanych, poprzerastanych mleciami i niezapominajkami. Widziałam groby całkowicie porośnięte mchem, Jezusa zardzewiałego na krzyżu i zniszczone tablice nagrobne z nieczytelnymi nazwiskami, to było miejsce opuszczonych zmarłych. Zastanowiło mnie, jak to jest opuszczać miejsce, gdzie spoczywają twoi rodzice, czy to jakoś wpływa na człowieka. Prochy moich rodziców zostały rozsypane w Gaju Pamięci, nie ma żadnego kamienia, żadnego grobu, o który trzeba dbać.

Czytałam nazwiska, które niebawem zostaną zatarte przez czas, wiatr i deszcz, Körner, Kaiser, Dimter, Blau. Niektóre mogiły miały nowe tablice nagrobne, czarny granit błyszczał w słońcu.

Jacyś krewni musieli tu przyjechać i zadbać o to, by nazwiska bliskich zostały na nowo wygrawerowane.

Górka stawała się coraz bardziej stroma. Pochyliłam się pod nisko rosnącymi gałęziami i potknęłam się o to, co zostało ze zniszczonego grobu, wdepnęłam w coś, co – miałam nadzieję – było kretowiskiem.

Na całym cmentarzu znajdował się tylko jeden świeży grób, w trudno dostępnym narożniku, prawie na samym szczycie wzniesienia. Zobaczyłam niedbale zagrabioną ziemię. Stałam tam przez chwilę, mając przed oczami tego skulonego chłopca.

To miejsce nie emanowało spokojem, w każdym razie ja go nie czułam.

Śmierć tego chłopca i to, co się wydarzyło ponad dobę wcześniej, dzieliły dziesięciolecia. Czy te dwie tragedie mogły być ze sobą jakoś powiązane?

Żałowałam, że nie znałam jego imienia.

W drodze na dół minęłam rozwaloną kryptę, prawie całkowicie porośniętą mchem. Nie wiem dlaczego, ale pochyliłam się nad nią i zobaczyłam małe schodki prowadzące w dół. Nic nie mogło mnie zmusić do zejścia na dół, a równocześnie kusiło mnie, by to zrobić. Zakręciło mi się w głowie i poczułam lekkie mdłości. Zbyt szybko stamtąd odeszłam i znowu źle stanęłam, fragment zniszczonego kamienia nagrobnego wbił mi się w kolano, gdy próbowałam nie upaść.

Nie wiem, czy najpierw zobaczyłam różę, czy imiona. To był kamienny krzyż z dwoma mniejszymi kamieniami obok, kilka metrów ode mnie. Jeden z nich był do połowy zwiertzały. Szeroki kamienny cokół schowany pod mchem, grób rodzinny.

Viktor i Anna Hellerowie.

Na grobie rosła róża, prawie purpurowa, jeszcze nie całkiem przekwitła. Przejechałam palcem po niewyraźnych pęknięciach w kamieniu. 1917. Rok śmierci Viktora, trzy lata po tym, jak zrobiono tamto zdjęcie. Anna żyła do 1937 roku. Dziwnie mi było z tym, że wiedziałam, jak wyglądali. Pod ich imionami wygrawerowano jeszcze jedno imię. Otto, urodzony w 1922 roku. Chłopiec, który stał obok nich na tamtym zdjęciu, poległ na wojnie w 1943 roku. Nie musiałam liczyć, ile miał wtedy lat, oplakujące go osoby wyryły to na kamieniu: „Lebensj. 30”. Pomyślałam, że uznali za ważne, by to podkreślić, chociaż zabrakło im pieniędzy lub miejsca, żeby umieścić całe słowo Lebensjahre. Żył lat tyle i tyle.

Ostrożnie odgarnełam pokrzywy i trawę, z których wyleciał trzmiel.

Nie było innych imion.

– Dobrze panią potraktowali na policji?

Libor był zajęty papierami, administracją, obserwował mnie z boku.

– Proszę się nie martwić – odparłam. – Nic im nie powiedziałam.

Kupiłam kanapkę i pomyślałam, że zjem ją w pokoju. Libor nie pytał już o mojego męża. Może podejrzewał, że Daniel mnie zostawił, albo wiedział, co jest grane. Ludzie mogli sobie gadać, Daniel i tak mógł wyjść w każdej chwili.

Wyobraziłam sobie, że wsiadamy do samochodu i stąd odjeżdżamy. Moglibyśmy wynająć gdzieś dom lub mieszkanie, naprawdę małe, gdziekolwiek, na portugalskim wybrzeżu nad Atlantykiem albo nad jeziorem w północnej Norrlandii, a pośrednik nieruchomości zająłby się w tym czasie sprzedażą winnicy. Zamieścilibyśmy lepsze ogłoszenie, szybko by poszło. Nawet gdybyśmy stracili na tym finansowo, pieniądze nie miały znaczenia. To tylko papierowe banknoty, cyfry kurczące się na koncie.

Kupiłam butelkę soku w automacie przy recepcji.

– Mamy pełne obłożenie na lato – poinformował właściciel zajazdu. – Oczywiście Niemcy, ale też ludzie z innych zakątków Europy. Miło, że odkrywają te strony.

– To piękna okolica.

– I człowiek nie chce mieć problemów z policją.

Automat wydał mi za dużo reszty. Położyłam pieniądze na ladzie.

– Naprawdę nie zamierzam przysparzać panu problemów – oświadczyłam.

– Nie podejrzewam pani o to. – Libor zamknął wciąż papierową księgę hotelową. – Ale pytanie, co mam zrobić z tym.

Odwrócił się i wysunął szufladę, najpierw nie widziałam, co wyjmuje.

– Nie wiem, co robić. Czy zanieść to na policję, czy pójść z tym na pocztę, zrobiłbym to już kilka dni temu, gdyby nie to, że nie miałem żadnych pilnych listów do wysłania, a poza tym nie opróżniałem jej w ostatnich dniach. – Skinął głową w stronę małej skrzynki na listy obok kontuaru. – Oszczędzam gościom fatygi, nie muszą biegać po mieście i szukać znaczków, a potem skrzynki na listy, tę usługę zapoczątkował mój ojciec. Klienci bardzo ją sobie chwalili, a koszt był niewielki. Teraz, gdy ludzie przestali wysyłać pocztówki, jest jeszcze mniejszy. Dlatego czasami zapominam do niej zajrzeć.

Położył na kontuarze widokówkę. Przedstawiała rynek. Ratusz, arkady, komisariat policji, gdzie byłam tego samego ranka, na samą myśl o tym aż się wzdrygnęłam.

– Często je wysyłała, prawie codziennie.

– Kto? Chodzi panu o Annę Jones?

Zdawało mi się, że słyszę szum własnego krwiobiegu, czy co to jest za dźwięk, który się słyszy od wewnątrz, ciche buczenie automatu z zimnymi napojami ma, zdaje się, taką samą częstotliwość.

– Spotkałam ją w księgarni, gdy je kupowała – powiedziałam. – Pomyślałam wtedy o tym, że nikt już nie wysyła kartek. Do kogo jest zaadresowana?

Miałam nadzieję, że napisała do swoich dzieci, że po raz ostatni je pozdrowiła i w ten sposób dowiedzą się, że o nich myślała, że znajdą w tym pocieszenie.

– Oczywiście nie czytam korespondencji klientów – oświadczył Libor. – Mój ojciec też robił to tylko w wyjątkowych przypadkach, gdy dostał taki rozkaz od StB.

– StB?

– Aparat bezpieczeństwa w dawnych czasach. – Znowu przerwa, to samo ciche buczenie. – Ale adres musiałem rzecz jasna sprawdzić, żeby wiedzieć, jaki przykleić znaczek.

– I?

– Trzydzieści pięć koron, opłata pocztowa w obrębie Europy. Adres we wschodnich Niemczech, tak jak na innych kartkach, zawsze były zaadresowane do tej samej osoby. Miała zostać wysłana, ale czy mam to teraz zrobić?

„Dolina Niewiedzących” – pomyślałam. „Miejsce, w którym dorastała”.

– Pisze, że u niej wszystko w porządku – dodał. – Nie żebym czytał cudzą korespondencję, ale czasami człowiek przez przypadek coś zobaczy. Życzy miłego dnia. Nie wiem, czy powinienem teraz to wysłać. Adresat ma chyba prawo się dowiedzieć, że nadawca nie żyje?

– Niech pan ją włoży do koperty i wyśle jako list.

– Nie lubię się mieszać w nie swoje sprawy – oświadczył Libor.

– To dlaczego w takim razie nie zanieś pan tej kartki na policję?

Tęskniłam za moim pokojem, biciem zegarów, do których już się przyzwyczyłam, chciałam zjeść kanapkę, a potem zasnąć.

Libor się uśmiechnął.

– I problem zniknie w tej samej piwnicy co reszta rzeczy, które stąd zabrali.

Właśnie zasiadłam do śniadania i otwierałam marmoladę w plastikowym opakowaniu, gdy coś stało się ze światłem nad moimi rękami, padł na nie jakiś cień.

Daniel.

Nie spodziewałam się go tak wcześnie, przeszkodził mi w śniadaniu. Mieli go wypuścić dopiero po lunchu, po upływie tych dwudziestu czterech godzin, o ile nie znajdą żadnych podstaw do tymczasowego aresztowania, wtedy byłabym przygotowana, chociaż tak naprawdę wcale w to nie wierzyłam. Obawiałam się, że zatrzymają go w areszcie i nasze życie zmieni się na zawsze, chociaż ono już się zmieniło, tylko że ja tego nie widziałam.

Ale teraz on tam stał.

Inny, a mimo wszystko taki sam, miał tylko kilkudniowy zarost i rozbiegane, zakłopotane spojrzenie.

Może minęło tylko kilka sekund, taką mam nadzieję, że nie zauważył, że się zawahałam, zanim go objęłam. Mocno i długo go przytulałam, aż poczułam ciężar jego głowy na swoim ramieniu, pociągał nosem, ale nie sądzę, żeby płakał.

– Jedźmy do domu – zaproponował.

– Nie chcesz zjeść śniadania?

– Nie, dzięki.

Nie wiem, które z nas pierwsze wyswobodziło się z uścisku. Daniel podniósł rękę i otarł moje łzy, chwyciłam ją i pocałowałam.

– Mam tutaj pokój dla nas obojga – poinformowałam. – Możesz pójść na górę i odpocząć. Albo wziąć prysznic. Albo zrobić coś innego.

Odwrócił wzrok, spojrzał na ścianę, może przyglądał się starym zdjęciom myśliwych i ich trofeom, pejzażom z jeleniami, ptakami, a może wcale ich nie widział.

– Mogę jechać sam – oświadczył. – Gdzie masz auto?

– Okej. – Odłożyłam marmoladę, którą mocno ścisakałam w dłoni, stojąc, wlałam w siebie letnią kawę, prawie zimną. – Jedziemy do domu, skoro chcesz.

Wzięłam z pokoju torbę z brudami, lecz się nie wymeldowałam. „Sam się przekona” – pomyślałam. „Teraz wydaje mu się, że chce tam być, ale wieczorem będzie inaczej, noc to zupełnie co innego”.

Daniel już siedział w samochodzie, gdy wyszłam z zajazdu.

– Jak tam było? – spytałam.

– Trzymali mnie w celi – odparł. – Nie mogłem rozmawiać ze strażnikami. Włączali i wyłączali światło od zewnątrz, musiałem prosić o wodę.

– Dlaczego nie chciałeś się skontaktować z ambasadą?

– Nie mają pojęcia, kim jestem.

– Ale mogli ci pomóc, może wyszedłbyś szybciej.

– Przecież tu jestem.

Zamknął oczy i ponownie je otworzył, uruchomił silnik. W milczeniu sunęliśmy przez miasto wąskimi uliczkami, przyspieszyliśmy, gdy odstęp między domami zrobiły się większe. Prowadził nerwowo, jakby kogoś gonił, szarpał autem.

– Rozmawiałaś z dziećmi? – zainteresował się.

– Chciałam poczekać, aż dowiem się czegoś więcej.

– Więc nic nie wiedzą?

– Chciałeś, żeby się dowiedziały?

Daniel zatrzymał się przy moście, żeby przepuścić ciężarówkę nadjeżdżającą z przeciwka.

– Nie – odparł. – Albo może. Nie wiem.

– Nie chciałam ich martwić. Nie muszą od razu o wszystkim wiedzieć, nikt nie musi. Lepiej, żeby się dowiedzieli, co się naprawdę stało, niż żeby mieli snuć domysły i podejrzewać najgorsze. Tak pomyślałam.

– A co jest najgorsze?

Kolejna ciężarówka, właśnie w chwili, gdy poprzednia przejechała z hukiem i podniosła piach, kurz i spaliny, które nas spowiły.

Dotknęłam jego ręki zaciśniętej na kierownicy.

– To nie ma żadnego znaczenia – powiedziałam. – Jesteś wolny, możemy robić, co chcemy.

Daniel miał na sobie ten sam T-shirt co trzy dni wcześniej. Ciekawiło mnie, czy dali mu jakieś specjalne ciuchy, czy siedział w tym samym podkoszulku, dzinsach i bokserkach przez te trzy dni. Bo jeśli tak, to powinny być przepocone, a ja powinnam bardziej czuć jego strach. Musiałam się starać, by go nie pytać o pewne rzeczy, nie teraz, jeszcze

nie, nie teraz, gdy dodał gazu i pędził przez most, żeby zdążyć przed następną ciężarówką, którą już było widać na zakręcie.

Za oknem mignął mi stary browar, rozciągające się dookoła pola, pasek czegoś czerwonego, co jeszcze kwitło. Ciężarówka znajdowała się nie dalej jak trzydzieści metrów od nas, nie wiem dokładnie, może bliżej. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, Daniel stracił kontrolę nad samochodem. Prawie wjechał do rowu, kwiatki rosnące na poboczu smagały karoserię, zanim udało mu się zapanować nad autem i zwolnić.

– Rany boskie – rzuciłam.

– Była daleko. Wbrew temu, co myślisz, nie jestem wariatem.

– Wcale tak nie myślę.

W ciszy podjechaliśmy pod dom.

Daniel zwolnił na podjeździe, minęliśmy lipę, oboje ją widzieliśmy i staraliśmy się na nią nie patrzeć, nie wspomnieliśmy o tym miejscu ani słowem. Danielowi się spieszyło, otworzył drzwi do kuchni. Ja zostałam w samochodzie.

Zaskoczyły mnie cisza i spokój. Coś się wydarza, a potem jest tak, jakby to się wcale nie stało. Tylko świeża ziemia pod drzewem, wyrwane kępki trawy i mleczy tam, gdzie chodzili. Niebawem wszystko miało na nowo wypuścić korzenie, a ślady znikną.

Potem dostrzegłam kotkę. Jej oczy przypominające błyszczące szparki, siedziała obok krzaka, cierpliwie, i patrzyła, jakby na mnie czekała. Przykucnęłam i zaczęłam do niej czule przemawiać. Madame Bovary nie podeszła, ale też nie czmychnęła, po prostu siedziała bez ruchu.

Nie pomyślałam o tym, by kupić jej kocie jedzenie, lecz w spiżarni były jeszcze konserwy. Ten zapach w środku, stęchlizna i coś spleśniałego. Naczynia z zaschniętymi resztkami jedzenia, może chleb w reklamówce, kawałek kiełbasy, który zwabił muchy. Przewróciło mi się w żołądku.

Daniel poszedł prosto pod prysznic, usłyszałam, jak puszcza wodę.

Tylko miseczka kota była wylizana i lśniąca. Nałożyłam podwójną porcję, nalałam wody. Kotka podeszła do mnie, naprawdę to zrobiła. Cicho zamiauczała, jakby chciała mi opowiedzieć, co porabiała.

Wyszeptałam, że mi przykro, przeprosiłam ją.

Kiedy pół godziny później Daniel wyszedł spod prysznica, ja zdążyłam już namoczyć wszystkie naczynia. Okazało się, że wcale nie jest ich tak dużo, gdy już wszystko pozbierałam, szklanki i filizanki, parę talerzy z nieokreślonymi resztkami, kilka pustych puszek po piwie, rzeczy,

których nigdy nie zostawiam na noc, lubię schodzić rano do lśniącej czystości kuchni, zaczynać każdy dzień od nowa.

To musiały być resztki z lunchu albo kolacji Daniela z tego dnia, gdy byłam w Pradze, z dnia przed jego zatrzymaniem. Dlaczego tego nie sprzątnął, dlaczego tak to zostawił?

„Wszystko się wali, gdy tylko odwracam wzrok. Jak długo to właściwie trwa, od jak dawna wsłuchuję się w jego emocje, wyręczam go, wszystko za niego załatwiam? Pół roku, rok?” – myślałam.

Wrzuciłam resztki jedzenia do worka na śmieci, w lodówce też tego trochę było, pomarszczone pomidory, przeterminowane mleko, zniosłam wszystko na kompost. Przyniosłam torbę z samochodu i namoczyłam wszystkie brudy w jednym z dużych porcelanowych zlewów w dawnej pralni w piwnicy.

Wszędzie widziałam znaki świadczące o tym, że była tam policja i czegoś szukała. Wysunięte szuflady w sypialni, gdy poszłam po czystą bieliznę, poprzewracane walizki w garderobie, uchylona kuchenna szafka, której rzadko używaliśmy. Otworzyłam okno i wpuściłam do środka trochę powietrza. Włączyłam ekspres do kawy, w zamrażarce znalazłam chleb tostowy. Masło wciąż było świeże. W lodówce znalazłam sok i coś na kanapkę. Wydawało mi się, że minęło więcej czasu.

Potem Daniel wyszedł spod prysznica z ręcznikiem obwiązany wokół bioder. Nappełnił szklankę wodą i stał, wcale jej nie pijąc.

– Pytali mnie, czy broniłem swojego obojścia – powiedział. Nie widziałam jego twarzy, tylko zaciśnięte szczęki, kark. Mówił zduszonym głosem, jakby każde słowo wypowiadał bez powietrza, bo się skończyło. – Pytali, czy bywam agresywny. Czy czuję się zagrożony, gdy ktoś przekracza granicę mojej działki, powiedzieli, że to zrozumiałe. Mężczyzna chce bronić swojego dobytku, to naturalne, komisarz też by tak zrobił. Powiedzieli, że jeśli się przyznam, to wyrok może być łagodniejszy, działałem w obronie własnej, czy coś takiego.

Zrobiłam kilka kroków w jego kierunku, położyłam mu rękę na karku.

– Już po wszystkim. Wypuścili cię. Nie jesteś o nic podejrzany, gdyby tak było, toby cię zatrzymali w areszcie.

– Zrobiłem jej zdjęcie, gdy tam leżała. Spytałi dlaczego. Nie myślałem. Po prostu to zrobiłem.

Mięśnie twarde jak kamień pod moją ręką, pod jego skórą.

– Chodź – powiedziałam. – Usiądź. Zjemy coś. Musisz coś zjeść.

Zapach tostów, kawy. W każdym razie usiadł, lecz wciąż na mnie nie patrzył. Posmarowałam tost i położyłam mu na talerzu, sam chyba nie zauważył, że go zjadł, a później zaczął mówić.

– Nie wiem, co mnie obudziło ani dlaczego wstałem i wyjrzałem przez okno. Chyba jakiś dźwięk. Albo cisza, która potem nastąpiła. Chyba coś zobaczyłem, pod drzewem, ale nie miałem założonych soczewek. Na zewnątrz była szarówka. Próbowałem później zasnąć, lecz nie dałem rady. Kiedy wstałem i znowu wyjrzałem przez okno, zrozumiałem, że coś jest nie tak, i poszukałem okularów. Wyszedłem na zewnątrz. Najpierw nie dostrzegłem, że to ona. Jej twarz była...

– Wiem. Pokazali mi zdjęcie.

Krew, głębokie rany w miejscach po motyce.

– Zauważyłeś coś innego? – spytałam. – Słyszałeś coś? Ten, kto to zrobił, mógł tam jeszcze być, gdy wyszedłeś.

– Nie jestem już niczego pewien. Siebie, ciebie, tego tutaj, nie jestem już pewien, co widzę i słyszę, może usłyszałem krzyk, a może to był tylko sen.

– Często dźwięki, które słyszymy, podświadomie przenikają do naszych snów, więc jeśli pamiętasz, co ci się śniło...

– Nie, nie pamiętam. – Daniel uderzył pięścią w stół, kilka razy, ze złością, a ja za każdym razem podskakiwałam ze strachu.

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłem – oświadczył.

– Co zrobiłeś?

– Leżał na jej szyi. Musiałem go przesunąć, może chciałem zobaczyć. Nie pomyślałem...

– Kilof? – Miałam go przed oczami, dwa ostrza, zardzewiałe, stare, ale wciąż ostre. Dokładnie pamiętałam, w którym miejscu go znalazłam. W wałacej się ceglanej szopie, potknęłam się o niego, gdy weszłam do niej któregoś dnia, żeby uwiecznić na zdjęciu, jak przyroda ją sobie zawłaszcza. Kilof leżał schowany w chwastach, wśród tego, co pozostało z drewnianej podłogi.

– Były na nim moje odciski palców – poinformował Daniel.

– Nie tylko twoje. To ja go znalazłam, zaniiosłam go do stodoły i ustawiłam w rzędzie razem ze wszystkimi starymi narzędziami, i każdy mógł...

– Ale to nie ciebie podejrzewają. Nie było cię tam.

Wstał i otworzył lodówkę, wyjął piwo. Może uzmysłowił sobie, że jest dopiero przedpołudnie, bo stał z nim w ręku i go nie otwierał.

– Daniel, na tym kilofie musi być mnóstwo odcisków palców. Nie wypuściliby cię, gdyby mieli najmniejsze...

– Natychmiast wróciłem do domu i zadzwoniłem do ciebie. O to też mnie pytali. Dlaczego nie zadzwoniłem na policję? Nie wiem, wybrałem twój numer, chciałem wiedzieć, gdzie jesteś. To była kwestia minut. Potem zadzwoniłem do nich. A później znowu próbowałem się z tobą skontaktować.

– Telefon mi się rozładował – skłamałam. – Przykro mi.

– Pytali, co moja żona robiła w Pradze.

– I co im odpowiedziałeś?

Nie potrafiłam zinterpretować jego spojrzenia, zdecydowanie za długiej ciszy.

– Odpowiedziałem, że miałaś jechać do Ikei, co miałem im powiedzieć?

Jak to możliwe, że czyjeś oczy, po ponad dwóch dekadach patrzenia w nie i zatapiania się w nich, potrafią się zmienić?

„On wie” – pomyślałam. „Wiedział to przez cały czas”. Posmarowałam jeszcze jeden zimny tost, chociaż było mi niedobrze. Przypomniało mi się, że miałam wrażenie, że widziałam go w tłumie, szybkie obrazy, które później wyparłam. Nawet jeśli mógł przyjechać do Pragi pociągiem, to dlaczego miałby to zrobić? A jeśli to zrobił, to dlaczego nic nie powiedział?

– Daniel, chcę, żebyśmy stąd wyjechali. Jeszcze dzisiaj. Jak tylko się spakujemy. Nie mogą cię zatrzymać. A jeśli to zrobią, to skontaktujemy się z ambasadą, z adwokatem...

Zapomniał zamknąć lodówkę. Chciałam wstać z krzesła, żeby to zrobić, jedzenie nie mogło się zmarnować, przerażało mnie niezrobienie tak oczywistej rzeczy.

– Przesłuchiwali cię przez trzy dni – dodałam. – A co, jeśli nie mają innych pomysłów? Osoba, która to zrobiła, wciąż przebywa na wolności.

– Wyjechać? Dokąd według ciebie mielibyśmy wyjechać?

– Do Szwecji, gdziekolwiek, wynajmiemy coś. Po resztę rzeczy możemy przyjechać później albo możemy je zostawić przyszłemu właścicielowi. Wszystko mi jedno.

– Próbowali mnie złamać, zadawali w kółko te same pytania, ale nie zamierzam dać im wygrać.

– Daniel, to nie jest walka. Żadne z nas nie ma z tym nic wspólnego.

– Wiedziałem, że to powiesz – oznajmił zmienionym głosem. – Że to nie moja wina. Że po prostu miałem pecha, biedny Daniel nie może mieć z tym nic wspólnego... Nie widzisz, co robisz? Ciągle to samo, jakbym był jakimś cholernym dzieciakiem, którego trzeba chronić. – Zauważył otwarte drzwi lodówki i zamknął je kopnięciem. – Mów sobie, co chcesz, o policji. Przynajmniej myśleli, że jestem do czegoś zdolny. – Tak jakby czekał na pretekst, żeby zacząć się awanturować. Wymachiwać rękami, krzyczeć na mnie, kopać w drzwi lodówki, walić ręką w ścianę, jakby to mnie chciał uderzyć. – A co, jeśli to moja wina? – dodał. – Może tym właśnie jestem. Wyrzuconym z pracy starym dziadem, dla którego nie ma przyszłości. Ale ty nie chcesz tego dostrzec, ponieważ musiałybyś przyznać, że twój mąż jest jednym z nich, jednym z tych beznadziejnych przypadków, których człowiek tylko chce się pozbyć, zdegradować je, aż staną się tak godne pożałowania i zbyteczne, że same znikną. Dlaczego z takim uporem zaprzeczasz temu, co widzą wszyscy inni?

– Ja tego tak nie widzę.

– Owszem, bo gdybyś przyznała, że jestem nieudacznikiem, to musiałybyś również przyznać, że już cię nie podniecam. Że jestem żalonym dupkiem. Wiesz, jakie to wykańczające: cały czas próbować sprostać twoim oczekiwaniom?

Daniel wypił piwo, które najwyraźniej i tak otworzył. Zmuszałam się do tego, żeby na niego patrzeć, ale mój wzrok cały czas uciekał, nie znajdował żadnego zaczepienia, nie miał siły się przebijać.

– Miałeś romans z Anną Jones? – spytałam w końcu.

Słowa suche jak piasek pustyni.

– Co to za brednie? – Zgniółł puszkę i wrzucił ją bezpośrednio do kosza na śmieci, nie zdążyłam włożyć do niego nowego worka.

– W takim razie po co tutaj przyszła? Właśnie tej nocy, gdy mnie nie było, czym byłeś tak zajęty, że nie zdążyłeś posprzątać ze stołu?

Tym razem spakowałam walizkę. Nie wiedziałam, na ile nocy, wrzucałam po prostu to, co było pod ręką, ubrania, bieliznę. Daniel wciąż stał w kuchni, gdy wychodziłam. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

W końcu z moich ust padło tylko „do usłyszenia”.

Na podjeździe uświadomiłam sobie, że nie mogę wziąć auta. To by było jak zamknięcie go na klucz. Pozbawienie go możliwości ucieczki. Ciągnęłam walizkę do samego zajazdu.

„To minie” – pomyślałam.

Wszystko minie.

Pościel była wymaglowana. Pachniała chlorem. Kolejny raz weszłam do tego samego pokoju i otworzyłam okno. Czułam się, jakbym siódmy raz oglądała ten sam spektakl teatralny albo kolejny raz słuchała tej samej piosenki.

Położyłam się na hotelowym łóżku, żeby zamknąć oczy i zasnąć, tylko na krótką chwilę, lecz słowa Daniela krążyły mi po głowie jak rój owadów po pokoju. Wciskały się w każdy kąt i chodziły po mnie.

...zaprzeczasz temu... wyznać prawdę... próbować sprostać twoim oczekiwaniom...

Dlaczego zapytałam go o romans z Anną Jones? Ta myśl irytowała mnie od chwili przesłuchania na policji. Insynuowali, że kobieta znajdująca się w pobliżu domu mężczyzny o świecie to nie przypadek, a jeśli do tego dzieje się to tej nocy, gdy żony tego mężczyzny nie ma w domu, ta żona musi być idiotką, jeśli nie widzi tego, co oczywiste.

Wydawało mi się to mało prawdopodobne. Nie była specjalnie atrakcyjna, a może była? Na swój sposób. Może przyszła pod pretekstem rozmów o prawie własności, może stanowiła dla niego wyzwanie, była kimś, kogo można skrzywdzić i pokonać. W sypialni, kuchni, gdzieś na zewnątrz? Maltretowałam się tymi obrazami, ale sama w nie nie wierzyłam. Daniel miał rację. Nie sądziłam, że jest zdolny do tego, by mnie zdradzić, zdolny do czegokolwiek.

Zegary wybijały swoją godzinę, nie miało znaczenia, czy jest za kwadrans druga, czy kwadrans po drugiej. Nie mogłam zostać w zajeździe. Leżeć i wsłuchiwać się w otaczające mnie dźwięki, aż w końcu staną mi się tak znajome, że przestanę je słyszeć.

Pomyślałam o tym, żeby pojechać do domu, do Sztokholmu, pomyślałam o przyjaciółach i ich kanapach, na których mogłabym się skulić, którzy zrozumieją, że marzenia mogą legnąć w gruzach zaledwie w kilka miesięcy, będą aż nadto wyrozumiali, a ja będę musiała dostrzec prawdę, zobaczyć, że wszystko było iluzją, rozpaczliwą próbą zrobienia z życiem czegoś sensownego. Pomyślałam o dzieciach, wygooglowałam połączenia do Seattle i Umeå, rozważałam poddanie się, przyznanie się do tego, że nie zawsze muszę dawać radę.

Potem usłyszałam muzykę. Głucho dudniła przez ścianę, dobiegała z pokoju, który jeszcze niedawno zajmowała Anna Jones. Nie słyszałam słów, tylko rytm, elektroniczną muzykę taneczną. Głosy, gdy uważnie się

wszłuchałam, kobiety i mężczyźni. Obcych, którzy o niczym nie wiedzieli, słuchali muzyki, jakby nic się nie stało. To mnie wkurzyło. Miałam przed oczami jej twarz, przekreconą na bok, gdy leżała pod lipą.

Wstałam z łóżka. Przepłukałam twarz zimną wodą. Zmieniłam majtki i włożyłam dzinsy, czystą bluzkę wyprasowaną w tych dniach, gdy jeszcze włączałam żelazko, cieszyłam się tym, że wieszam ubrania w nowo pomalowanej szafie.

– Bardzo mi przykro. Poproszę, żeby ściszyli muzykę.

Libor przyszedł z baru, gdy zadyndałam dzwoneczkiem. Idąc, wytarł ręce w ścierkę, po czym zarzucił ją sobie na ramię.

– Nie trzeba – powiedziałam. – Po prostu się zdziwiłam, słysząc tę muzykę.

– Ludzie przychodzą i odchodzą – oznajmił Libor. – Nie stać mnie na to, by pokoje stały puste.

– Wysłał pan tę widokówkę?

Nie wysłał ani nie zaniósł jej na policję. Miałam przeczucie, że zostawi ją w skrzynce, aż zniknie pod innymi ważniejszymi problemami lub śmieciami.

– Ma pan rację – stwierdziłam. – Ktoś musi się dowiedzieć. Proszę dać mi tę kartkę, to tam pojedę.

Właściciel zajazdu spojrział na mnie sceptycznie. Podejrzewałam, że przez jego głowę przewijały się różne myśli, rozważał, co jest dobre, a co złe, a przede wszystkim, czy to nie przysporzy mu problemów.

– Nikt nie musi wiedzieć, że kartka była u pana – dodałam.

W końcu wysunął szufladę.

– Großräschen – poinformował. – Na północny wschód od Drezna, niedaleko polskiej granicy.

– Dolina Niewiedzących – podsumowałam.

– Słucham?

Jego pytanie nie doczekało się odpowiedzi. W tej samej chwili, gdy położył przede mną widokówkę, zapomniałam, co powiedziałam, i ją odwróciłam. Adres, nazwisko adresata. Charakter pisma był zaskakująco niedbały, ale całkowicie czytelny.

Heller, jak nazwisko wyryte na grobie i figurujące na pieczęcie znajdującej się na partyturze.

Pan A. Heller.

Pociąg jechał na północ wzdłuż Łaby, wijąc się po stromych zboczach nad dolinami. Małe miasteczka leżały wciśnięte w zielone górskie stoki. Musiałam przyciskać twarz do szyby, żeby zobaczyć ich szczyty, na których wystawały wapienne skały, przypominały trolle i olbrzymy czuwające nad wszystkim, zamkami i fortami, skamieniałe twarze.

Pojawiły się niemieckie nazwy miejscowości. W Dreźnie przesiadłam się na inny pociąg, jadący na wschód, krajobraz się wypłaszczył. Rozległe pola, rolnicze tereny.

W kółko czytałam to, co było napisane na widokówce.

Była mało osobista i osobista zarazem. Zaczynała się od anonimowego Guten Tag.

Dzień dobry.

„Tutaj widzisz rynek z innej perspektywy, jest odnowiony i ładny. Znajduje się tam kawiarnia i zajazd poniżej. Może go pamiętasz?”

Pan A. Heller najwyraźniej miał co wspominać. Zwracała się do niego per ty, lecz wyglądało na to, że to starszy pan, bo do kogoś w swoim wieku nie pisze się tak górnolotnie.

„Mam nadzieję, że jesteś w dobrej formie”.

Bywał w gorszej formie czy to tylko taka formułka?

„Jest słonecznie, momentami nawet trochę za ciepło”.

Bła, bła, bła.

Jakby pisała do kogoś, kto powinien być jej bliski, ale mimo wszystko nie jest, jakby chodziła wokół niego na palcach.

Trudno mi było znieść myśl, że ostatnie słowa człowieka mogą być tak puste i nic niemówiące.

Pogoda się zepsuła, nad polami wisiały ciężkie, szare, smutne chmury.

„Serdecznie pozdrawiam, Anna”.

Przesiadłam się do innego, wolniejszego, lokalnego pociągu. Zatrzymał się na podupadłej stacji, wysiadł z niego samotny nastolatek. Zaryglowane okna i krzywo wisząca tablica, przyczajony chłopak przechodzący przez tory ze słuchawkami w uszach, wszystko to sprawiło, że przypomniał mi się fragment pewnej piosenki „I'm not the boy that

I used to be, this town has got the youth of me...”, to była Shoreline Broder Daniel, mroczna muzyka, którą swego czasu Elmer wypełniał dom. Próbowałam sobie przypomnieć resztę tekstu, a gdy mi się nie udało, wyjęłam telefon i go wygooglowałam. Oto co robiłam podczas tej podróży, zabijałam czas, równocześnie odwracając myśli od Daniela, prześledziłam kilka suchych tekstów o krainie, do której zmierzałam, o Pojezierzu Łużyckim. O miastach, które zburzono, by dostać się do węgla brunatnego znajdującego się pod powierzchnią ziemi i zaopatrzyć była NRD, a potem zjednoczone Niemcy, w prąd i ciepło. Zniszczono sto trzydzieści sześć miejscowości, przesiedlono dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. To wszystko sprawiało, że nie myślałam o Danielu, o winnicy, o całym tym idiotycznym pomysle, żeby stamtąd uciec i wsiąść do pociągu, zamiast spróbować spojrzeć mu w oczy, zrobić wszystko, by znowu było dobrze.

„All the eyes turn hollow, from the work of sorrow... Oh this town, kills you when you're young...”

Stacja w Großräschen przynajmniej była cała, z pomarańczowej cegły. W środku głośno dudniła muzyka techno, szyld informował o tym, że poczekalnię przerobiono na siłownię.

Jakiś kilometr ciągnęłam za sobą walizkę przez miejscowość, która wyglądała na zadbaną i w której stały niskie budynki z lat pięćdziesiątych. Kwitnące ogrody, apteka, cukiernia. Na latarniach wisiały plakaty wyborcze nawołujące do głosowania na Alternative für Deutschland, „słuchamy, rozumiemy, działamy” – głosił tekst nad stanowczym, lekko uśmiechniętym mężczyzną. Gdziekolwiek widać można było spotkać symbol NRD, młot i cyrkiel wykute w kamiennej elewacji albo odlane na żelaznej bramie, trudne do zlikwidowania.

Zabudowa się przerzedziła, a w miejscu, gdzie kończyła się droga, zaczynało się jezioro.

Seestraße 82. Adres z widokówki.

Przystanąłam. To był jeden z niewielu naprawdę starych domów, pompatyczna willa z wieżyczką i zdobieniami, w połowie schowana za drzewami i wysokim murem. Obok furtki wisiała tabliczka.

Dom Seniora.

Nie nacisnęłam dzwonka, jeszcze nie. Stwierdziłam, że muszę się najpierw zameldować w hotelu, umyć się pod pachami, uczesać, zanim odważę się tam pójść i spytać o pana A. Hellera.

Nad jeziorem droga nagle się kończyła, jakby ktoś ją odciął. Przede mną rozciągała się metalicznie szara powierzchnia jeziora, odbijał się w niej księżyc, to był sztuczny zbiornik powstały w wyniku zalania zlikwidowanej kopalni węgla brunatnego. Tu i ówdzie rosły w nim drzewa. To miejsce wyglądało na opuszczone, jak zalane nieużytki po katastrofie klimatycznej.

Zarezerwowałam pokój w Seehotel, kawałek dalej od adresu z widokówki. Hotel był nowo wyremontowany i duży jak dworek. W restauracji byłam sama. Białe obrusy, styl pensjonatu z dawno minionych czasów. Zamówiłam danie rybne i kieliszek wina. Wciąż było dopiero popołudnie, podróż trwała zaskakująco krótko. W linii prostej to nie było nawet dwieście kilometrów, lecz ja miałam wrażenie, jakbym się przeniosła do innego świata, nie do końca rzeczywistego.

Do miejsca, gdzie nie docierała zachodnia telewizja.

Co więcej mi opowiedziała?

Z tego, co pamiętałam, to nic, tylko tyle, że chciała stąd uciec do kraju, który już nie istniał.

Głos w domofonie, kliknięcie. Spowiała mnie cisza ogrodu, znajdowała się tam poczerniała fontanna, na drzewie śpiewał kos.

Kobieta, która otworzyła drzwi, miała na imię Heike. Poinformowała, że jest kierowniczką albo szefową, niemieckie tytuły wykraczały poza moją znajomość tego języka. Była trochę starsza ode mnie, lekko pulchna w atrakcyjny sposób, miała mocny uścisk dłoni. Zdecydowany krok, który wprowadził mnie do środka.

– Wspaniale, że pani przyjechała. Naszych gości tak rzadko ktoś odwiedza. Młodzi wyjeżdżają, starzy przyjaciele chorują i odchodzą. Przepraszam, pani z rodziny? Nie usłyszałam przez domofon pani nazwiska.

Kierowniczka, zdecydowałam się na ten tytuł, przystanęła w pomieszczeniu, które musiało być pokojem dziennym, urządzone jak za dawnych czasów. Duże obrazy, romantyzm. Meble zarówno praktyczne, jak i antyczne, krzesła obite pluszem zamiast aksamitem. W rogu siedziała bardzo wiekowa dama z gazetą w ręku, nie podniosła wzroku.

– Napije się pani kawy?

Przyjęłam zaproszenie i poinformowałam, że przywiozłam ze sobą pozdrowienia. Heike przyglądała się widokówce, gdy jej ją podałam.

– To od jego córki Anny, prawda? Często przysyła mu kartki. Jesteście znajomymi?

Lekko zakręciło mi się w głowie, jakbym duszkiem wypić kieliszek wina, musującego, trochę odurzającego.

Jego córka. Jej ojciec.

– Obawiam się, że Anna nie żyje – oznajmiłam.

– Ale... – Pielęgniarka zakryła usta ręką, jakby chciała powstrzymać jakieś słowa albo po prostu z zaskoczenia. – To straszne, była taka młoda. Odwiedziła go nie dalej jak trzy czy cztery tygodnie temu. Po tylu latach. Trudno to pojąć. To był rak?

Pokręciłam przecząco głową i opowiedziałam, co się stało. Heike osunęła się na krawędź jednego z pluszowych foteli. Poczułam niejasną satysfakcję. Nie wiedziała. Policja tu nie zadzwoniła, nie chciała rozmawiać z adresatem kartki, nie przyjechałam na próżno.

Anna Jones była córką A. Hellera. A w jaki sposób on był spokrewniony z tymi Hellerami, którzy leżeli na cmentarzu, mogłam tylko spekulować. Może był ich wnukiem? Który dał swojej córce imię po tej Annie stojącej w drzwiach, przed obiektywem fotografa w 1914 roku?

Próbowałam policzyć pokolenia Hellerów, podczas gdy kierowniczka prowadziła mnie schodami na piętro. W mojej głowie przewijały się obrazy Anny Jones, w ogrodzie, w pokoju na piętrze, w salonie, jak wszystkiemu się przyglądała, przejeżdżała ręką po poręczy, jej związek z winnicą był silniejszy, niż mój kiedykolwiek mógłby być. Dlaczego nic nie powiedziała?

„Może nie miała pewności?” – pomyślałam. „Albo kłamała. Byłam zbyt naiwna, za bardzo wierzyłam ludziom. Poprosiła o kopię umowy kupna, by poszukać luk prawnych, lecz czy na pewno chciała nam pomóc?”

Na szczycie schodów próbowałam odgonić te myśli, wyobrazić sobie przez chwilę, że nie kierowała się żadnymi ukrytymi motywami. Mogło być więcej Hellerów, więcej winnic, może jeździła i oglądała je wszystkie. Musiałam sobie przypominać, że jestem tam, by przekazać temu staruszkowi informację o śmierci jego córki.

– Oczywiście dla naszych podopiecznych, którzy nie mogą chodzić, mamy zainstalowaną windę. – Heike czekała na mnie na górnym korytarzu. Umeblowanie było tutaj prostsze, krzesła plastikowe. – Ale pan Heller jeszcze świetnie sobie radzi. Chcemy, by byli w formie. To nie sprawność fizyczna jest jego największym problemem.

Gdzieś w oddali słychać było muzykę klasyczną, medytacyjny fortepian. Zajrzałam do kilku pomieszczeń, rzędy łóżek, nierdzewnych i o regulowanej wysokości, takich jak w szpitalu. Odniosłam wrażenie, że przepych na parterze to tylko pozory. To nie było uzdrowisko z ubiegłego wieku, tylko zwykły dom starców. Na czterech łóżkach już spali staruszkowie, pytanie, czy w ogóle tego dnia wstali, na kanapie na korytarzu siedziały dwie damy i tępo wpatrywały się przed siebie. Moją uwagę przykuła twarz jednej z nich. Ładna jak moja, z włosami zaczesanymi do tyłu i zebranymi w kok, zamglone błękitne oczy wpatrzone w nicość. Sama mogłabym tak wyglądać w przyszłości.

Poczułam ucisk w brzuchu. Mój tata zgasł w takim miejscu, brzydszym niż to, przestał mówić.

– Dbamy tutaj o nich aż do samego końca – oznajmiła Heike. – Jesteśmy prywatną alternatywą gwarantującą najwyższą jakość w ostatnich latach życia, nie może im niczego brakować.

Zastanawiałam się, czy chce mi zareklamować to miejsce, czy tylko zatuszować jego posępność. Może nawet mówiła prawdę. Tak to zabrzmiało, ciepło, troskliwa ręka na moim ramieniu, gdy stanęła pod zamkniętymi drzwiami w głębi korytarza.

– Nie wiem, ile pani wie...

– Niewiele – odparłam.

Zatrzymała rękę na klamce i zamilkła na chwilę, rozważając pewnie, czy tajemnica zawodowa pozwala jej o tym mówić.

– Dni są lepsze – powiedziała w końcu. – Nocą jest bardziej niespokojny i jednocześnie bardziej przytomny. Sama nie pracuję w nocy, ale dostaję raporty od pielęgniarki z nocnej zmiany. Czasami muszą zamykać drzwi na klucz, bo budzi innych. O tej porze często śpi, staramy się zachować rytm dobowy, ale jednocześnie nie chcemy niepotrzebnie faszzerować ich lekami. Cały czas szukamy kompromisu.

– Rozumiem.

– Chwilami wie, gdzie jest, chwilami nie. Może panią wziąć za kogoś innego.

– Wiem, jak to jest – powiedziałam. – Mój tata cierpiał na demencję.

– W takim razie wie pani, o czym mówię, ale to może różnie wyglądać u różnych ludzi. Demencja to nie tylko proces fizjologiczny, może też chodzić o wyparte wspomnienia i przeżycia. Zespół stresu pourazowego może w przyszłości dawać objawy podobne do alzheimera.

Zauważyłam, że mówi o tym wszystkim ogólnie, jakby nie miała na myśli nikogo konkretnego.

– Można powiedzieć, że mózg nas w ten sposób chroni. Nie jest to wcale takie rzadkie w tym pokoleniu, które w dzieciństwie przeżyło wojnę. Demencja staje się ucieczką przed tym, co trudne, i równocześnie pozwala się skonfrontować z wypartymi wspomnieniami. To tak, jakby teraźniejszość i przeszłość istniały obok siebie, bez wewnętrznego porządku. Osobę z demencją często określa się mianem roztargnionej. Może jest raczej zagubiona w swoich wspomnieniach.

– Czy on pamięta, że ma córkę? – spytałam. Mój tata szybko zapomniał, kim byłam, ale gdy zabierałam do niego dzieci, zdarzało się, że nazywał moją córkę „Sonja”. Próbowałam spojrzeć na to w ten sposób, że pamięta o moim istnieniu, ale czasami zastanawiałam się, czy przypadkiem nie myśli, że widzi moją siostrę. Może zapomniał, że Sonji nie było, pamiętał tylko ten krótki czas, gdy żyła.

– Może mówić – odparła Heike, naciskając na klamkę. – Ale nie jestem w stanie powiedzieć, co dzisiaj pamięta.

Mężczyzna siedział w fotelu i wyglądał, jakby spał. Twarz miał zwróconą do okna, usta na wpół otwarte. Trzymał coś w jednej ręce spoczywającej na kolanie, zgniecioną serwetkę. Błękitna koszula, ciemne spodnie, brązowe filcowe papcie, jakie noszą starsi panowie. Czekałam przy drzwiach, podczas gdy Heike podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu, pochyliła się i przemówiła do niego ciepło i ostrożnie:

– Panie Heller. Acho. Ma pan gościa.

Wzdrygnął się i wydał z siebie jakiś dźwięk. Heike przysunęła krzesło, żebym mogła usiąść naprzeciw niego. Oczy mętne i rozbiegane, a mimo to przytomne, jakby nie mogły się zdecydować, czy na mnie patrzeć, czy próbować sobie przypomnieć, kim jestem.

– Ach tak, to ty.

– Sonja ma ci coś do powiedzenia. Obawiam się, że to złe wiadomości.

Uścisnęłam jego rękę, przywitałam się i przedstawiłam, usiadłam na krześle. Jak przekazać coś takiego? Obawiam się, że wydarzyło się coś smutnego, nie, naprawdę przykrego, nie, coś strasznego, po omacku szukałam odpowiednich słów.

Acho Heller przełożył serwetkę do drugiej ręki. Przyglądał się jej, jakby się zastanawiał, do czego służy. W końcu wytarł sobie nos.

– Anna? – spytał, gdy w końcu to z siebie wydusiłam.

– Twoja córka – przypomniała Heike, która stała obok niego po drugiej stronie, wspierająco dotykając ręką jego ramienia. – Naprawdę mi przykro.

Zapaść się trochę w sobie? Zrozumiał? Czy to dlatego wytarł nos, a jego oczy jakby zobaczyły coś innego, w innym czasie?

– Przyniosę świeczkę – powiedziała Heike. – Zapalimy ją dla twojej córki.

Staruszek odwrócił się do połowy, powiódł za nią wzrokiem. Na komodzie stojącej przy oknie zobaczyłam widokówki oparte o ścianę. Znane mi motywy, kościół, rynek, Brama Pravčicka. Znajdowało się tam również rodzinne zdjęcie, wyblakłe kolory, może z początku lat siedemdziesiątych. Dziewczynka stojąca pomiędzy rodzicami, mrużąca jedno oko w słońcu. Anna.

Biłam się z myślami, czyby bezczelnie nie podejść i nie przeczytać, co jest na nich napisane.

– Czy to ona? Julia?

Minęło kilka sekund, zanim zrozumiałam, co powiedział.

– Kim jest Julia? – spytałam ostrożnie.

Brak odpowiedzi. Pochyliłam się do przodu.

– Czy to pana mama? Nazywa się Julia Heller?

Acho Heller zaczął bębnić palcami w podłokietnik fotela, jakby miał mnie już dosyć, jakby był poirytowany, więc wyjęłam pocztówkę, powód, dla którego tu byłam. Pojaśniał na twarzy i podziękował, przyglądał się kartce. Odwróciłam ją ostrożnie w jego rękach.

– Przeczytać panu? To od Anny, pańskiej córki.

Spojrzał na mnie badawczo, skonsternowany, może to była odpowiedź. Zaczęłam czytać. Acho Heller potakiwał głową z uśmiechem. Położyłam kartkę na jego kolanie. Pozwolił jej tam leżeć, delikatnie dotykał jej palcami.

– Przedstawia rynek w Karlovym Mlýnie – poinformowałam. – Mieszkam niedaleko, kupiłam winnicę zaraz za miastem, nad rzeką, za mostem trzeba skręcić w lewo. To tam się pan wychował? – Gadałam jak najęta, o różach, przypomniałam sobie nawet kilka nazw, o lipie i kotce.

Wzdrygnął się? Wymamrotał coś?

– Aramis – powiedział.

– Kto to taki?

Tylko odchrząknął.

– Mieszka tam pewien mężczyzna w pana wieku – dodałam. – Ciekawa jestem, czy go pan zna. Jego ojciec był ogrodnikiem, nazywa się Ján Kahuda. Ján bawił się często w tunelu pod domem, pan też?

Nie zauważyłam, że Heike wróciła, byłam pochłonięta zmianą w oczach staruszka, jakby wpatrywał się w coś odległego, co zaczęło się przybliżać, w pędzący pociąg. Nie wiem, jak to opisać. Strach dopadający człowieka, gdy jest już za późno. Drżały mu ręce.

– Co on tam robi? Nikt nie może tu wchodzić. Idź sobie stąd, idź sobie.

Acho Heller wymachiwał rękoma przed oczami. Heike objęła go ramieniem, uspokoiła, sprowadziła do terażniejszości lub nicości, czy gdzie tam się znajdował.

Usprawiedliwiałam się, gdy szybko schodziłyśmy po schodach. Ubolewałam, że nie mogę posiedzieć dłużej, poczekać na te przytomniejsze chwile, ale po jej prostych plecach wywnioskowałam, że żałuje, że mnie do niego wpuściła. Opowiedziałam jej o tym, o czym wcześniej nie wspomniałam, że kupiłam w Czechach winnicę, w której z dużym prawdopodobieństwem wychował się Acho Heller. Że w taki sposób nawiązałam kontakt z Anną i poznałam kogoś, kto mógł być jego przyjacielem z dzieciństwa. Czy wspomnianie przeszłości nie jest dobre? Czy ludziom cierpiącym na demencję nie jest łatwiej mówić o czymś, co miało miejsce dawno temu?

Heike zatrzymała się u podnóża schodów.

– Wie pani to od jego córki? Że się tam wychował? To dziwne.

Spojrzała na mnie oceniająco albo raczej sceptycznie.

– W jego dokumentach nie ma żadnej wzmianki o tym, że nie pochodzi stąd, tylko z jakiegoś innego kraju. I jeszcze ta winnica? Zastanawiające. Zapamiętałabym, gdyby tak rzeczywiście było.

Gestem ręki zaprosiła mnie do biura. Regały z ciemnego drewna zajmowały trzy ściany. Sięgnęła po segregator. Pomieszczenie wyglądało jak mała biblioteka, ciemne i jednocześnie blade kolory, wypłowiałe, pożółkła tapeta medalion, która równie dobrze mogła być oryginalna.

– Nie ma tutaj żadnej wzmianki o jego rodzicach ani innych krewnych, z wyjątkiem żony, która najwyraźniej zmarła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, i córki Anny... Zazwyczaj prosimy członków rodziny, by opowiedzieli nam o sobie i o pacjencie, to duża pomoc, gdy naszych podopiecznych zawodzi pamięć, lecz w tym przypadku nie dowiedzieliśmy się zbyt wiele... Pan Heller pracował

w kopalni aż do jej zamknięcia w dziewięćdziesiątym drugim, potem brak danych na temat pracy, może przeszedł na wcześniejszą emeryturę, wiele osób nie mogło się przestawić nach Die Wende, po upadku muru...

Heike zmarszczyła czoło, jeszcze bardziej pochyliła się nad segregatorem.

– Trochę źle zapamiętałam. Urodził się w Berlinie w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym, ale od czterdziestego szóstego jest zameldowany w Großräschen.

Mogłam się aż tak pomylić? Może Anna zapytała ojca, czy pamięta rodzinne wakacje, chciała mu podarować szczęśliwe wspomnienie, bo pewnie jeździli do krajów bloku wschodniego? Żałowałam, że nie przyjrzałam się bliżej tym innym kartkom stojącym na komodzie, gdy kierowniczką wyszła z pokoju.

Skoncentrowana czytała dalej. Chyba nie była zachwycona tym, że coś pokręciła.

„Acho Heller” – pomyślałam.

Urodzony w 1934. A więc ma osiemdziesiąt pięć lat. A ile miał lat, gdy skończyła się wojna?

Jedenaście.

Pomyślałam o wyrzynającej się siódemce. Ramieniu, które jeszcze rosło. Małym, drobnym ciele.

Nie byłem tam od czasów dzieciństwa... bawiliśmy się tam...

Zrobiło mi się duszno.

– To wcale nie musi być prawda. Była wojna... – Heike usiadła za biurkiem. – Jeśli przybył tutaj zaraz po zakończeniu wojny, to wtedy miliony ludzi przemieszczały się po Niemczech, adres zamieszkania to było coś abstrakcyjnego i utraconego, raczej hipotetycznego. Nie wiem, czy można ufać dokumentom z tamtego okresu.

– Czy córka często go tutaj odwiedzała? – spytałam.

– Nie było jej przez wiele lat. Mieszkała przecież w Anglii. Może na samym początku, gdy się tu wprowadził, ale wtedy jeszcze tu nie pracowałam. Dopiero wiosną... – Heike wyjęła dziennik i zaczęła go kartkować. – Pod koniec kwietnia tego roku pojawiła się kilka razy, a potem jeszcze w maju...

– Wspomniał o jakiejś Julii – poinformowałam. – Wie pani, o kogo chodzi? I o Aramisie, czy to nie był jeden z trzech muszkieterów?

Heike mnie nie słuchała, studiowała dziennik.

– Przyjaciele Acho powinni to wiedzieć – powiedziała jakby do samej siebie, ze wzrokiem utkwionym w dziennik. – Długo się znają, mogli też znać jego córkę.

Miałam ich przed oczami, w tunelach. Ponadczasowe zabawy dwunastolatków.

– Nie sędzę – oznajmiłam. – Przecież byli wtedy tylko dziećmi.

– Znają się od wielu lat. – W głosie kierowniczkę wyczułam lekką irytację. – Ci panowie często go odwiedzają.

Podniosła zeszyt i wskazała palcem nazwiska.

Kurt Lehmann.

Udo Körner.

W końcu zrozumiałam, o czym mówi.

Acho Heller miał przyjaciół, ktoś go odwiedzał. Z jakiegoś powodu mnie to zaskoczyło. Wyczuwało się tutaj samotność tworzącą nad podopiecznych niewidzialną powłokę, to było miejsce, które odsuwało od rzeczywistości i w którym o człowieku zapominano w takim samym tempie, w jakim on tracił pamięć. I kolejna myśl: wciąż przychodzili tylko naprawdę starzy, zaufani przyjaciele. W ostatnim roku tacie został tylko jeden przyjaciel, ale on też dał za wygraną albo go to zmęczyło, czy co tam się działo z tymi, którzy nie musieli.

– Przychodzą co tydzień o tej samej porze, eleganccy panowie, zawsze z ciastem i czymś mocniejszym do kawy, tak, to dozwolone, w weekendy często podajemy gościom kieliszeczek wina lub likieru, ale jeden z nich miał zimą udar, więc teraz to będzie tylko jedna niedziela w miesiącu. Podróże pociągiem i autobusem oczywiście są uciążliwe. Zazwyczaj przyjeżdżali samochodem pana Körnera.

– Może mogłabym z nimi o tym porozmawiać. – Zapłaciłam w hotelu za dwie noce i najwcześniej miałam wyjechać dopiero pojutrze. Jedna noc wydawała się zbyt krótka, dwie były jak cała wieczność. – Mnie łatwiej będzie odpowiedzieć na ich pytania, bo tam byłam.

– To bardzo miło z pani strony – oświadczyła Heike, uśmiechnęła się do mnie ciepło i podała mi rękę. Kiedy wychodziłam, jeszcze raz mi podziękowała. – Wiem, że to nie było dla pani łatwe.

Dopiero gdy się odwróciłam przy bramie, by spojrzeć w górę na okna na piętrze, gdzie siedział Acho Heller, wysokie, wąskie, ze szprosami, znowu pomyślałam o Julii Heller. Albo raczej o jego dłoniach, gdy o nią zapytałam, jak jego palce zaczęły się poruszać na podłokietniku, a potem

na widokówce leżącej na jego kolanie, jakby ręce pamiętały coś, czego on nie pamiętał.

Grę, jak na fortepianie.

W recepcji Seehotel wypożyczano rowery, w nadziei, że turyści będą walić drzwiami i oknami i odkrywać uroki sztucznych jezior.

Kurt Lehmann mieszkał w Welzow, mieście, w którym wciąż wydobywa się węgiel brunatny. Próbując znaleźć jakieś dobre połączenie kolejowo-autobusowe, odkryłam, że to tylko trzynaście kilometrów stamtąd.

Za pięć dodatkowych euro dostałam też mapę rowerową.

Szybko wyjechałam poza miasto, podążałam malowniczymi ścieżkami rowerowymi i mniej uczęszczanymi drogami przez niewielkie wioski, zlikwidowane zakłady produkcyjne i nowo posadzone lasy, w których młode drzewa rosły w równych rzędach.

Tu i ówdzie między sosnami majaczyły mi jabłonie i bzy, ślady po gospodarstwach, które kiedyś tam stały. Samotna biała furka na zarośniętym polu, wspaniała lipowa aleja prowadząca donikąd, wrażenie, że wszystko przemija. Były długie odcinki, gdy nie słyszałam niczego innego tylko opony trące o asfalt i buczenie farmy wiatrowej, ciche, złowieszcze jak nadciągająca burza.

Pierwsze krople spadły, gdy wjechałam do Welzow. Pub, w którym Kurt Lehmann zaproponował spotkanie, nazywał się „Kumpelklause”.

Siedział przy barze z papierosem w ręku. Na początku nie pomyślałam, że to on, wyglądał zbyt młodo. Człowiekowi się wydaje, że przyjaciele starszka powinni być w tym samym wieku co on. Może to przez te wyprostowane plecy, jakąś sprężystość sylwetki. Miał z siedemdziesiąt albo sześćdziesiąt pięć lat. Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy i zgasił papierosa.

– Pani Åström?

– Sonja.

– Kurt Lehmann. Trudno było tu trafić?

Zwroty grzecznościowe, podaliśmy sobie ręce. Przez telefon powiedziałam tylko, że jestem znajomą córki Acho Hellera i mam złe wieści.

– Jak on się miewa? – spytał Kurt, gdy usiedliśmy. Drewniane panele barwione na niebiesko i jasne meble ze sklejki, wystrój przypominał

szwedzki lunch-bar z lat siedemdziesiątych. – Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Wyjaśniłam, że nie chodzi o Acho Hellera, tylko o jego córkę. Kurt Lehmann chciał poznać wszystkie fakty. Miał coś, co posiadają niektórzy ludzie i czemu nie można się oprzeć, a mianowicie zdolność wyciągania prawdy.

– Może kłopoty z pamięcią są czasami wybawieniem – oświadczył po chwili, gdy opowiedziałam mu o morderstwie i o tym, że mój mąż był w tej sprawie przesłuchiwany. – Ucieczką przed teraźniejszością. Czy Acho sprawiał wrażenie, że wie, o czym pani mówi?

– Nie wiem. Może zaraz o tym zapomni.

– Czyli wybawienie.

Kurt Lehmann ostrożnie wytrząsnął papierosa z paczki, chwycił go między dwa palce i jakby mu się przyglądał.

– Powiedziała pani, że to się stało w Winnicy?

– Na naszej działce, niedaleko domu. Właśnie wprowadziliśmy się tam z mężem.

– W Königsmühle?

– Nie, w Karlovym Mlýnie. – Ta nazwa wciąż wydawała mi się dziwnie obca, tak rzadko jej używałam. W Szwecji i tak nikt nie wiedział, gdzie to jest, nawet samo zlokalizowanie Czech było wystarczająco skomplikowane, nie wspominając już o Kraju Sudetów, widziałam tę konsternację w oczach, przeszukiwanie w pamięci podręczników do geografii, jakby chodziło o pytanie w Trivial Pursuit.

– Ach, te wszystkie nazwy. – Kurt Lehmann westchnął i zamachał do barmana papierosem. – Zmieńmy nazwy miast i wsi, ulic i placów, zdejmijmy wszystkie szyldy i namalujmy nowe. W taki oto sposób pozbywamy się wspomnień o tym, co było, tworzymy wielkie zapomnienie.

Na stole wylądowała popielniczka.

– W jego papierach jest napisane, że urodził się w Berlinie – oznajmiłam.

– W takim razie jest źle napisane. – Kurt Lehmann wyjął srebrną zapalniczkę, wydmuchał dym blisko mnie. – Może tak podał, gdy dojechali. Berlin to był węzeł przesiadkowy dla pociągów w sektorze radzieckim. Co miał powiedzieć?

Spytałam, czy mogę się poczęstować papierosem. Rzuciłam palenie kilka lat temu, dla dzieci, lecz teraz miałam ochotę zapalić. Podał mi ogień. Papieros nie smakował mi za bardzo, ale czas nieco się rozmył, jak w lekkiej mgłę, zapadłam się w odległej epoce, gdy palono w knajpach.

– Może już wtedy podjął decyzję, że zostanie Niemcem – dodał Kurt Lehmann. – Prawdziwym Niemcem, a nie volksdeutschem.

– A kim oni byli?

– To byli etniczni Niemcy, którzy nigdy nie mieszkali w Niemczech, tylko w innych krajach, często przez wiele pokoleń, według stanu granic z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

– Przepraszam, pytałam o to, z kim Acho Heller przybył z Berlina. Wydawało mi się, że powiedział pan „dojechali”.

Kurt Lehmann ostrożnie zgasił papierosa.

– To mój ojciec go znalazł. Albo raczej Acho Heller znalazł mojego ojca, w ruinach przy Anhalter Bahnhof.

Wielka cisza. Tak to opisał jego ojciec, Emil Lehmann, gdy pod koniec życia zaczął o tym opowiadać swojemu synowi. Przyzwyczał się do milczenia, jak wszyscy przesiedleńcy ze Wschodu. Nikt ich tam nie chciał. Kolejni głodujący, którzy wciskali się między tych, którzy już głodowali, było ich za dużo, wypędzonych z Kraju Sudetów i polskich ziem odzyskanych. Napływali tysiącami, dzień za dniem, pociągami, które nie przestawały przyjeżdżać, przepełnionymi wagonami towarowymi zalewanymi przez deszcz, ponieważ używano wagonów nienadających się do przewożenia czegokolwiek. Liczba przesiedleńców wzrosła do dwunastu, może czternastu milionów, nie dało się ich dokładnie policzyć. Blisko pół miliona volksdeutschów zniknęło gdzieś po drodze, z samego Kraju Sudetów dwieście tysięcy zarejestrowanych Niemców, część z nich prawdopodobnie zginęła w czasie wojny, inni zmarli podczas transportu albo w obozach, z powodu chorób i głodu, lub zostali zamordowani przez bandytów po zakończeniu wojny.

Wraz z jesienią nadeszły chłody, obfite deszcze. Hamburg i Zagłębie Ruhry ogłoszono „czarną strefą”, przestano tam przyjmować przesiedleńców. W Saksonii wsadzano ich na barki płynące Łabą. Rozlokowywano ich w szkołach, zniszczonych barakach Wehrmachtu i obozach namiotowych w parkach, okupowali bunkry i wieże obrony przeciwlotniczej, flakturmy do chwili, gdy wyrzucali ich stamtąd alianci, by je wysadzić i zdusić wojnę w zarodku.

Wielu z nich docierało tylko na stację kolejową. Może nie mieli siły albo żywili płonną nadzieję, że pociąg zabierze ich w lepsze miejsce.

Spali na peronach, w spalonych wagonach przy zniszczonych torach kolejowych, w tunelach i ubikacjach.

Cisza.

Milcząc, można było zniknąć wśród ludzi krążących wśród ruin w poszukiwaniu złomu albo chwastów, z których dało się coś ugotować, wśród ludzi żebrzących u tych mniej biednych albo sprzedających się żołnierzom za czekoladę.

I okradających tych, którzy nic nie mieli, tak jak ten umorusany, szybko biegający chłopak pewnego wieczoru okradł Emila, gdy ten wracał z wyprawy lokalnym pociągiem na przedmieścia. Chłopak wyrwał mu z ręki torbę z ziemniakami i zniknął wśród ruin, gdzie dzieci ze Wschodu mieszkające na ulicy nazywano młodymi wilkami, bo wygłodniałe chodziły stadami i nocą siały postrach. Emil dogonił go i powalił na ziemię. Chłopak był wychudzony, wił się jak piskorz i krzyczał, żeby go puścić.

Przekleństwa były Emilowi aż nadto znane, sposób, w jaki je wypowiadano.

– Herrgott sakra! – wrzeszczał chłopak, wymachując rękami.

– Skąd jesteś? – spytał Emil Lehmann, siadając okrakiem na chłopaku i znowu krępując mu ręce, wciskając je w gruz. – Ja jestem z Pressnitz, mówi ci to coś?

Ale chłopak przeklinał jeszcze bardziej, a w jego przekleństwach pojawiały się takie słowa jak niebo, Bóg i sakrament, a potem posunął się jeszcze dalej i krzyknął „Kruzitürken”, i plunął Emilowi w twarz. To był okrzyk bojowy, dziś już nieużywany, który przetrwał w konserwatywnych i katolickich regionach Czech od czasów wojen z muzułmanami. Turków, których wzięto w niewolę i zmuszono do walki za chrześcijański krzyż, nazywano „Kruzitürken”. To słowo stało się najgorszą obelgą, jaką można było kogoś upokorzyć, lecz Emil Lehmann wcale tak się nie poczuł. Zaczął się śmiać.

– Przecież słyszę, skąd jesteś – oznajmił. – Ja pochodzę z miasta niedaleko Karlsbadu, trochę dalej na północ w kierunku gór, blisko Cieplic. Nazywam się Emil Lehmann.

Skusił chłopaka tymi samymi ziemniakami, które mu przed chwilą odebrał. W jego spojrzeniu było coś znajomego, pustka. Brak. Jakby nie

wiedział, dokąd zmierza, i nie mógł zawrócić, jakby się bał, że w końcu zabłądzi i już nigdy nie odnajdzie powrotnej drogi do samego siebie. Z perspektywy czasu, po prawie sześćdziesięciu latach rozmyślań na ten temat, Emil doszedł do wniosku, że to siebie zobaczył. W oczach Acho był tylko głód.

– W końcu powiedział, że ma na imię Acho.

Emil zatrzymał Acho obietnicą zupy z ziemniaków i chwastów. Wspomniał też o Königsmühle, o tym, że ich domy znajdują się najwyżej czterdzieści kilometrów od siebie.

Emil próbował wyciągnąć z Acho Hellera, gdzie jest jego rodzina.

Chłopak był uparty, ale Emil Lehmann pierwszy raz od miesiący rozmawiał o czymś innym aniżeli o tym, gdzie można znaleźć pracę, jedzenie i łóżko przed nadejściem zimy oraz jak wydostać się z tego piekła, którym był Berlin.

Rodzina Emila została wypędzona z Kraju Sudetów, zanim rozpoczęły się zorganizowane przesiedlenia. Kilku mieszkańców wioski wtargnęło do ich domu. Innych bito na ulicy, maltretowano, nawet zabijano. Wystarczyło pojawić się z białą opaską, którą musieli nosić wszyscy niemieckojęzyczni. Usiąść tam, gdzie nie wolno im było siedzieć, iść złą drogą.

Mieli piętnaście minut, by spakować to, co będą w stanie unieść, i kazano im iść w kierunku granicy. Rodzina została rozdzielona, Emil nie wiedział, co się stało z jego rodzicami.

– A co się stało z rodziną Acho?

Kurt Lehmann odsunął popielniczkę. W pubie zrobiło się tłoczno, młodzi mężczyźni stali przy barze i obserwowali mecz w telewizji.

– Wspomniał o kilku obozach, między innymi w Dachau.

– To były obozy koncentracyjne?

– Mieli dach nad głową. Jeśli w zbombardowanym kraju chce się rozlokować ponad dwanaście milionów przesiedleńców, to trzeba korzystać z tego, co jest.

Próbowałam sobie wyobrazić tego chłopca, obóz i ruiny, podczas gdy Lehmann w pośpiechu opowiadał mi o dekretach prezydenta Beneša dotyczących przymusowego wysiedlenia Niemców sudeckich, całkowitej konfiskaty ich mienia i pozbawienia ich obywatelstwa czechosłowackiego. Każdy Niemiec ponosił odpowiedzialność za czyny Hitlera, także ten, który tylko uginał karku, żeby przeżyć. Żaden Czech

nie mógł zostać skazany za to, że użył przemocy wobec Niemca, jeśli został sprowokowany. Po siedmiu latach rządów Hitlera wszystko można było uznać za prowokację.

Większość wypędzonych stanowili kobiety, dzieci i starcy, mężczyźni i tak już najczęściej nie było. Na początku mogli zabrać ze sobą piętnaście kilogramów bagażu. Później pięćdziesiąt i czas pakowania wydłużono do czterdziestu ośmiu godzin. Wiele osób zakopywało wartościowe rzeczy.

Twierdzono, że dla tych, którzy będą w stanie udowodnić, że byli przeciwni nazizmowi, zostanie zrobiony wyjątek, lecz w tych pociągach byli nawet socjaldemokraci, tak jak i Żydzi, którzy wcześniej zarejestrowali się jako Niemcy, by uniknąć prześladowań.

Emil Lehmann nigdy nie próbował dowieść swojej niewinności, to nie miało najmniejszego sensu. Już na początku wojny zaciągnął się w szeregi młodzieżówki nazistowskiej. Miał wtedy czternaście lat! Czy to był jego świadomy wybór, czy po prostu szedł za tłumem? Takie pytania zadawał sobie po latach Kurt Lehmann. Co mógł z tego wszystkiego rozumieć czternastolatek?

– Proszę spróbować porozmawiać o tym z ludźmi, gdy pani wróci do Königsmühle. A nie, przepraszam, jak to się teraz nazywa? Karlovy Mlýn. Usłyszy pani, że zasłużyliśmy na to, bo sympatyzowaliśmy z Hitlerem, że wszyscy byliśmy nazistami, którzy wciągnęliby kraj w nową wojnę światową, gdyby się nas nie pozbyli. I że dzieci były jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Już coś na ten temat słyszałam.

– Moja babka od strony ojca nawet nie głosowała na nazistów – dodał Kurt Lehmann. – Nie czuła się Niemką. Oma była Środkowoeuropejką, Habsburżanką, urodzoną w Pressnitz w Czechach obywatelką dawnych Austro-Węgier, wielbiła cesarstwo, chociaż imperium dawno upadło. Widziała swoje dzieci na uniwersytecie w Pradze albo w Wiedniu i przeklinała wojnę, która stanęła im na drodze, irytowali ją ci najbardziej nacjonalistyczni Czesi, ale miała czeskich i żydowskich przyjaciół. Nie tęskniła za tym, by stać się częścią Rzeszy Niemieckiej.

Kurt Lehmann przeprosił mnie i udał się do toalety. Okna były otwarte, u sufitu kręcił się wiatrak.

Do naszego stolika podszedł barman i wymienił popielniczkę.

– Nie sądziłam, że wolno jeszcze gdzieś palić.

Zaśmiał się.

– Ma pani rację, to zabronione od dziesięciu lat, ale w Bawarii wyjątkiem są małe piwiarnie i namioty, bo jak inaczej? W Berlinie przechrzcili piwiarnie na kluby kulturalne i też jest okej, ale tutaj ludzie zaczęliby coś podejrzewać, gdybyśmy zmienili nazwę na tak snobistyczną.

– Przetarł stolik i zebrał puste pokale. – Jak ktoś narzeka, to mówimy, że mamy demokrację. Adolf Hitler jako pierwszy chciał zakazać palenia.

Po powrocie z toalety Kurt Lehmann dał się zaprosić na coś do jedzenia i jeszcze jedno piwo. Po przejeździe rowerem byłam głodna jak wilk i nie miałam już siły słuchać o wysiedlaniu ludzi. Nie potrafiłam ocenić, czy to, co mówi, jest prawdą, ponieważ jeszcze kilka tygodni wcześniej ta historia była mi całkiem nieznaną. Czy w ogóle pojawia się w szkolnych podręcznikach omawiających drugą wojnę światową?

– Czy Acho wspominał kiedykolwiek o Julii Heller? – spytałam, zmieniając temat.

– O swojej matce?

– A więc to była jego matka?

Kurt Lehmann skinął głową pochyloną nad kartą dań.

Julia Heller. Nie wiem, skąd to moje zainteresowanie jej osobą, może przez te książki, partyturę, jej obraz zlewał się z moimi wyobrażeniami na temat winnicy. To, że Acho Heller nazwał mnie jej imieniem, wzmocniło tylko przecucie, że coś nas łączy, nie tylko mieszkaliśmy w tym samym domu, może nawet byliśmy do siebie podobni. Wyobraziłam ją sobie przy fortepianie stojącym na środku salonu, skąpaną w świetle wpadającym przez okno, jak gra ten utwór, w którym się rozkochuje, Liebestraum, podczas gdy jej syn... właśnie, co robił? Bawił się w tunelach? Ale wcześniej nie odstępował jej na krok, siedział jej na kolanach, naśladował ruchy jej palców na czarnych i białych klawiszach?

Kurt Lehmann ponownie otworzył menu.

– Wezmę Zanderfilet i piwo.

Zamówiłam to samo, nie mając pewności, co to takiego. Kurt Lehmann milczał, dopóki kelnerka nie odeszła.

– Julia Heller zmarła w jednym z obozów – poinformował. – Mój ojciec nigdy się nie dowiedział, w którym dokładnie ani gdzie została pochowana. Może Acho sam nie wiedział.

Najprawdopodobniej na czerwonkę albo tyfus. Acho potrafił tylko powiedzieć, że się rozchorowała, że miała gorączkę i majaczyła, że przyszedł po nich Johann, jego ojciec.

Po jej śmierci Acho sam przedostał się do Berlina. Większą część drogi przejechał na gapę pociągiem, dużą część pokonał pieszo, trudno powiedzieć, jaką trasą. Sam nie wiedział, w rozmowie z Emilem Lehmannem wymieniał nazwy różnych stacji, próbując ustalić ich kolejność.

Emil Lehmann nie miał siły tego słuchać. O kilku z nich może słyszał w radiu albo na lekcjach geografii, lecz nie był ich sobie w stanie wyobrazić, ponieważ nigdy wcześniej nie był w Niemczech. To była podobno ich ojczyzna, ale ludzie patrzyli na nich nieprzychylnie, chcieli, by wrócili tam, skąd przyszli.

Acho Heller chciał się przedostać na wschód.

Ubzdurał sobie, że znajdzie swojego ojca, który walczył na froncie wschodnim. Może Johann Heller zaginał, był chory albo trafił do obozu jenieckiego i dlatego nie mógł wrócić do domu.

„Johann Heller – pomyślałam – dziecko na rękach swojej matki na czarno-białej rodzinnej fotografii z tysiąc dziewięćset czternastego roku”. Wszystko ułożyło się w jedną całość. Ożenił się z Julią, odziedziczył winnicę, urodził im się syn.

Acho.

Emil Lehmann obiecał Acho, że poszukają Johanna Hellera w spisach, gdy wszystko wróci do normy, niemieckie dziecko nie mogło się samotnie szwendać po Związku Radzieckim.

Poza tym Emil też zmierzał na wschód. Niełatwo było się dostać do pociągu, były przepelnione ludźmi jadącymi na wieś po worek kartofli i kapustę. Inne miejscowości, oprócz Berlina i Drezna, były mniej zniszczone niż te w zachodnich Niemczech, bomby aliantów tutaj nie docierały. Nie żeby na ludzi czekały puste domy, ale przesiedleńcom rozdawano działki. Emil miał kolegę, Niemca sudeckiego, który nazywał się Udo Körner i też był w Berlinie, spali w korytarzach metra, pilnowali sobie nawzajem rzeczy. Obaj myśleli o kopalni węgla. Niemcy miały się odbudowywać. Każdy wiedział, że do tego potrzeba energii, w nieograniczonych ilościach.

Udo skontaktował się z jakimś człowiekiem werbującym ludzi do pracy w kopalni albo z kimś, kto ich oszuka, tego nie wiedzieli, ale wszystko było lepsze od tego piekła w Berlinie. Nie mieli nawet prawa tam przebywać, w większych niemieckich miastach nie wolno było szukać

pracy ani mieszkania, obowiązywał Zuzugsverbot, zakaz wjazdu, mieli tam pod dostatkiem włóczęgów i bezdomnych.

Emil i Udo zajęli się chłopcem, we trzech wcisnęli się razem z dwudziestoma pięcioma osobami do ośmioosobowego wagonu z zabitymi oknami, więc nie widzieli stacji, na których zatrzymywał się pociąg, ani dokąd jadą, co martwiło Acho.

Zabrali go do regionu, w którym znajdowały się kopalnie. Kilka lat później nikt już się nawet nie domyślał, skąd pochodzą.

Kurt Lehmann dorastał w przeświadczeniu, że Acho Heller to jego krewny, ktoś w rodzaju wujka lub kuzyna.

– Anna nic o tym nie wiedziała – powiedział Kurt Lehmann stłumionym głosem. Wyskrobał resztę sosu i odsunął talerz. – Acho powiedział jej tylko, że ich rodzina pochodzi z wioski po drugiej stronie granicy, ale że to dawne czasy i już tam nic nie ma. Nigdy nie słyszała o winnicy ani o tym, o czym pani opowiedziałem. Podejrzewam, że to przeze mnie tam pojechała.

Zamilkł na bardzo długo.

– To w żadnym wypadku nie jest pana wina – oświadczyłam.

– Myślałem, że tylko w ten sposób odkupimy nasze winy.

Kurt Lehmann dokładnie wytarł serwetką kąciki ust, na jego twarzy pojawiło się jakieś napięcie.

– A pani co tutaj robi? To, o czym opowiadam, to dla pani nowość, więc nie była pani z Anną zbyt blisko.

Bąknęłam coś, nie potrafiłam mu udzielić prawdziwej odpowiedzi, poczułam się zdemaskowana.

– Może ja też czuję się winna – wydusiłam w końcu. – Zaprosiłam ją, kupiłam tę przekłętą winnicę, nie mając o niczym pojęcia.

– Może miała swoje powody, by o tym nie mówić – zasugerował Kurt Lehmann.

Otworzył paczkę papierosów i mnie poczęstował. Po pierwszym było mi niedobrze, ale i tak wzięłam następnego. Łatwiej było rozmawiać, pałac, brakowało mi tego, najmniejszy wspólny mianownik między dwojgiem obcych sobie ludzi.

Anna Jones pojawiła się u niego z pytaniami. Wiosną nagle przyjechała do Großräschen. Kurt Lehmann nie widział jej od wielu lat. W tamtym czasie jej ojciec wpadł w głęboką demencję i opowiadał o rzeczach, o których jego córka nigdy wcześniej nie słyszała, krzyczał do

duchów, których nie było w pokoju. To ją wystraszyło i zasmuciło, a jednocześnie zastanowiło. Dlaczego opowiadał o lipie, kto wołał, co takiego stało się o świcie, że tak go to wystraszyło?

Może osiągnęła ten etap w życiu, że dojrzała do zadawania pytań. Ale było już za późno.

Kurt Lehmann opowiedział jej wszystko. O wypędzeniu Acho, obozach i śmierci jej babki, strzępach informacji, jakie zebrał o mieście, z którego pochodzili. Siedemnaście lat temu jego ojca, Emila Lehmana, dopadła Heimweh, nostalgiczna i trudna do ukojenia tęsknota za rodzinnymi stronami, i razem z żoną i przyjaciółmi pojechał do Kraju Sudetów. Acho nie zdecydował się na tę podróż, lecz pozostali mimo wszystko, ze względu na niego, odwiedzili Königsmühle. Cóż, Kurt Lehmann nie miał zamiaru nauczyć się nowej nazwy tej miejscowości. Popytali napotkanych po drodze ludzi i w końcu znaleźli winnicę. Wyglądała na od dawna opuszczoną, pokaźna nieruchomość, wspaniała, choć zrujnowany dom, ale jednocześnie z tak urzekającym widokiem na rzekę.

Anna była prawniczką. Zareagowała takimi terminami jak: sprawiedliwość, restytucja, prawo międzynarodowe, własność.

– Powiedziałem jej, że to nie ma sensu. Że jeśli tam pojedzie, to powinna zachować ostrożność, nie rozpowiadać na prawo i lewo, kim jest, i nie rościć sobie praw do winnicy...

Oparł czoło na dłoni, nagle wydał mi się bardzo stary.

– Oni też mają prawo się dowiedzieć – powiedział cicho.

– Jacy oni?

– Körnerowie. Udo Körner, a przede wszystkim Irene, uwielbiała Annę...

– To Udo Körner żyje?

Kurt Lehmann skinął głową, twarz miał ukrytą w dłoniach, barki opuszczone. Nie umiałam mu współczuć. Jego ojciec sympatyzował z nazistami, a poza tym mam problem ze zbyt wrażliwymi mężczyznami, z ich płaczem. Nie jestem z tego dumna i nie wiem, dlaczego tak jest. Mają prawo płakać, oczywiście, absolutnie, ale to budzi we mnie niesmak, poczucie, że powinnam zrozumieć, zaopiekować się i jakoś temu zaradzić.

– Dziś rano w każdym razie jeszcze żył – odparł Kurt Lehmann. – Kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Już nie wychodzi z domu. Każdy dzień może być ostatnim. – Kurt Lehmann

wysmarkał nos w płócienną chusteczkę. Niebywałe, już się takich nie widuje. Pobawił się chwilę paczką z papierosami. Następnie się wyprostował. – Powinniśmy do nich pojechać – oświadczył. – Wolałbym, żeby usłyszeli to od pani.

– Mieszkają w okolicy?

– W Großräschen. – Spojrzał na zegarek. – Moglibyśmy pojechać od razu, to zdążymy przed kolacją, jeśli będzie pani tak miła i odwiezie mnie potem do domu.

– Przykro mi – oznajmiłam. – Nie mam samochodu, przyjechałam tu rowerem.

– No tak, to komplikuje sprawę.

Po chwili doszedł do wniosku, że siostrzeniec będzie go chyba mógł zawieźć do Großräschen następnego dnia.

– Miejmy nadzieję, że Udo będzie jeszcze wtedy żył.

Kurt Lehmann uparł się, że nie mogę wyjechać z Welzow, nie odwiedzwszy miejsca widokowego. Widać stamtąd całą kopalnię, a on i tak musiał odbyć swój codzienny spacer. Powiedział to z taką dumą, że nie mogłam mu odmówić, chociaż wolałam wrócić rowerem do hotelu, zanim chmury jeszcze bardziej zasnują niebo.

Prowadziłam rower pod dużą górę. Kiedy dotarliśmy na szczyt, zakreśliło mi się w głowie. Przede mną aż po horyzont rozciągał się opuszczony, zadymiony krajobraz. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Ziemia była wydrążona, spustoszona, wysuszona, tak musi wyglądać kraj po katastrofie, szarobury Mordor ciągnący się kilometrami. Nie kończył się, zlewał się z niebem. Nie widziałam dokładnie, skąd się bierze ten dym unoszący się nad wyrobiskiem, te chmury pyłu i innych cząsteczek wiszące w powietrzu i rozmywające się nad horyzontem.

Pomyślałam, że to się musi dostawać do płuc, przyklejać do spoconej skóry i zatykać pory, osadzać na szybach okiennych, spowijać wszystko szaroburą mgłą, że pranie w tych miastach nigdy nie jest czyste.

Kurt Lehmann poinformował mnie, ile ton węgla brunatnego wydobyto w tym miejscu, wskazał laską na południe, gdzie w oddali widać było zwałowarki i koparki, powiedział, że w dzisiejszych czasach zatrudnienie bardzo spadło w porównaniu z tym, co było kiedyś. Że Emil Lehmann był dumny z tego, że dzięki niemu syn wykształcił się na nauczyciela, może nie dzięki jego pieniądzom, ale dzięki temu, że milczał i trzymał język za zębami, nie mówił o rzeczach, o których nie powinno się mówić.

– Odnaleźli ojca Acho Hellera?

– Nie szukali. Może Acho powiedzieli coś innego, żeby go uspokoić, nie wiem. On sam nigdy o tym nie mówił.

Kilka lat po ich przybyciu w te strony na terenie radzieckiej strefy okupacyjnej powstała NRD. Szukanie krewnych podejrzanych o to, że byli nazistami, Niemcami sudeckimi, a do tego żołnierzami Wehrmachtu, nie było dobrym pomysłem. Najmądrzej było milczeć w kwestii swojego pochodzenia, ciężko pracować i nauczyć się czystej niemczyzny.

– Zrobili w tej kwestii, co mogli, czyli nic.

Po upadku muru berlińskiego Kurt Lehmann pojechał do Monachium w poszukiwaniu informacji na temat rodziny swojego ojca.

Dotarł do Niemców sudeckich, którzy nie stali się Niemcami i pięćdziesiąt lat później wciąż nie chcieli zaakceptować tego, że odebrano im dom.

Pomogli mu w poszukiwaniach. Na bardzo długiej liście znalazł nazwisko rodziców swojego ojca i jego siostry.

Emila Lehmana rozdzielono z rodziną zaraz po tym, jak nastął pokój, a oni zostali wygonieni z domu i zmuszeni do tego, by iść w stronę granicy. Emil był w tym czasie w pracy, potem został do późna u swojej dziewczyny, a kiedy wrócił, zastał pusty dom. Minęło kilka miesięcy i sam został wsadzony do pociągu.

Teraz dowiedział się, że trafili do Austrii. Mieli szczęście, zamieszkali w stróżówce przy majątku ziemskim i dostali tam pracę, w odróżnieniu od wielu przesiedleńców ze Wschodu, których wyrzucano z gospodarstw zaraz po żniwach. Dziadkowie Kurta Lehmana już nie żyli, ale skontaktował się ze swoją ciotką, siostrą ojca, która wyemigrowała dalej, do Saint Petersburga w stanie Floryda.

Opowiedziała mu, że każdego dnia szli na stację, by patrzeć na przejeżdżające pociągi. Wagony były całe w nazwiskach zapisanych kredą. W taki oto sposób wysiedleńcy chcieli dać znać, gdzie są. Te wagony towarowe z nazwiskami przemierzały całą Europę.

Nigdy nie zobaczyli nazwiska Lehmann.

– Kiedy byłem w Monachium, rozpytywałem też o Johanna Hellera. Znaleźli go w archiwum Czerwonego Krzyża. Zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, w Związku Radzieckim.

– A więc żył, gdy Acho chciał go odszukać?

– W obozie dla niemieckich jeńców wojennych na Syberii.

Słabe promienie słońca przebiły się przez brudną mgłę.

Opowiedziałam Kurtowi o zwłokach chłopca, które znaleźliśmy w piwnicy pod naszym domem.

– Podejrzewają, że nosił tę opaskę, że był Niemcem sudeckim. To się musiało stać po wojnie.

– Nie był jedyny.

– Wydaje mi się, że Acho Heller mógł go znać. Byli w tym samym wieku, mogli chodzić do jednej klasy. Może Acho wie, co naprawdę się stało.

Kurt Lehmann stał w milczeniu i przez chwilę wpatrywał się w opustoszały krajobraz. „Opustoszały” to złe słowo. Był zdewastowany, ale żył, miało się nieomal wrażenie, że oddycha.

– Acho nigdy o nim nie wspominał – powiedział w końcu. – Ale on nie mówił o przeszłości. Kiedy byłem mały, budował ze mną pociągi, modele pociągów, zbierał je.

– Kierowniczka domu seniora twierdzi, że wspomnienia mogą wracać, że demencja może też być wynikiem traumatycznych przeżyć.

– Przychodziły do niego przesyłki nawet z zagranicy, z wagonikami i lokomotywami – ciągnął Kurt Lehmann, jakby nie słyszał tego, co powiedziałam. Na górze, gdzie wiatr nie napotykał żadnej przeszkody, mocno wiało, włosy fruwały mi przed twarzą. – Znaczki i modele pociągów z Zachodu, to było dozwolone. Wujek Acho pilnował, żeby stacje następowały po sobie tak jak w rzeczywistości. Później rozpoznałem kilka z nich, gdy już mogliśmy podróżować na Zachód. Niektóre nie miały nazwy. Wisiały puste, białe szyldy. Acho Heller nie chciał nigdzie jeździć. Próbował odtworzyć przebytą przez siebie drogę.

– Wspomniał pan, że mówił o lipie i o kimś, kto wołał...

– Częstuję go koniakiem – oznajmił Kurt Lehmann. – Mały kieliszeczek, czterdzieści mililitrów, nie więcej. Rozmawiamy o tym dniu, jakby to było dzisiaj. Czasami Acho bierze mnie za mojego ojca. Wtedy powtarzam mu, kim jestem, chociaż to go zasmuca. Emil był dla niego zarówno jak ojciec, jak i brat. Zawsze mam ze sobą gazetę i pokazuję mu, jaka jest data, czytam najświeższe wiadomości. Nasze spotkania nie mogą się odbywać na warunkach dyktowanych przez pokrętne drogi jego mózgu. Jeśli poddamy się temu, to czy nie będziemy już w pewnym stopniu straceni?

Kurt Lehmann nalegał, bym ruszyła w drogę, zanim na dobre się rozpada, cała ta rozmowa go zmęczyła.

Zjechałam na dół i znalazłam się na drodze do Großräschen.

Telefon do Paula nie był prostą sprawą. Zdecydowałam więc, że napiszę SMS-a z wyjaśnieniem, dlaczego potrzebuję kopii rachunku z hotelu w Pradze, w którym spędziliśmy noc, zaplątałam się w sieć kłamstw o księgowości, po czym wszystko skasowałam. To brzmiało niedorzecznie.

Spojrzałam na jezioro, lśniło o zmroku niczym stal. Dwieście kilometrów od domu, od winnicy, od Daniela, pomyślałam, że teraz albo nigdy.

– A, to ty, cześć.

Ten głos zawsze ze mną coś robił, jakbym nie mogła się przed nim obronić. Usłyszałam, że sili się na luz.

– Możesz rozmawiać? – spytałam.

– Tak... Coś się stało?

– Nie, skąd, albo tak, ale nie chodzi o nas.

– Okej.

Wyczekująca cisza, głębszy oddech.

– Tamtej nocy... – zaczęłam. Stwierdziłam, że powiem mu, co się stało, żeby zrozumiał powagę sytuacji. Kilka razy musiałam zapytać, czy tam jest, bo milczał jak grób. Nie powiedziałam mu, że Daniel był podejrzany, i tak było już po wszystkim, tylko że policja chce sprawdzić moje alibi.

Rutynowe działanie.

– Rozumiem, że to dla ciebie straszne – powiedział. – Ale nie chcę zostać w to wplątany.

– To tylko rachunek.

– Nawet nie wiem, czy go jeszcze mam.

„Masz – pomyślałam – zawsze zostawiasz wszystkie rachunki, odliczasz je sobie od podatku albo zanosisz dyrektorowi, wiele razy wpisywałeś na rachunku moje nazwisko, chociaż nieczytelnie albo z małym błędem, bo księgowa tego wymaga”.

– Będę ci wdzięczna, jeśli go poszukasz.

– Oczywiście. Wyślę ci go, jak tylko znajdę.

– Dzięki.

Znowu cisza, oboje zastanawialiśmy się, jak zakończyć rozmowę.

– To do usłyszenia – powiedział Paul.

– Do usłyszenia.

Zeszłam na dół, na recepcję, musiałam się poruszać. Nikogo tam nie było, ale wystawiono herbatę i ciasteczka, wzięłam sobie garść cukierków. Przy barze siedział samotny mężczyzna z piwem. Chociaż nie patrzyłam w jego kierunku, to kiedy wracałam na górę, odniosłam wrażenie, że mi się przygląda.

Jeszcze nie było za późno, żeby zadzwonić do Daniela.

– Wybacz – powiedział, zanim zdążyłam się odezwać.

– Nie musisz prosić o wybaczenie.

– Wygadywałam okropne rzeczy.

Przełknęłam ślinę i wczołgałam się na łóżko, na miękką górę hotelowych poduszek.

– Część z nich była prawdą – stwierdziłam. – Że zawsze chcę, żeby wszystko było dobrze, i być może nie umiem spojrzeć prawdzie prosto w oczy.

Wydawało mi się, że w tle słyszę szum rzeki, pomyślałam, że może Daniel stoi na plaży.

– Nic w tym złego – oznajmił. – Że chcesz, żeby wszystko było dobrze.

Podczas ciszy, która później nastąpiła, zdążyłam pożałować wszystkiego, tego, że wyjechałam, że go zdradziłam i zadzwoniłam do Paula, chociaż to był już koniec, tak, to był koniec, pożałowałam wszystkiego, co kiedykolwiek zrobiłam i czego nie dałam rady zrobić.

– Jak się czujesz? – spytałam.

– Znowu byłem na policji – odparł Daniel.

– Dlaczego?

Wstałam z łóżka, musiałam być w ruchu. Cztery kroki w jedną stronę i pięć w drugą, czułam się, jakbym krążyła po więziennej celi.

– Spokojnie, chcieli mi tylko pokazać zdjęcia. Wszystkie przedstawiały młodych, ciemnowłosych mężczyzn, jakby żywcem wziętych z rejestru okolicznych Romów. Miałem wskazać jednego z nich.

– I co zrobiłeś?

– Przecież tamtego ranka nic nie widziałem. Powtórzyłem im to kilka razy, ale oni i tak nalegali, żebym jeszcze raz spojrział na fotki. Odniosłem wrażenie, że chcą, żebym kogoś wskazał, wszystko jedno, prawdziwego sprawcę czy też nie, by mogli zakończyć śledztwo.

– Spotkałam się z ojcem Anny Jones – poinformowałam. – Opowiem ci wszystko, jak wrócę do domu.

– A kiedy wracasz?

Później nie mogłam zasnąć. Usiadłam z laptopem, spisałam wszystko, żeby pamiętać, by nie zapomnieć.

Zmieniłam jego imię, nie chciałam, aby został w to zamieszany.

Paul. Zdecydowałam, że będę go nazywać Paul.

W oknie na piętrze zobaczyłam jego sylwetkę w żółtym świetle nocnej lampki.

Acho Heller nie spał.

Wyszłam tylko po to, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, przejść się i pomyśleć. Nie myślałam o tym, żeby niepokoić Acho tak późno, ale nagle przy drzwiach zapaliło się ostre światło. Ktoś wyszedł z budynku. Młody chłopak, pewnie zastępca, usłyszałam rower prowadzony po szutrówce.

Przywitałam się z nim i złapałam za furtkę, zanim się zatrzasnęła.

– Wchodzi pani?

– Tylko na chwilę – odparłam. – Mam krewnego, który...

Chłopak wsiadał już na rower i odjechał. W słabym świetle latarni szutrową drogę ledwo było widać, korony drzew zacięniały ją od góry. Przy drzwiach znowu zapaliło się ostre światło, czujniki odnotowały moje ruchy. Zapukałam, żeby nie robić hałasu, czekając, aż ktoś mi otworzy, zastanawiałam się, jak wytłumaczę swoją wizytę.

– Przepraszam, że przychodzę tak późno.

– Kim pani jest?

Pielęgniarka na nocnym dyżurze była niska i drobna, pewnie miała około trzydziestki, chociaż wyglądała na dwadzieścia dwa lata. Przedstawiłam się i powiedziałam, że jestem przyjaciółką rodziny Acho. Że byłam u niego dzień wcześniej i zanim wyjadę z Großräschen, chciałabym się dowiedzieć, jak on się czuje po tym, jak się dowiedział o śmierci córki.

Zabrzmiało wiarygodnie, tak mi się wydawało.

– Proszę wejść.

Pielęgniarka powiedziała, że słyszała o tym, co się stało, i że bardzo jej przykro. Na identyfikatorze było napisane „Charlotte”, lecz przedstawiła się jako Lotte.

– Wczoraj nie zauważyłam żadnej zmiany w jego zachowaniu, dzisiaj wieczorem też nie. Nie spał i był niespokojny, ale ten niepokój w niczym nie odbiegał od normy. – Jej głos był niższy, niż można by się tego

spodziewać po wyglądzie, głęboki i melodyjny. – Wszyscy spali, gdy przed chwilą byłam na obchodzie.

– Wydawało mi się, że widziałam go w oknie.

– Często tam stoi, gdy wchodzę do pokoju, nawet w środku nocy. Czasami w samych bokserkach albo całkiem nago.

– Kierowniczką mówiła, że Acho nocą jaśniej myśli.

– Nie wiem, czy to dobre określenie. Nazwałabym to raczej większą świadomością, aktywnością.

Pielęgniarka z nocnej zmiany obserwowała mnie z boku, wciąż stałyśmy na korytarzu. Wyglądała na lekko zdenerwowaną, może żałowała, że wpuściła mnie do środka.

– Myśli pani, że to byłby głupi pomysł, gdybym spróbowała z nim jeszcze raz porozmawiać? – spytałam. – Niekoniecznie o jego córce. Kupiłam winnicę, w której dorastał. Mogłabym mu opowiedzieć o tym, co tam rośnie, zapytać o jego wspomnienia z dzieciństwa.

– Winnicę? – Nie powiedziała tego z rozmarzeniem, do którego się przyzwyczaiłam, raczej ze zdziwieniem i z lekkim rozbawieniem. – A niech mnie. Winnicę. Naprawdę?

– Naprawdę – odparłam. – W piwnicy znaleźliśmy butelki z winem z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku i pomyślałam, że Acho musiał być noworodkiem, gdy zbierano te winogrona.

Lotte zaprosiła mnie do biura.

– Nie jestem tutaj sama – poinformowała mnie, jakby nagle przyszło jej do głowy, że mogę być szalona. – Mój kolega śpi, dopóki nie jest potrzebny. W dzień studiuje. Budzę go tylko wtedy, gdy coś się dzieje.

W środku panował chłód, okno było szeroko otwarte na ogród. W oddali między drzewami majaczyło jezioro, odbijał się w nim księżyc. Cicho szeleściły liście dębów, wypogodziło się.

W powietrzu unosił się intensywny zapach jaśminu.

– W czasach młodości naszych podopiecznych było tutaj całe miasto – oznajmiła Lotte. – Ulice, sklepy, kawiarnie, bulwar. Prawie wszystko zburzono, gdy kopalnia się rozrosła, zostało tylko kilka budynków takich jak ten. Teraz jest tam jezioro, którego wtedy nie było. Znajomy im świat zniknął na zawsze. To sprawia, że trudno im sobie coś przypomnieć. Nawet kraj, w którym żyli, przestał istnieć.

Przyniosła dużą torebkę z rogu pokoju, usiadła półdupkiem na biurku i zaczęła w niej grzebać. Wyjęła paczkę podpasek i kosmetyczkę.

– Dla większości młodych ludzi to tymczasowa praca, chcą trochę zarobić, zanim wyruszą w podróż dookoła świata i przeprowadzą się do Berlina, ale ja tak tego nie traktuję. Chcę podnosić moje kwalifikacje. Jestem tu wieczorem i w nocy, w chwili, gdy się przebudzają, gdy o świcie budzą się ich lęki. Widzę, jak się zapadają w siebie, są dziećmi i staruszkami jednocześnie, czasami właśnie urodziło im się dziecko, innym razem w drzwiach pojawia się postać od dawna nieżyjącej osoby, którą kochali, i widzę miłość rozjaśniającą ich stare twarze. To są chwile szczęścia. Kiedyś trzeba było sprawdzać, czy wiedzą, jaki mamy dzień i kto jest kanclerzem Niemiec, ale dlaczego to takie ważne? Miałam praktyki na oddziale geriatrycznym i pisałam o tym pracę, ciekawił mnie język demencji, to, co wyłania się z zapomnienia. Czy możemy go przetłumaczyć, jeśli się postaramy? Myślę o nim jak o mleczach na trawniku. Nie można ich wyplenić. Człowiek wyrywa je latami, lecz w końcu nie ma już siły z nimi walczyć. I tak wyrastają.

Wyjęła z torby czarny notes, pogładziła go lekko ręką.

– Nie pokazuję tego nikomu. Robię notatki dla samej siebie, nie notuję imion. – Pielęgniarka obserwowała mnie przez chwilę, jakby chciała ocenić, czy może mi zaufać. – Potraktuję panią jak krewną, która ma prawo do tych informacji.

– Pewnie nie ma nikogo takiego – powiedziałam.

– Słucham?

– Krewnego.

– Właśnie.

Na górze każdej ze stron było napisane ZAPISKI, OBSERWACJA. Lotte próbowała notować słowa, tak jak się pojawiały. Kiedy zadawała ostrożne pytania, Acho Heller czasami ciągnął wątek. Chciała się nauczyć rozmawiać z osobami cierpiącymi na demencję ich językiem. Zniekształconym, niejasnym, lecz równocześnie bardzo konkretnym. Rzeczy abstrakcyjne szybko znikwały, należało do nich wszystko, co wiązało się z czasem. Łatwiej było uchwycić konkrety.

Zaginionego kota, rozbitą butelkę wina.

– Nie wolno im było dotykać wina – oznajmiła. – Ciągłe do tego powraca. Butelka z winem się potłukła, ktoś się zdenerwował, wydaje mi się, że to była jego matka. Wpadłam na to, gdy mówiła pani o winnicy. To wygląda na traumatyczne wspomnienie, co może się wydawać dziwne w przypadku mężczyzny, który przeżył wojnę, ale tutaj nie rządzą prawa

logiki. To, że wystraszył się mamy, mogło być dla niego jako dziecka wielką sprawą, mogło wywołać ten sam lęk co wspomnienia o zmarłych.

– Zmarłych?

– Umarli niosą żywych – przeczytała. – Potem się poprawia, to żywi niosą umarłych. To się dzieje o świcie, często jest wtedy niespokojny. Słyszy wołanie.

– Jakie wołanie?

– Ktoś woła. To powracający motyw, tutaj... i tutaj. Wścieka się, że tego nie słyszę. Mówi, że „jemu” nie wolno tam być. Mam wrażenie, że lęk jest największy, gdy to wołanie cichnie.

– Kto woła?

– Nie wiem.

Przypuszczenia i zgadywanie. Byłam zła na siebie, bo cały czas wyciągałam wnioski na temat czegoś, o czym nie miałam pojęcia, lecz to wołanie, wino, opowiedziałam Lotte o martwym chłopcu, którego znaleźliśmy, o tunelach i zabawie.

– Wydaje mi się, że Acho i Ján Kahuda kolegowali się w dzieciństwie – oświadczyłam. – Ale zastanawiam się, czy przypadkiem nie było ich trzech, tak jak trzech muszkieterów. Acho wspomniał o jednym z nich, o Aramisie.

Lotte się zaśmiała i zaczęła wertować notes od tyłu.

– Mam to – powiedziała. – Acho szuka Aramisa. Aramis uciekł. Ktoś musiał go wpuścić do swojego domu. Czy to nie fascynujące, że człowiek pamięta coś takiego, a tyle zapomniał?

– Aramis to kot?

Okruchy, rozrzucone elementy układanki, a ty sobie wyobrażasz, że je ułożysz. Nie wiem, ile było prawdy w strzępach wspomnień Acho Hellera, a ile dodałam od siebie, lecz przed moimi oczami przewijały się kolejne obrazy, gdy tak siedziałyśmy pół godziny lub godzinę.

Sypialnia na piętrze, widok na rzekę i bramę, na lipę, czy to mógł być pokój Acho? Wyobraziłam sobie, jak tam stał i wyglądał przez okno, tak jak stał w oknie domu seniora.

Ktoś wołał. Uciekł kot.

Chłopiec, który schował się w tunelu, wypił wino, którego nie wolno było dotykać.

Wołanie ucichło.

Szukałam fragmentów, które mogły wypełnić luki, mój mózg domagał się porządku, ale był wykończony. Zapadała noc.

– Lipa jest czymś, co powraca – powiedziała Lotte, wertując swój notes, wyrecytowała strofy jakiejś pieśni albo wiersza.

W mojej głowie pojawiały się obrazy i znowu się rozplływały, lipa, wrzos, jakieś miejsce wytchnienia. „Pod lasem w dolinie...”

– Chciałabym z nim porozmawiać – oznajmiłam. – Wiem, że jest późno i takie tam, ale jeśli on sam nie do końca rozróżnia dzień i noc...

Lotte zamarła. Na piętrze rozległ się jakiś dźwięk, męski głos, głuchy odgłos.

– Muszę iść na górę.

Wysłałam za nią z biura i byłam gotowa się pożegnać, ale ona nie podała mi ręki, trzymała w niej pęk kluczy. Na górze zapadła cisza.

– Poczekaj pani na zewnątrz – zarządziła. – Na korytarzu.

Miękko szłam po schodach, żeby nie hałasować, by się nie rozmyśliła. Drzwi do pokoju Acho Hellera były zamknięte na klucz. Szukając odpowiedniego klucza, Lotte mi wyjaśniła, że Acho nocą spaceruje.

– Wiele razy znajdowaliśmy go w innych salach, potrafi śmiertelnie wystraszyć. Ludzi śpiących w swoich łóżkach bierze za martwych. Kiedy jest sam w pokoju, to nikomu nie przeszkadza. Wydaje mi się, że jest spokojniejszy.

Najpierw zobaczyłam tylko bałagan. Skarpety i bokserki porozrzucane po podłodze, łóżko w nieładzie. Nocna lampka stojąca przy drzwiach i oświetlenie ewakuacyjne przy podłodze dawały dość światła.

– Pakuje się – wyszeptała Lotte. – Czasami to robi.

Czekałam na zewnątrz, podczas gdy ona go uspokajała, usłyszałam, jak powiedziała, że Acho nigdzie nie jedzie, że jest środek nocy. Po jakimś czasie podeszłam bliżej drzwi.

Acho Heller siedział pochylony na łóżku. Spod nocnej koszuli wystawały jego chude nogi, zdeformowane stopy. Widok gołej skóry, żył, płam sprawił, że dotarło do mnie, jaki jest stary, a mimo to zobaczyłam go jakoś inaczej, pełniej. Kiedy tata wprowadził się do domu seniora, powiedziano mi, żebym mu powiesiła zdjęcia z jego młodości, by przypominały personelowi o tym, że mają do czynienia z prawdziwym człowiekiem. Wydawało mi się to dziwne, że tata ma się całymi dniami gapić na swoje fotki, więc tego nie zrobiłam, ale teraz mi się to przypomniało. Dzięki temu, czego się dowiedziałam o Acho, postrzegałam

go teraz inaczej. Miałam przed oczami chłopaka, który musiał opuścić swój dom, podróżował pociągiem w niesamowitym ścisku, chłopaka, który nigdy nie odnalazł swojego ojca. Wydawało mi się, że dostrzegam jakąś siłę i wytrwałość, że mimo wszystko Acho kurczowo trzyma się życia.

Lotte podała mu szklanekę wody i dalej z nim rozmawiając, równocześnie na mnie zerknęła i pokręciła głową. Zrozumiałam, że mam nie wchodzić. Kilka widokówek spadło z komody. Żałowałam, że nie mogłam ich przeczytać, lecz wiedziałam, że nie powinnam o to prosić.

Po chwili usłyszałam, że pielęgniarka pyta o Jána Kahudę i innych przyjaciół Acho. Może mówiła wtedy głośniej, żebym ja też to słyszała. Acho Heller odwrócił się, ale nie sądzę, że mnie zobaczył. Błądził wzrokiem, szukał jakiegoś punktu zaczepienia.

– Miałeś przyjaciela, który nazywał się Ján Kahuda, prawda? – ciągnęła Lotte, poprawiając poduszkę. – Pozdrawia cię. Chyba się razem bawiliście. Byliście trzema muszkieterami? Ty i Ján, Acho i Ján...

Staruszek wymamrotał coś pod nosem. Domyśliłam się, co to takiego. Jakaś rymowanka, tak działa mechanizm pamięci, gdzie jedno łączy się z drugim jak wtorek ze środą, jak piosenki, które się pamięta z dzieciństwa.

– Przepraszam, co powiedziałaś? Był Acho, Ján i...

– Ludvík.

– Ludvík?

Serce stanęło mi w piersi, wstrzymałam oddech. Lotte rzuciła mi spojrzenie.

– Wiesz, co się z nim stało?

– Ludvík – powtórzył Acho i zaczął czegoś szukać w pościeli.

– Co się stało z twoim przyjacielem? Czy to on woła?

Ale spojrzenie Acho znowu było puste, a ręce chwytaly za kołdrę.

Wciąż stałam przy drzwiach, podczas gdy Lotte zbierała ubrania z podłogi i wkładała je z powrotem do szuflad komody. Było tam kilka ręczników i koszula, dostrzegłam krawat oraz buty i jeszcze kilka wagoników, fragmenty torów, które wylądowały w szufladzie na samym dole, model kolejki towarzyszący mu na tej ostatniej prostej.

Twarzy Acho Hellera już nie widziałam, gdy się położył. Pielęgniarka przykryła go kocem i znowu zamknęła na klucz.

Światło nad drzwiami zgasło, gdy wyszłam, ogród pograżył się w prawie całkowitej ciemności.

Idąc w kierunku furtki, czułam się obserwowana, jakby staruszkowie powstawali z łóżek i schowali się za firankami, śledzili moje kroki. Odwróciłam się, lecz zobaczyłam tylko słabą poświatę lampek nocnych, nieruchome cienie. Po omacku odszukałam guzik otwierający furtkę. Ciche buczenie i kliknięcie.

Tafla jeziora była całkowicie nieruchoma i błyszcząca, księżyc położył sobie przez nie drogę na skos. Drzewa jakby lewitowały nad jego powierzchnią, rzucały rozczapierzone cienie.

W barze przy recepcji siedział ten sam mężczyzna co wcześniej, ale w innym fotelu. Na jego stoliku stała butelka z piwem. Powiedział po angielsku „dobry wieczór”, z silnym obcym akcentem.

– Nie usiądzie pani? Zdaje się, że jesteśmy jedynymi gośćmi.

Odniosłam niejasne wrażenie, że już widziałam kiedyś tę twarz. Niczym się nie wyróżniała, była dość okrągła i kompletnie pozbawiona zmarszczek, co prawdopodobnie sprawiało, że wyglądał trochę młodziej, lekko zwiotczała wokół ust i zupełnie bez zarostu, cienkie, anonimowe, metalowe okulary. Musiały istnieć tysiące mężczyzn w tym samym wieku, którzy mniej więcej tak wyglądali, niezliczona liczba facetów, na których nie zwracałam uwagi.

– Bar jest zamknięty – poinformował. – Ale w pokoju mam jeszcze jedną butelkę piwa.

– Nie, dziękuję.

– Albo kieliszek wina, jeśli pani woli.

– Dobranoc – powiedziałam i szybko poszłam do pokoju, dwa razy przekręciłam w zamku klucz.

Nie byłam przyzwyczajona do zamieszkanych i uporządkowanych domów, z zapachem szarlotki i troski. Na stole stały filiżanki do kawy, porcelana z wąskim złotym paskiem na górze, półmisek z ciasteczkami z tego samego kompletu. Zdjęcia dzieci, różowe kwiatki w doniczkach. Uświadomiłam sobie, że nie byłam w takim ciepłym i przytulnym miejscu, odkąd wyprowadziłam się z domu w Sztokholmie, usunęłam wszystko, co osobiste, w ogłoszeniu biura nieruchomości została jedynie wypolerowana powierzchnia. A potem była przeprowadzka w obce miejsce, któremu daleko było do prawdziwego domu, które mnie zwalczało i mi się wymykało, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek nad nim zapanuję. Nie zdążyłam nawet powiesić luster, stały zapakowane w korytarzu.

Zacząć od nowa gdzie indziej, czy to naprawdę takie proste?

Irene Körner nałała kawy, miałam wrażenie, że nakryła do stołu kilka godzin wcześniej, że moje odwiedziny były dla niej dużym wydarzeniem. Trochę nieporadnie nałożyła szarlotkę, wydawała się zdenerwowana.

– Byliśmy sąsiadami – powiedziała. – Tak, to było oczywiście dawno temu, mieliśmy wtedy małe dzieci, mieszkaliśmy w jednym z tych nienowoczesnych budynków, zanim zostały zburzone. Anna była dla mnie prawie jak córka, tak mi bliska, jak bliskie może być dziecko kogoś innego.

Zaszlochała i odłożyła łyżeczkę do ciasta.

Matka Anny, Hilde, miała ciężki poród, a później też nie było łatwo, brakowało jej pokarmu.

– Nasze najmłodsze dziecko miało zaledwie pół roku, więc nadmiar pokarmu odciągałam do butelki. Co wieczór. Miałam go tyle, po prostu płynął mi z piersi. Nigdy o to nie prosiła, ale dla mnie to było oczywiste. Sąsiedzi sobie pomagali, wszystkim nam czegoś brakowało i nikt nie miał lepiej od innych.

Körnerowie mieszkali w ładnym szeregowcu na przeciwległym końcu Großräschen. Po drugiej stronie drogi znajdowały się pojedyncze małe ogródki, ludzie kosili trawniki i się krzątali, odpoczywali z dzbankiem

soku pod kolorowym parasolem. Tak wyobrażałam sobie lata pięćdziesiąte, chociaż nie w tej części świata.

– Wspólnota – podsumowała Irene Körner. – Tego nam właśnie brakuje. Nie mówię, że kiedyś było lepiej, ale nie wszystko było gorsze.

Była piętnaście lat młodsza od swojego męża, była kobietą, co to nie usiadzie przy nakrytym stole, bo ciągle jest o krok z przodu, musi coś robić, nie lubiła bezczynności, która napawała ją lękiem, że może się stać coś niedobrego. Pamiętam, że moja mama była taka sama, gdy jeszcze rodzice mieszkali razem. Ktoś musiał ogarniać rzeczywistość, co najwyżej zatrzymać się z filiżanką kawy w ręku na pół minuty.

Udo Körner siedział na wózku inwalidzkim i dostał kawę w kubku niekapku. Wieść o tym, że córka Acho Hellera została zamordowana, wywołała silne drżenie lewej połowy jego twarzy i lewej ręki, tej, którą mógł poruszać po udarze. Nie zrozumiałam wypowiedzianych przez niego słów.

– A potem Anna się wyprowadziła – ciągnęła żona Udo. – Nie odezwała się przez te wszystkie lata. Pojawiła się nagle, tej wiosny, i zwyzywała nas za to, że pomagaliśmy sfabrykować to kłamstwo, jakim było jej dzieciństwo. Tak powiedziała, prawda, Udo? Mówić to ona potrafi, o tak, jest przecież świetnie wykształcona.

Ostatnie zdanie Irene Körner wypowiedziała ściągniętymi ustami, z lekką goryczą. Podejrzywałam, że skierowaną do męża.

Z tego, co zdążył mi opowiedzieć Kurt Lehmann, gdy spotkaliśmy się na skrzyżowaniu przed domem Körnerów, wynikało, że Udo Körner miał w przeszłości słabość do kobiet, nieudane małżeństwo na koncie i kilka kochanek. Nie przystosował się tak jak inni, ciągle mówił nieodpowiednim osobom rzeczy, których nie powinien był mówić, pisał listy w różne miejsca i w dawnych czasach kilka razy go przesłuchiowano. W związku z tym ich dzieci nie miały szansy na dobre wykształcenie. Mieli dwóch bezrobotnych synów, ponieważ nie było pracy, dlatego że wschód wydymano, jak to ujął Kurt Lehmann; w ustach mężczyzny, który emanował takim klasycznym dżentelmeństwem, zabrzmiało to trochę dziwnie.

– Jezioro – wypluł z siebie Kurt. – Tysiące ludzi pracowało w tych kopalniach, mój ojciec, Acho Heller, Udo Körner, a teraz elity w Berlinie i Brukseli chcą to wszystko zamienić w park rozrywki. Co ludzie mają robić? Paradować w ciuchach z czasów NRD jak eksponaty muzealne,

żeby turyści przyjeżdżali się na nich gapić? – Uderzył w jeden z plakatów wyborczych wiszących na słupie latarni, po czym opuścił laskę i ruszył w stronę domu Körnerów. – Głosowałem na nich, może ci w Berlinie się obudzą.

Irene Körner przyniosła album ze zdjęciami i położyła go na ławie, żebym usiadła na kanapie.

– Ma pani dzieci? – spytała, znajdując stronę, na której Anna Heller bawi się na plaży z jej maluchami. Wszyscy byli nadzy, rodzice też. – Na wybrzeżu – poinformowała Irene i zaśmiała się do swojego wspomnienia. – Ale Zachód z tą swoją religijną pruderyjnością oczywiście tego zakazał. Zostało tylko kilka plaż nudystów, a kiedyś ciągnęły się kilometrami.

Opowiadając jej o moich dzieciach, poczułam fizyczny ból, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch, poczułam silną i rozdzierającą tęsknotę. Miałam poczucie winy z powodu tego, że nie wysłałam im tego listu, który pisałam zaledwie kilka dni wcześniej, dostali ode mnie tylko krótką wiadomość, „mam nadzieję, że u Was wszystko dobrze, dużo się dzieje, opowiem później”. Gdy tylko próbowałam napisać coś więcej, pojawiał się Paul. Pytania. Mamo, gdzie się podziewałaś? Dlaczego cię tam nie było? To, że Paul pojawiał się w tym kontekście jako główna postać, osoba, przez którą mnie tam nie było, doprowadzało mnie do szału. Był postacią drugoplanową, nic nie znaczył, chodziło o większe, ważniejsze rzeczy, a mimo to włąził z buciorami, jakby odrobina seksu przyćmiła wszystko inne. Nie chodziło tylko o seks, ale poczucie, że się istnieje, o ten dreszcz emocji.

– Proszę spojrzeć na to – dodała Irene Körner, kładąc na ławie teczkę z dziecięcymi rysunkami. – Ten doskonale pamiętam – oznajmiła, znalazłszy pracę, o której mówiła. – Co za bogactwo szczegółów. Długo wisiał na ścianie, ale gdy burzyli nasz dom i musieliśmy się wyprowadzić, dzieci były już dorosłe i takie rzeczy wylądowały w teczce. Miała wycucie koloru ta Anna.

Pastele, ogromne drzewo, takie, jakie się rysuje, gdy się ma... może osiem lat? Przy korzeniach wystających ponad ziemię strzałka, a pod ziemią skrzynia, zakopany skarb. Spytałam, czy mogę sfotografować rysunek.

„Pod lipą – pomyślałam – we wrzosie, miejsce wytchnienia”.

Wesołe zdjęcia dzieci i zabaw w piasku zastąpił inny album. Las i pagórki, kościół, rzeka.

– Tak to wyglądało, gdy tam pojechaliśmy autem – powiedziała Irene Körner i wyciągnęła fotkę z albumu, żeby mężczyzna też mógł ją zobaczyć. – Prawda, Udo? To wioska Lehmann, Pressnitz, spójrz.

To były zdjęcia z podróży, którą odbyli po upadku muru Emil Lehmann i jego żona oraz Körnerowie. Irene powisała też do albumu starsze fotografie tych samych miejsc, umieściła je obok siebie. Zobaczyłam małe czarno-białe miasteczko otoczone polami, wieżę kościelną. Na kolorowym zdjęciu z ich podróży w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się miasteczko, rósł las. Gdyby nie skała w tle, można by się nie zorientować, że to jest to samo miejsce.

– Zniknęło z powierzchni ziemi – podsumował Kurt Lehmann.

Za to w rodzinnym mieście Udo Körnera znaleźli dom, w którym się wychował. Tak mu się przynajmniej wydawało. Spytali, czy mogą zajrzeć do środka. Udo i Emil musieli sobie przypomnieć słowa, których używali w dzieciństwie. Kobieta, która znała tylko czeski, była zdenerwowana, nie odezwała się ani słowem, gdy oglądali dom, i kiedy wyszli, szybko zamknęła za nimi drzwi. Dom był mniejszy, układ pokoi odwrotny, niż pamiętał Udo, a dach mniej stromy.

– Kiedy stamtąd wyjeżdżaliście, nie miałeś pewności, że to ten sam dom, prawda, Udo?

Udo pokręcił głową.

– Człowiek myśli, że może wrócić – powiedział Kurt Lehmann. – Ale czy można powrócić do czegoś, co już nie istnieje? Ziemia jest ta sama, ale tego wszystkiego, co ją zaludniało, już nie ma, śladów naszych ojców, opowieści o tym, co było.

Irene Körner odwracała kolejne strony z nowymi zdjęciami krajobrazu, wioskami, z których zostały pojedyncze domy, ruinami na rozległych polach. Po chwili rozpoznałam miasto, które nazywali „Königsmühle”.

Robili dużo zdjęć, by potem pokazać je Acho Hellerowi. Zajazd i rynek, mały kościółek nazywany przez Acho „niemieckim”, most na rzece, którym chodziłam.

I winnica. Obca i jednocześnie tak dobrze mi znana. Pojechali tam późną jesienią, lipa straciła liście. Czarna i rozczapierzona, jakby do czegoś się wyciągała.

– To straszne, co tam się stało – oświadczyła żona Udo, dotykając palcem rzeki, odnotowałam, że ma za ciasną obręczkę.

– Okropne – zgodziłam się z nią.

Udo Körner próbował coś powiedzieć, kubek niekapek wypadł mu z ręki i wturlał się pod kanapę. Pochyliłam się i go wyciągnęłam.

– Acho potem wszystkiemu zaprzeczył, gdy chciałeś się dowiedzieć czegoś więcej, prawda? – dodała jego żona, a ja zrozumiałam, że wcale nie miała na myśli zabójstwa Anny Jones. – Kiedy zacząłeś pisać i szukałeś dowodów. Acho nie był pewien, co naprawdę pamięta, a co jest tylko koszmarem z tamtych czasów, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Odciał się od tego. – Irene Körner uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo. – Ale Udo jest uparty. Zawsze taki był.

Wózek inwalidzki zaskrzypiał jakoś wymownie. Podejrzywałam, że żona Udo nauczyła się interpretować jego specyficzny język, następujące po sobie samogłoski, albo po prostu domyśliła się, czego chce, bo przyniosła jakieś pudło. Wiedziałam od Kurta Lehmana, że kiedyś pracowała w biurze kopalni. Ład i porządek, teczki i segregatory. Zapiski Udo Körnera leżały natomiast w nieładzie, może jej do nich nie dopuszczał albo ona nie chciała się nimi zajmować. Sporządzone na starej maszynie do pisania, niektóre litery były niewyraźne, jakby kończyła się taśma z tuszem.

– Mamy tutaj relację Acho, prawda, Udo? Z czasów, gdy jeszcze był dzieckiem i tego nie rozumiał. O koszmarach, jakie mu się śniły. Mnie jeszcze nie było wtedy na świecie. Moi rodzice nie chcieli rozpamiętywać przeszłości. Patrzyli w przyszłość, miały nadejść nowe czasy, na co miało się zdać grzebanie w przeszłości?

Irene Körner przeglądała zawartość pudła, cały czas mówiąc, jej mąż wymownie mruczał pod nosem, a może próbował protestować, w każdym razie najwyraźniej widział sens w spisywaniu starych historii.

Opowieści ludzi spotkanych podczas wysiedlenia, tego, co sam pamiętał lub co usłyszał od innych Niemców sudeckich, z którymi się skontaktował, gdy można się było swobodnie kontaktować z tymi, którzy trafili na Zachód.

– Udo chciał zebrać dowody, by pociągnąć kogoś do odpowiedzialności. Nie pojmował, że to się nie może udać.

– Ci, którzy wprowadzili się do naszych domów, ich dzieci i wnuki, żyli ze skonfiskowanego majątku – powiedział Kurt Lehmann. – Władze na Zachodzie zaaprobowwały wysiedlenia, więc kto miałby tego słuchać?

– Jest!

Irene Körner podała mi kilka zapisanych drobnym maczkiem kartek, żebym sama mogła je przeczytać.

Zaczynało się formalnie. Od imienia i nazwiska Acho, jego daty urodzenia, skąd pochodzi, przy jakich okazjach opowiedział o tym wszystkim Udo Körnerowi, krótkiej historii, jak znaleźli chłopca, wtedy dwunastoletniego, w Berlinie. Fragmenty opowieści Acho, odpowiedzi, jakich udzielił Udo, gdy koszmary były nie do wytrzymania.

Lato 1945 roku. Data niepotwierdzona. Eksplozja miała mieć miejsce w mieście Königsmühle, ogień wybuchł w browarze. Zanotowałem, jak do tego doszło.

Acho Heller pamięta, że zapada wieczór, gdy biegnie w kierunku mostu. Biegnie, bo jest już późno. Nie wie, co robił w mieście, po drugiej stronie rzeki. Poszedł po swoją rację żywnościową? Trzyma w ręku chleb. Spieszy mu się do domu, bo po tej stronie mostu jest niebezpiecznie. Można spotkać bandy łobuzów, żołnierzy, gwardię. Kiedy dochodzi do rzeki, widzi po drugiej stronie pracowników browaru, dym, ale to nic nadzwyczajnego, że się dymi, że się pali. Teraz wszystko śmierdzi dymem. Płonące niebo, płonąca ziemia, smród nadciągający aż z Drezna.

W jego stronę idą głównie kobiety, Niemki pracujące w browarze. Mają na ramieniu białą opaskę, dokładnie tak jak on. To matki jego przyjaciół, kiedyś były krawcowymi i miały swoje zakłady, jest też nauczycielka. Acho macha do chłopaka, z którym chodził do szkoły, zanim ją zamknięto. Potem słyszy za sobą dźwięki. Wołania, krzyki. Odwraca się. To ludzie z wioski, pracownicy tartaku, idą w jego kierunku. Chłopaki z kamieniami w dłoniach. Rozpoznaje prawie wszystkich.

Żołnierze? Wydaje mu się, że są wśród nich również żołnierze lub ci, którzy określają się mianem... nie pamięta.

Gwardia Rewolucyjna.

Pierwszy kamień. Strzały. Jakaś kobieta upada na środku mostu. Jedna z nich trzyma na rękach dziecko, niemowlę. Krzyki.

Acho się chowa, jest zwinny i mały, może się ukryć za wszystkim. Biegnie brzegiem rzeki i dokładnie wie, jak się poruszać, by być niewidocznym, chowa się za krzakami i kamieniami. Widzi, jak ludzie upadają. Jedno ciało, kilka ciał. Potrafi pływać, chowa się wśród sitowia i kamieni po drugiej stronie rzeki, dopóki na chwilę nie ucichnie. Coś płynie w jego kierunku, uderza o kamień. Kawałek materiału, kobieta. Jej

włosy unoszą się na wodzie, płynie wolno razem z prądem obok miejsca, gdzie Acho się ukrywa. Wtedy wychodzi z wody i biegnie.

Mama jest w domu, wciąga go do środka i zamyka drzwi na klucz. Teraz też musi pracować, była w browarze. Coś się tam stało, eksplozja czy coś takiego, i ludzie krzyczeli, że to sabotaż Niemców, oddziału Werwolfu, który chciał wysadzić całe miasto w powietrze. Od Julii też czuć dym. Mieszkają po tej samej stronie rzeki, po której znajduje się browar, i dlatego nie musiała przechodzić przez most jak inni, dlatego nie leży teraz w rzece. Biegła do domu i jest wściekła, bardzo wściekła, że nie było go w domu. Czy nie zabroniła mu wychodzić na dwór, bawić się z tymi, których ma za przyjaciół?

Acho nie mówi, kogo widział. Nie mówi o kamieniach, które fruwały w powietrzu.

Matka przyniosła całe srebro, świeczniki, miseczki, serwis z Wiednia, rzeczy, których nie wolno mu ruszać. On stoi jak wryty. Niczego nie dotyka. Chce pokazać chleb, lecz rozpułnął się w wodzie, w kieszeni została po nim tylko paćka. Chce krzyknąć, żeby nie wychodziła do ogrodu. Mogą przyjść Ruscy, a wszyscy wiedzą, co robią z Niemkami. Mogą przyjść wszyscy inni, ci, którzy rzucali kamieniami na moście, robotnicy, żołnierze, milicja.

Acho wybiega za nią i pomaga jej przyciągnąć z szopy worek z cegłą, z szopy, której budowy nie zdążyli dokończyć przed wybuchem wojny. Mama znowu zamyka drzwi na klucz i idzie do piwnicy.

Co robisz, mamó?

Zamurowała cały otwór. Drzwi, które tam były, prawie nie widać, została tylko szczelina na samej górze.

Mocno go trzyma.

Musimy stąd wyjechać. Kiedy ojciec wróci, pojedziemy do Wiednia. Wszystko będzie tak jak kiedyś, obiecaliśmy mu to, pamiętasz? Że wszystkim się zajmujemy, ty i ja.

Julia trzyma go jeszcze mocniej. Acho pamięta, że to go bolało.

Pojedziemy do Wiednia, ty i ja. Chyba pamiętasz, co ci opowiadałam, gdy byłeś mały, o lemoniadzie w parkach i diabelskim młynie. Prawda, że chcesz tam pojechać?

Na tym kończyła się opowieść Acho. Poniżej było coś nabazgrane odręcznie, ołówkiem, który wyblakł.

Irene Körner próbowała rozczytać charakter pisma swojego męża i pokręciła głową.

– Coś o wilkołakach...

– Wilkołakach?

– Chodzi o Werwolf, nazistowskie oddziały terrorystyczno-sabotażowe – wyjaśnił Kurt Lehmann. – Niezaprzeczalnie istniały i po upadku Niemiec zapadły się pod ziemię, ale nikomu nie udało się udowodnić, że poruszały się po lasach w Kraju Sudetów. To chciałeś powiedzieć, Udo?

Skinienie głowy.

Irene Körner wzięła z powrotem tekst. Spytałam, czy mogę zrobić zdjęcie, by móc go później na spokojnie jeszcze raz przeczytać. Udo Körner podniósł rękę w sposób, który dla mnie oznaczał: weź go sobie, i tak nikogo to nie obchodzi.

– Acho wyparł się tego w dorosłym życiu – oznajmiła Irene Körner. – Więc nikt nie wie, ile z tego jest prawdą. Nigdy nie wspomniał na ten temat ani słowem, nawet do Hilde, inaczej bym o tym wiedziała. Rozmawiałyśmy o wszystkim.

Udo Körner zaprotestował, zamachał ręką w stronę pudła, najwyraźniej chciał, żeby pokazała mi coś jeszcze.

– Tak, tak. – Jego żona niechętnie wyjmowała kolejne kartki, a on tylko kręcił głową z dezaprobatą. – Nie widzisz, że zanudzamy tym wszystkim naszego gościa?

– Nic nie szkodzi – powiedziałam, uśmiechając się do mężczyzny na wózku. Wydawało mi się, że uśmiechnął się do mnie niesparaliżowaną połową twarzy.

– Nawet jeśli to prawda, niczego to nie zmienia – bąknęła Irene Körner. – Praca wyrzucona w błoto...

Coś mi się wydawało, że oddaje mężowi za zdrady, bezrobocie dzieci, może za wszystko, co poszło nie tak, obwinia tego mężczyznę siedzącego na wózku i całkowicie skazanego na jej łaskę.

W końcu znalazła plik zszytych kartek, na który jej mąż zareagował.

– Tak, tak, tak – powiedział albo prawie powiedział.

Wolno je przeglądałam. To były nazwy miast i wsi w Kraju Sudetów, miejsc już nieistniejących na mapie, którym zmieniono nazwę albo całkowicie je zburzono, zrównano z ziemią. Pod każdą z nich znajdowała się długa lista imion i nazwisk.

– Zaginieni – wyjaśnił Kurt Lehmann, siadając na kanapie obok mnie, nie pozwalał mi przeglądać zbyt szybko.

Większość nazw miejscowości nic mi nie mówiła, ale nazwę „Postelberg” powinnam była pamiętać. Lista zaginionych zajmowała kilka stron. W zbiorowym grobie odkryto siedemset sześćdziesiąt trzy ciała, niemieckich mężczyzn i chłopców, torturowanych, lecz kolejnych ośmiuset, którzy przebywali w obozie w czerwcu 1945 roku, nigdy nie znaleziono. Kurt zwrócił mi również uwagę na miejscowość Brunn, kilka tysięcy zaginionych i zmarłych podczas brneńskiego marszu śmierci w stronę Austrii. Prerau, ponad dwustu Niemców sudeckich wygoniono z pociągu i kazano im kopać sobie groby przed egzekucją, siedemdziesięciu z nich to były jeszcze dzieci. „Co miałem zrobić, skoro zastrzeliłem ich rodziców?”, powiedział porucznik, który wydał ten rozkaz.

Potem rozpoznałam nazwę Königsmühle. Nazwiska zajmowały kilka stron.

Zwróciłam się do Udo Körnera.

– Twierdzi pan, że mogli zostać zamordowani na tym moście?

Ewidentnie kiwnął twierdząco głową. Choroba nie zabiła błysku w jego oczach, poczułam, że między nami jest jakieś porozumienie. Udo był zadowolony, że ktoś go słucha. Lista tych wielu zaginionych stanowiła dowód na to, że historia, którą opowiedział Acho Heller, była prawdziwa, zrozumiałam, że właśnie to chciał mi powiedzieć.

Dlatego dokładnie ją przeanalizowałam. Do odjazdu pociągu do Drezna miałam godzinę. Mogłam sobie na to pozwolić. Udo Körner włożył w nią tyle wysiłku, a potem ktoś pospiesznie schował ją w pudle.

Nie było w tym porządku alfabetycznego, może nazwiska pojawiały się na niej stopniowo, odkrywane w różnych źródłach i rejestrach, czy skąd je tam jeszcze wzięto. Dopiero pod koniec listy natrafiłam na znajome imię.

Ludvík.

Serce zabiło mi szybciej, kartka zatrzęsała mi się w dłoniach. W głowie usłyszałam głos Acho Hellera wypowiadającego to imię, gdy pielęgniarzka próbowała porozmawiać z nim o tych trzech chłopcach.

Acho, Ján i Ludvík.

Ludvík Blau.

Odniosłam wrażenie, że już gdzieś widziałam to nazwisko, zapisane właśnie w taki sposób.

Na liście znajdowała się jeszcze jedna osoba o takim nazwisku.

Milena Blau.

– Czy to popularne nazwisko?

– Nie wiem – odparła Irene Körner, która właśnie zaczęła zbierać ze stołu filiżanki. – Nie jestem stąd.

– Imię Ludvík tak zapisane i Milena... – odezwał się Kurt Lehmann. – Dla mnie to bardziej brzmi po czesku niż po niemiecku.

Rozważałam, czy nie opowiedzieć im historii o martwym chłopcu znalezionym w piwnicy, ale wahałam się, ponieważ nie chciałam przypominać Udo Körnerowi, że byłam jedną z osób, która tam mieszkała. Właśnie wtedy zadzwonił mój telefon.

Daniel.

Przeprosiłam ich i wyszłam z pokoju. Daniel mówił zwięźle, zduszonym głosem.

– Znowu mnie zamykają.

– Co? Dlaczego?

– Twierdzą, że mają świadka. Sonja, ktoś kłamie w tej sprawie.

Musiał szybko zakończyć rozmowę. Chwilę później opuściłam mieszkanie państwa Körnerów i jadąc na dworzec, zadzwoniłam do niego. Miał wyłączoną komórkę.

Zawahałam się, po czym odszukałam numer do Antona Adámka. Przy trzeciej próbie, gdy siedziałam w pociągu, odebrał.

– Oczywiście nie mogę nic powiedzieć – oznajmił.

– Wie pan coś na temat świadka?

– Nic więcej poza tym, że pojawiły się nowe dowody w sprawie, przemawiające za tym, że pani mąż mógł mieć napad agresji, oraz dodatkowe fakty, które wzmacniają podejrzenie motywu. Odczytałem je przy zatrzymaniu. Przesłuchanie odbędzie się dopiero jutro.

– Jakiego motywu?

– Że pani mąż chciał bronić swojego mienia, swojej rodziny. Pewnie większość ludzi zachowałaby się podobnie.

Pociąg przemieszczał się denerwująco wolno. Kolejny raz przeczytałam opowieść o zdarzeniach na moście, by zająć czymś głowę. Gdzieś za Dreznem, gdzie równina zamieniła się w dramatyczne skały, przypomniałam sobie, gdzie widziałam nazwisko Blau.

Prawie wytarte przez czas i deszcz, na kamieniu nagrobnym leżącym w trawie.

Kartony z lustrami zniknęły z korytarza. Kluczyki do samochodu leżały tam gdzie zwykle. W kuchni wszystko było pozmywane i czyste. Daniel miał czas, żeby pozmywać, czas, by posprzątać, zanim go zabiorą.

Poszłam prosto do spiżarni, tam gdzie stały puszki z kocim jedzeniem. Wydawało mi się, że trochę ich ubyło od mojego wyjazdu. Ucieszyło mnie, że Daniel mimo wszystko pomyślał o tym, by nakarmić kotkę.

Dlaczego miałby tego nie zrobić?

Przypomniało mi się to, co wykrzyczał do mnie, gdy ostatnio staliśmy w tej kuchni. Że traktuję go jak dziecko.

Kotka już się pojawiła i czekała przy drzwiach, gdy podeszłam, zwyczajowo wycofała się w krzaki.

– Aramis! – zawołałam cicho. – Tak powinnam cię nazywać?

Następnie rozpakowałam walizkę i uzmysłowiłam sobie, że moje pranie wciąż się moczy. Aksamitna sukienka pływała w szaroburej wodzie niczym wspomnienie zanieczyszczonego powietrza w Pradze.

Zadzwoiłam na centralę telefoniczną policji i połączono mnie z kimś, kto nie odebrał. Znowu musiałam liczyć godziny. Mogli trzymać Daniela do pojutra, a potem czekała nas ta sama procedura, kolejna doba lub jeszcze dłużej.

Zaskrzypiała drewniana podłoga, uwięziony motyl uderzał w okienną szybę. W tym domu były tylko takie dźwięki.

W toalecie odkryłam, że Daniel powiesił jedno z luster. Nie to, co trzeba. Miałam inną wizję, ale nic nie szkodzi. Zupełnie nic. To był znak, że mój mąż przez krótką chwilę, gdy mnie tu nie było, widział tutaj naszą przyszłość. A może tylko się wkurzył, że zostawiłam kartony w korytarzu? Przypomniało mi się to, co kiedyś usłyszałam, że w lustrach można zobaczyć wypędzonych, prawdziwych mieszkańców domu.

Acho, Julię i Johanna Hellerów, którzy zniknęli i nigdy tu nie wrócili, Annę, która wróciła, by odzyskać to, co do niej należało.

Opowiadania o duchach, przesady.

W lustrze widziałam tylko swoją twarz, i nie mogłam na nią patrzeć.

Skręciłam w górę przy domu po drugiej stronie rzeki. Ján Kahuda krzątał się po swoim ogrodzie, wycinał podkaszarką trawę w trudno dostępnych miejscach i nie usłyszał, że przyszedłam.

W powietrzu unosił się odurzający zapach róż. Wydawało mi się, że widzę zarówno Rosa Mundi, jak i Souvenir de Malmaison.

– Są z winnicy? – spytałam głośno zza jego pleców. Ján Kahuda się zachwiał, jakby miał upaść. – Przepraszam, nie chciałam pana przestraszyć.

Ogrodnik zdjął słuchawki. Podkaszarka rozrzuciła trawę w powietrzu, zanim się zreflektował i ją wyłączył.

– Przykro mi – powiedział. – Nie mogłem się zająć waszym ogrodem. Była tam policja, zabezpieczyli wszystko taśmą policyjną...

– Zatrzymali Daniela – oznajmiłam. – Wiedział pan o tym?

Mężczyzna wyraźnie się przestraszył, słysząc moje pytanie. Spoglądał w różnych kierunkach, jakby szukał drogi ucieczki, otwierał i zamykał usta.

– Czy to pan jest tym świadkiem?

– Może wejdziemy do środka? – zaproponował w końcu Ján Kahuda.

– Okej.

Ogrodnik otrzepał spodnie i koszulę z trawy. Poinformował, że musi się obmyć, i poprosił, żebym chwilę poczekała na zewnątrz.

Ze schodów prowadzących do sieni spojrzałam w dół, na zbocze usłane makami. Właśnie w tamtym miejscu rzeka się zwięzała i lekko zakręcała, w linii prostej nie było stamtąd daleko do winnicy po drugiej stronie. Ján Kahuda musiał widzieć radiowozy, możliwe, że nawet dostrzegł, że ktoś leży pod lipą.

Obmycie się trochę mu zajęło, pewnie musiał się zastanowić nad tym, jak mi się wytłumaczy, i może trochę ogarnąć. Kiedy drzwi w końcu znowu się otworzyły, zrozumiałam to i owo. W środku było ciasno, znajdowało się tam dużo mebli i ozdób, z których część stała pewnie w tym samym miejscu, gdzie postawili je rodzice Jána, lecz równocześnie było tam schludnie i czysto. Rodzinne fotografie i obrazy na ścianach, kopie znanych i nieznanych dzieł, ale tym, co najbardziej przykuło moją uwagę, był zapach. Mało frapujący. Ktoś inny być może wcale nie zwróciłby na niego uwagi. Słaba woń alkoholu, którą ktoś starał się ukryć. Tabletki na gardło, woda po goleniu, okno otwarte na całą szerokość, było wiele sposobów, lecz żaden stuprocentowo skuteczny. Te

ostatnie lata, gdy ojciec mieszkał w domu, były ciągłym rozważaniem, czy zdradzić się z tym, co wiem, czy pozwolić mu zachować tę małą przewagę, odrobinę godności, wiarę, że może to utrzymać w tajemnicy. Wcześniej nie wywahałam tej woni od ogrodnika, a może wyczułam podświadomie? Może to właśnie ona sprawiła, że natychmiast poczułam się przy nim bezpiecznie i równocześnie zrobiło mi się go żal, zapach samotności, obok którego nie potrafiłam przejść obojętnie, musiałam coś zrobić, na przykład go zatrudnić.

Postawił na piecu garnek z wodą.

– Co miałem powiedzieć, skoro zapytali? Nie mogłem zaprzeczać, pozostało mi powiedzieć, jak było.

– I co im pan powiedział? Że Daniel jest agresywny? Przecież pan wiedział, że nie ma pan prawa wchodzić do naszego domu?

Ján Kahuda sprawdził, czy kubki są czyste, zanim do każdego z nich wsypał łyżeczkę kawy rozpuszczalnej i przeprosił, że nie ma nic innego. To, że zaprosił mnie na kawę, wcale nie zmieniało faktu, że wcale mnie tam nie chciał.

– Potrafią człowieka omotać pytaniami, wszystko przeinaczają – powiedział, kręcąc głową, oparł się o blat, który był dla niego za niski. – Czy był agresywny, czy panu groził, czy podnosił głos? Człowiek odpowiada „tak, może w pewnym stopniu”, i to się staje prawdą.

– To wszystko?

– Może też coś widziałem.

– Tamtej nocy?

– Chyba nie powinienem...

– Muszę wiedzieć... Daniel to mój mąż. Nie będę tego rozpowiadać na mieście.

Ján Kahuda wyjrzał przez okno, może widział stamtąd kawałek naszej winnicy.

– Wstałem tylko, żeby... Cóż. Na zewnątrz wciąż było ciemno. Zamajaczył mi tam jakiś cień. Poszedłem na most.

– Mający cień? Na tej podstawie nie mogą nikogo skazać?

Ján Kahuda spojrział w dół, na swoje ręce, w rękawy koszuli powbijało się trochę trawy. Próbowałam spojrzeć mu w oczy.

– Chyba nie myśli pan, że Daniel to zrobił?

Pytanie zawisło między nami. Już nic nie wydawało się oczywiste. Daniel naprawdę był dla niego wtedy niemiły. To jasne, że staruszek

poczuł się zagrożony, zwłaszcza że się nie rozumieli. Przecież nawet ja sama powiedziałam o Danielu, że jest rozchwiany emocjonalnie, co prawda tylko w rozmowie z tłumaczem, ale czy nie zachęciłam go do tego, by poinformował o tym policję? Zmroziło mnie, gdy sobie uświadomiłam, że mogłabym zostać wezwana na świadka, że to, co powiedziałam, mogło zostać zapisane, że może nie da się tego cofnąć.

Piętrzące się poszlaki. Głośne stukanie łyżeczki, gdy mieszał nią w kubku, proszek musiał się już dawno rozpuścić.

– Policja z pewnością robi wszystko, by dowiedzieć się prawdy – oświadczył.

Kawa była słaba, prawie nie nadawała się do picia. Jasnobrązowa lura. Odstawiłam kubek. Wcale o nią nie prosiłam, nie czułam się zobowiązana do tego, by ją wypić. „Jeśli jest samotnym alkoholikiem, to nie mój problem” – przekonywałam w myślach samą siebie.

– Spotkałam pana kolegę z dzieciństwa – poinformowałam. – Acho Hellera. Wiedział pan, że żyje?

Nie byłam w stanie zinterpretować reakcji staruszka. Wbił we mnie wzrok, a następnie spojrzał w okno, może coś sobie przypomniał.

– Wiedział pan, że to była córka Acho Hellera?

– Ma córkę?

– Anna Jones, z domu Heller.

– Nie wiedziałem.

Ján Kahuda zrobił kilka niepewnych kroków, jakby podłoga miała się pod nim zapaść albo jakby nogi miały mu odmówić posłuszeństwa.

Przeniósł rękę z kuchennego blatu na stół, a potem na fotel, na który w końcu opadł.

– Myślałem, że kiedyś wrócą.

– Jego matka zmarła w obozie. Julia Heller, pamięta ją pan?

Położył rękę na sercu, odchrząknął.

– On też tutaj jest? Acho Heller wrócił?

Opowiedziałam mu o domu seniora w Großräschen, o tym, jak Acho tam trafił. Że chciał o wszystkim zapomnieć, lecz wspomnienia zwyciężyły. Że Anna w końcu się dowiedziała, skąd pochodzi.

– Po co tu przyjechała? – Ján Kahuda miał problem ze skoncentrowaniem wzroku na jednym punkcie. Przenosił go z przedmiotu na przedmiot, z obrazu na obraz.

– Może chciała odzyskać to, co jej zdaniem do niej należało – zasugerowałam. – Chciała, żeby jej ojciec dostał przed śmiercią swój spadek, został pochowany w ojczystej ziemi. Być może chodziło o Heimweh, naprawdę nie wiem.

Usiadłszy, Ján Kahuda mógł zobaczyć przez okno tylko niebo i korony drzew. A w oknie szklaną karafkę, porcelanowego aniołka i wyprasowane zasłony.

– Byli jak bracia – oznajmił. – Mieszkali raz tu, raz tam. W tamtych czasach mieli łódź wiosłową, którą pływali do siebie w tę i we w tę, ale to było, zanim...

– Mówi pan o swoim ojcu?

– O Johannie Hellerze. Zawsze ktoś siedział przy stole, tu lub tam, przez cały semestr mój ojciec mieszkał u nich, żeby nauczyć się poprawnie mówić po niemiecku.

– Johann Heller zmarł w czterdziestym siódmym – poinformowałam. – Jako jeńiec wojenny w Związku Radzieckim.

Ogrodnik mnie przeprosił, musiał pójść do łazienki. Usłyszałam dźwięk spuszczonej wody w toalecie i pomyślałam, że może właśnie tam przechowuje swoje butelki. Na dnie kosza z brudami albo bardziej na widoku, w łazienkowej szafce. Wyszedł z łazienki z mokrymi rękami, musiał zapomnieć je wytrzeć, stanął w drzwiach.

– Krążyły pogłoski, że wrócił. Mój ojciec widział rzeczy, które nie istniały. Wyobrażał sobie, że umarli mogą znowu chodzić, że Johann Heller krąży wokół winnicy. Mówiono, że wrócił pieszo z frontu wschodniego i snuje się po okolicy jak duch, mści się na tych, którzy wypędzili stąd jego rodzinę. Ci, którzy się tutaj wprowadzili, prawie od razu się stąd wynieśli, i tak nie znali się na ziemi, zabrali, co mogli, i ruszyli w drogę, ale niektórzy twierdzili, że to on ich wypędził. Może dlatego nikt stąd nie chciał się o to zatroszczyć.

– Ta habsburska róża – przerwałam mu. – Czy to Johann posadził ją dla Julii?

– Nie, odwrotnie, to Julia przywiozła ją z Wiednia. Mój ojciec ją uwielbiał, ciągle tylko Julia to, Julia tamto... Boże broń, żeby ta róża umarła.

Jego głos brzmiał jakoś inaczej, marzycielsko i młodo, gdy mówił o jej włosach, sukniach i muzyce. Julia Heller pochodziła z cesarskiego Wiednia, gdzie spacerowano po parkach, pito lemoniadę i robiono

wycieczki do Lasu Wiedeńskiego, była powiewem utraconego cesarstwa, opowiadała im o pałacu i kwiatach w ogrodach cesarzowej, karuzelach i diabelskim młynie w parku Prater! Czasami, gdy w radiu grała muzyka, ciągnęła chłopców do tańca, chociaż nie chcieli, Acho tego nienawidził.

– Wcześniej pan twierdził, że nic pan nie pamięta.

– Przepraszam. To było dawno temu.

Potańczał ręką czoło i przymknął oczy.

– A Ludvík lubił tańczyć?

Ján Kahuda zapadł się w fotelu, jego ciało z każdym oddechem stawało się coraz cięższe.

– To był on, prawda? – dodałam. – To jego znaleźliśmy w tunelu? To wy trzej bawiliście się tam na dole? Nazywał się Ludvík Blau? Jeśli pan wie, co się stało, to proszę powiedzieć, on już jest pochowany i nikogo to nie obchodzi.

Zobaczyłam, że moje słowa sprawiają mu ból. Napinające się mięśnie twarzy, cichy jęk.

– Pomogłem mu. Zrobiłem tylko tyle.

Wtedy pojawił się płacz, płacz bez łez, szatkujący jego słowa. Opowiadał bez ładu i składu, niechronologicznie, jak w filmie zmontowanym od tyłu, w którym czas tak się miesza, że widz musi sobie poukładać akcję w głowie.

Powoli zaczynałam rozumieć, że opowiada o tamtym wieczorze, o zdarzeniach na moście. W sumie nie powinnam tego nazywać zdarzeniami, bo to było dużo gorsze.

Czerwiec, rok 1945. Pokój, który nie przypominał pokoju. Wtedy Ján nie rozumiał wszystkiego, co się działo, i teraz też nie może powiedzieć, że wszystko zrozumiał. Ci ludzie idący mostem, bawił się w domach niektórych z nich, jego matka robiła u nich zakupy, byli tam ludzie, o których ogrody troszczył się jego ojciec. Czy naprawdę chcieli wysadzić całe miasto w powietrze? Zdrajcy i sabotażyści. Starsza pani, która miała pasmanterię niedaleko rynku? Milena robiąca torty i soki?

– Milena Blau?

Odniosłam wrażenie, że nie usłyszał mojego pytania.

Żółte gwiazdy noszone przez ostatnich Żydów w mieście zostały zastąpione przez białe opaski z literą N jak Nemecek na ramieniu Niemców. „Celuj w twarz albo cycki, tam boli najbardziej!” – krzyknął mu kolega ze

szkolnej ławki, który wciąż mieszka w mieście. Spotykają się czasami w zajezdzie, grają w karty.

O tym nie rozmawiają.

Ktoś go popchnął, rzucił w niego kamieniem, „no rzucaj, rzucaj, przyjaciel Niemców się znalazł, tak jak twój ojciec, w Pradze wieszają takich na latarniach, zobaczmy, po czyjej jesteś stronie, kim naprawdę jesteś”.

Kolaborant. Słowo, którego się nauczyli.

Na moście były też dzieci. Niemowlęta zabierane przez matki do pracy, bo nie było ich gdzie zostawić, przecież wszystkie niemieckie placówki, szkołę, Kindergarten, zamknięto zaraz po wojnie i wyrzuceniu nazistów.

– Widział pan Acho Hellera? Był tam, opowiedział o tym, ale potem nie chciał już wracać do tego pamięcią.

– Nie było czego pamiętać – oświadczył Ján Kahuda.

Nie, nie widział Acho Hellera.

Ale Ludvíka owszem. Jak biegnie z miasta i wie, że jego matka jest na tym moście. Może jest jedną z tych osób właśnie wyrzucanych przez barierkę mostu, płynącą w wodzie wśród innych martwych ciał. Ludvík zmierza w tamtym kierunku, lecz Ján wydstaje się z tłumu i biegnie w jego stronę. Podnosi rękę z kamieniem, na wypadek gdyby ktoś na niego patrzył, ale nikt nie spogląda w jego kierunku, panuje straszny hałas, wszyscy krzyczą, ci, co będą zabijać, i ci, co mają umrzeć, nawet ptaki krzyczą, Ján ma pewność, że niebo jest czarne.

– Uciekaj stąd – szepce na ucho wzburzonemu Ludvíkowi, który chce się dostać na most. – Rozwalę ci czaszkę, jeśli stąd nie uciekniesz i się nie ukryjesz – grozi mu w końcu. – Schowaj się w tunelu, szybko, zanim cię zobaczą.

Ludvík zaprzyjaźnił się z Acho w niemieckiej szkole, ale bawili się we trójkę, odkąd Ján sięgał pamięcią, odkąd byli smarkaczami. Kiedy Czesi i Niemcy przestali się ze sobą bawić, oni chowali się w tunelu.

Zakradali się tam pojedynczo, któryś z nich zawsze stał na czatach.

To Ludvík znalazł to zapomniane wejście do tuneli pod miastem. Stare okienko piwniczne obok domu, w którym mieszkał, między sklepem żelaznym a księgarnią, przez które mogły się przecisnąć tylko smukłe chłopięce ciała. Ludvík był sprytny, miał zostać wynalazcą, skonstruował drewnianą klapkę zasłaniającą okienko, dzięki której wejście wyglądało jak zabite deską, a oni mogli swobodnie wchodzić do tunelu.

– Szukałem go w twarzach wszystkich staruszków, którzy tu przyjeżdżali ładnymi samochodami, krążyli po mieście i fotografowali domy, kładli kwiaty na grobach... Myślałem, że udało mu się gdzieś uciec. Do lasu, przez góry, do Ameryki.

Zapach wódki stał się teraz wyraźniejszy, przebijał się przez wszystkie zapory. Jánowi Kahudzie kapało trochę z nosa, wytarł go rękawem.

Rozjuszony tłum biegł dalej przez miasto, wypędzał Niemców z domów i zaganiał ich na rynek, wyrzucał przez okna ich dobytek.

– I wybił okna w księgarni – dodałam. – Ktoś podpalił niemieckie książki.

Ján Kahuda podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

– Skąd pani o tym wie?

– Powiedziano mi o tym w księgarni.

– Tak się paliła, że nie dało się podejść do wejścia. Następnego dnia jeszcze się tliła, wszędzie było pełno rupieci pokrytych sadzą. Nie można tam było wejść przez wiele dni.

– Ani stamtąd wyjść.

Ján Kahuda zacisnął pięści. Przez te wszystkie lata myślał, że Ludvík zszedł na dół i przebiegł tunelem aż do winnicy, gdzie Acho go wypuścił, by mógł uciec przez las.

Ján nigdy nie próbował potem zejść do tunelu, co miałyby tam robić sam? Po niedługim czasie otwór zniknął pod asfaltem.

– Ale Ludvík nigdy nie wyszedł na powierzchnię – oznajmiłam. – Bo Julia Heller замуrowała drzwi.

– Nie wiedziałem o tym – powiedział Ján, wykręcając dłonie. – Dlaczego to zrobiła? Potem, po tamtym wieczorze, już nigdy nie spotkałem się z Acho, a później zostali wypędzeni. Nie wiedziałem.

– Wydaje mi się, że chciała chronić wino.

Przypomniałam sobie, jak wlekąc się pociągiem przez centralną Europę, w kółko czytałam opowieść Acho.

– Chyba chciała być pewna, że wino i wartościowe rzeczy wciąż tam będą, gdy Johann wróci do domu. Julia Heller wierzyła, że pewnego dnia tam wrócą. Powiedziała Acho, że jadą do Wiednia.

– Do Wiednia – powtórzył Ján Kahuda.

W tajnych audycjach radiowych słyszeli, że Wiedeń zostanie całkowicie zbombardowany, zamieni się w piekło na ziemi. Obiecywał to Arthur „Bombowiec” Harris, ten, który zrzucił bomby na Drezno.

Tak się jednak nie stało, lecz ludzie i tak umierali z głodu, także w Wiedniu.

Ján widział Acho i Julię na stacji, gdy zaganiano ich do wagonów towarowych. Nie miał odwagi do nich podejść. Nie wiedział, dokąd jada.

– Chciała złapać go za rękę – powiedział. – Ale on jej na to nie pozwolił. Żaden dwunastolatek nie trzyma swojej matki za rękę.

Ogrodnik rozejrzał się niespokojnie wokół siebie. Odniosłam wrażenie, że chce, żebym już sobie poszła. W jego ruchach była jakaś nerwowość. „Chce się napić” – pomyślałam, rozważając, czy go nie poprosić, żeby i mnie poczęstował, ale przypomniało mi się, że przyjechałam samochodem.

Na schodach przed domem – zaczynało zmierzchać i światło stało się chłodniejsze, niebieskie i przezroczyście jak pejzaż malowany akwarelami – spytałam go jeszcze raz o to, czy to on jest tym świadkiem i czy powiedział policji coś jeszcze.

Jakby się zawahał, otworzył usta i zerknął na rzekę.

– Jestem już stary – stwierdził. – Z daleka mało co widzę w ciemności.

Zwolniłam przy willi przypominającej zamek, przepuściłam kilka ciężarówek. Bluszcz porastał zniszczoną elewację, popękane kolumny, poraziła mnie ta gwałtowność rozpadu, wilczy głód przyrody. No i był tam most, bezlitosna rzeka. Prawie mnie oślepiło, gdy za mną pojawił się samochód i musiałam się zdecydować, dokąd jadę. Skręciłam w prawo, nie w kierunku winnicy, tylko ku miastu, zaparkowałam niedbale, częściowo na chodniku. Spojrzałam w górę, na okna pokoju, w którym spałam kilka nocy. W wielu pokojach paliło się światło, sprawiające, że prawie wytarte litery na elewacji stały się widoczne, tworząc niemieckie słowo Gasthaus.

Libor przywitał się ze mną i poinformował, że niestety nie ma wolnych pokoi, żałował, że wcześniej nie zadzwoniłam. Przeprosił mnie, mówiąc, że ma urwanie głowy w restauracji, więc usiadłam i zamówiłam coś do zjedzenia. Za każdym razem, gdy podchodził do mojego stolika, opowiadałam mu kawałek historii o widokówce. Że ją dostarczyłam i doprowadziła mnie do jednego z wypędzonych Niemców sudeckich.

– A więc ta kobieta miała z nimi coś wspólnego – stwierdził Libor, strzepując okruchy z mojego stolika na podłogę, złożył używaną serwetkę.

– Winnica była w posiadaniu jej rodziny do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Libor postawił przede mną koszyk z pieczywem. Zapomniał, że zamówiłam wodę mineralną, i jak zwykle podał mi kieliszek wina. Nie miałam siły protestować.

– Powracający – powiedział. – Zaczęli się pojawiać po osiemdziesiątym dziewiątym roku, większość przyjeżdżała z Zachodu. Wysypywali się z tych swoich bmw i wstrzymywali ruch. Gapili się na każdy kamień i na wszystko narzekali, pukali do drzwi, ładowali się do domów, jakby należały do nich. Przyjaciele moich rodziców zostali oskarżeni o posiadanie pościeli, na której rzekomo były wyhaftowane inicjały czyjejś babki.

Przyjął zamówienie w drugim końcu lokalu. W restauracji panował harmider, na ekranie telewizora pojawiały się urywki różnych meczów oglądanych przez trzydziestolatków z zaczątkami mięśnia piwnego. Pod głową rogacza siedziała jakaś para, młodzi ludzie pochyleni nad swoimi komórkami, może porównywali zdjęcia zrobione podczas wędrowki, uśmiechy z górami i urwiskami w tle, może w swoich mediach społecznościowych chwalili się odkryciem prawdziwej perły w centralnej Europie.

Na stole pojawił się stek.

– Czy to miejsce prowadzili wcześniej Niemcy sudeccy? – spytałam.

– Dlaczego pani pyta?

– Po prostu zastanawiam się, czemu na elewacji widnieje napis Gasthaus.

– Tynkowanie kosztuje.

– Czuł pan kiedyś, że nie ma pan do końca prawa do tego miejsca? Że właściwie należy do kogoś innego?

Libor wziął sól i pieprz z sąsiedniego stolika.

– Słyszała pani kiedyś o Lidicach? – spytał.

– Tak...?

– Naziści rozstrzelali tam wszystkich mężczyzn w akcie zemsty po zamachu w Pradze na protektora Rzeszy Reinharda Heydricha, nie mając dowodu na to, że którykolwiek z nich był w to zamieszany. Kobiety i dzieci wywieziono do obozów koncentracyjnych i tam zagazowano, wszystkich z wyjątkiem ośmiorga dzieci, które z powodu czystości rasowej przekazano do adopcji. Potem całe Lidice doszczętnie spalono. Najlepszą rzeczą, jaką mój dziadek od strony ojca mógł zrobić, to przejąć to miejsce.

– Libor gwałtownie wziął karty dań i położył je na stoliku obok, przed parą w średnim wieku, wyglądali na Holendrów, po czym nappełnił ich kieliszki, ale zwrócił się do mnie, zanim poszedł dalej: – A tak w ogóle, to ktoś tu był i o panią pytał. Zaraz po pani wyjeździe.

– Kto?

– Kim jest czy za kogo się podaje?

Libor posłał mi krzywy uśmieszek i wszedł między stoliki, kilka minut później zobaczyłam, jak idzie do recepcji.

Rzucił mi na stolik wizytówkę, równocześnie z niego sprzątając. Odsunęłam talerz z połową steku.

– Tłumacz, tak jest napisane.

„Anton Adámek. Czego chciał? Chodziło o Daniela czy o coś innego, dlaczego nic nie powiedział, gdy zadzwoniłam do niego z pociągu?” – rozważałam w myślach.

– Powiedział, o co chodzi?

– Chciał wiedzieć, dokąd pani pojechała i czy pani wróci. Wygląda na to, że wpadła pani komuś w oko.

W tym, co powiedział, było coś cierpkiego, uszczypliwego. Zacerwieniłam się? Nie wiem, zrobiło mi się trochę gorąco. W zatłoczonej restauracji było duszno i parno. Właściciel zajazdu jakby zmienił do mnie nastawienie. Czy rzeczywiście nie miał wolnych pokoi?

Podziękowałam mu i odwróciłam się w stronę okna. Popijając wino, starałam się skoncentrować na tym, co powinnam zrobić. Powinnam się z kimś skontaktować? Z ambasadą, z adwokatem? I tak była już zbyt późna pora. „Gdzie przebiega granica, gdy trzeba postąpić wbrew woli drugiego człowieka?” – pomyślałam.

Za oknem panowała ciemność, nie widziałam zbyt wiele, jedynie cienie i sylwetki ludzi znajdujących się w restauracji oraz moje własne odbicie. Miałam wrażenie, że coś powinnam zrozumieć, dostrzec jakiś związek. Na rogu ulicy zobaczyłam jakąś postać, ledwie widoczną na tle ściany budynku. Przez chwilę wydawało mi się, że to Anton Adámek tam stoi i mnie obserwuje. Schowałam się za zasłoną. A może to tylko jakiś nastolatek? Kiedy znowu wyjrzałam przez okno, już go tam nie było.

Uświadomiłam sobie, że jestem potwornie zmęczona. Te prawie bezsenne noce, gdy zasypiałam tylko na chwilę, po czym budziłam się z lękiem i gonitwą myśli. Strach sprawiał, że byłam bezbronna. Na dworcu w Dreźnie, gdzie miałam przesiadkę, wydawało mi się nawet, że znowu zobaczyłam tego bezpłciowego mężczyznę z baru w Seehotel.

Przypomniały mi się słowa ogrodnika o tym, jak to jest widzieć rzeczy, które nie istnieją, ludzi powracających z krainy umarłych i krążących po okolicy.

Na przykład chłopca w za dużych trzewikach, z białą opaską na ramieniu, jak biegnie pod górę i skręca w uliczkę, przy której znajduje się księgarnia, jak przez piwniczne okienko wchodzi do tunelu i zostaje tam na zawsze.

Położyłam pieniądze na stoliku.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, zegary w każdej chwili mogły zacząć współzawodnictwo. Nie potrafiłam rozróżnić bicia poszczególnych

zegarów, ratuszowego, tego na kościele protestanckim i na katolickim Niemców sudeckich. Ktoś mi powiedział, chyba Lehmann, że po upadku żelaznej kutyny część bogatych powracających ufundowała renowację swoich zapomnianych kościołów. Ich Bóg miał pilnować umarłych, którzy tu pozostali.

Przez chwilę nie wiedziałam, dokąd mam jechać. Wrócić do winnicy, do tej samotności, z którą musiałabym się tam zmierzyć? Właśnie szłam do auta, gdy przypomniałam sobie o wypitym kieliszku wina. Nie miałam ochoty się dowiadywać, ile promili można mieć w tym kraju, więc weszłam w uliczkę naprzeciwko, ruszyłam śladem spanikowanego dwunastolatka, który skręcił za rogiem i wbiegł w następną uliczkę.

W księgarni było ciemno, lecz w mieszkaniu nad nią paliło się ciepłe światło. Zadzwoiłam pod numer Marthy i zobaczyłam jakieś ruchy za firanką, wyglądało na to, że ktoś u niej jest.

Przeprosiłam, że jej przeszkadzam o tak późnej porze. Martha powiedziała, że nic nie szkodzi, ale była jakaś zdyszana, jakbym rzeczywiście w czymś jej przeszkodziła.

– Jeśli będzie pani jutro w księgarni, to mogłaby pani sprawdzić, czy w którejś z książek albo dokumentów z końca lat trzydziestych i pierwszej połowy lat czterdziestych tam na dole nie pojawia się nazwisko Blau. Chodzi o chłopca, Niemca sudeckiego, nazywał się Ludvík Blau.

– Oczywiście – oznajmiła.

– Mogę zapłacić.

– To chłopiec, którego pani znalazła?

– W czterdziestym piątym miał dwanaście lat. Jego mama mogła mieć na imię Milena.

Pomyślałam, że to dziwne, że los Ludvíka wydaje mi się bardziej czytelny i bliższy aniżeli los Anny Jones i to, co się stało z Danielem. Nie potrafiłam tego zrozumieć, dookoła mnie panował groźny zamęt, lecz tego chłopca cały czas widziałam wyraźnie, tę twarz, nocami, gdy nie mogłam zasnąć, w snach i gdy tak stałam w bocznej uliczce.

Martha zaproponowała, żebym przyszła do księgarni następnego dnia przed południem, miała wtedy tam być.

– Jak się pani czuje? – spytała później.

– Jakoś sobie radzę – odparłam. – Tylko dużo tego wszystkiego.

– Tak myślałam – oznajmiła.

Cisza, ucisk w brzuchu, co myślała?

– Ludzie gadają – dodała z wahaniem. – Jak zwykle, wie pani, jak to jest...

– O czym gadają?

– Przykro mi, ale wypłynęło, że pani mąż został aresztowany w związku z zabójstwem Anny Jones.

– Został zatrzymany – poprawiłam ją. – To nie to samo.

– Proszę wybaczyć, tylko pogarszam sprawę.

– Czy ludzie wierzą, że on to zrobił?

– Ludzie wierzą, w co chcą wierzyć. – Martha chodziła po mieszkaniu i zobaczyłam ją w szparze między zasłonami. Szybko schowałam się w mrok. Człowiek stojący pod czyimś oknem może uruchomić różne myśli, w większości niemiłe. – Pomyślałam, że powinna pani o tym wiedzieć – dodała.

– Dziękuję – powiedziałam. – Teraz już wiem.

– Ludzie chcą chyba poczuć ulgę, chcą się dowiedzieć, że sprawca został zatrzymany i że to był ktoś z zewnątrz, a nie jeden z nas. Nie chcą się bać. Jak tylko wszystko się wyjaśni, zaczną mówić o czymś innym, będą się wstydzić, że nie mieli racji.

– A więc podejrzewa pani, że nie mają racji?

– Do zobaczenia jutro.

Wahałam się, siedząc w aucie z kluczykiem w stacyjce. Wypiłam tylko kieliszek wina i od tego czasu minęła prawie godzina. „Nie bądź taka szwedzka” – pomyślałam, uruchamiając silnik. Zdobyłam się na odwagę, by mimo wszystko pojechać do domu. Wzdrygnęłam się, gdy ktoś zapukał w szybę, pochyliłam się do przodu.

Ciemne włosy, zapach mężczyzny i tytoniu, kiedy opuściłam boczną szybę.

– Tak myślałam, że to pani – oświadczył Anton Adámek. – Wróciła pani dzisiaj?

– Po południu.

– Udany wyjazd?

Silna ręka spoczywała na krawędzi szyby.

– Zdecydowanie – odparłam. – Interesujący. Słyszałam, że pytał pan o mnie w zajeździe. Miałam zamiar zadzwonić do pana jutro.

– To nie będzie pani musiała – stwierdził, wykonując gest w stronę siedzenia pasażera. – O ile oczywiście nie chce pani jechać do domu.

– Spokojnie, możemy chwilę porozmawiać.

W aucie zgasło światło. Nie włączyłam go, gdy wsiadał. Pomyślałam, że to lepiej w kontekście plotek. A może po prostu chciałam posiedzieć w ciemności. Trochę mniej samotna, chroniona.

– Widział się pan z Danielem? – spytałam. – Wie pan, jak się czuje?

– Szczerze mówiąc, niezbyt dobrze.

– Chce mi pan powiedzieć, że na poważnie myślą, że on to zrobił?

– Nie mogę o tym mówić.

– Przepraszam. Jasne. Ale nie wiem, co mam robić, przełączają mnie, gdy dzwonię. Jutro muszę tam iść.

Czułam na sobie jego palący wzrok.

– Może pani poprosić o tłumacza – zasugerował.

– Dzięki.

Zerknęłam na niego, po czym szybko odwróciłam wzrok. Anton Adámek był jakiś niedostępny, rzeczowy, lecz wymykający się, może po prostu szalenie profesjonalny. Wciąż nie powiedział, dlaczego mnie szukał, gdy wyjechałam.

– Jest jedna rzecz... – zaczęłam.

– Tak?

– To pewnie nic ważnego, ale policja poprosiła mnie o rachunek, gdy ostatnio byłam na komisariacie. – Sięgając po torebkę leżącą na tylnym siedzeniu, starałam się go nie dotknąć. Paul przesłał mi w nocy rachunek mejlem, wydrukowałam go w recepcji w Seehotel, zanim się wymeldowałam. Od tamtego czasu cały czas miałam bolesną świadomość, że jest w mojej torebce. – Czy mógłby pan go przekazać osobie prowadzącej śledztwo? Nie wiem, czy to ta sama osoba... – Usłyszałam swój głośny oddech.

– To komisarz Josef Krall.

– To rachunek z hotelu, dowód na to, że tamtej nocy, gdy zamordowano Annę Jones, byłam w Pradze.

– Dlaczego sama im go pani nie da?

Cała ta sytuacja sprawiła, że się zaczerwieniłam, lecz w otaczającej nas ciemności pewnie nie było tego widać. Spojrzałam prosto przed siebie. Na ulicę wijącą się między budynkami, okna, w których wcześniej zagościła noc.

– Na rachunku figuruje inne nazwisko – wyjaśniłam. – Nie chcę, żeby mój mąż się o tym dowiedział.

Anton Adámek przyjrzał się rachunkowi w milczeniu, to trwało tylko kilka sekund, po czym złożył go na pół.

– Nie jest łatwo, gdy się nie zna języka – dodałam. – Więc gdyby pan mógł go dać właściwej osobie i jakoś to wyjaśnić.

Jego uśmiech powiedział trochę za dużo i zrobiło mi się gorąco, zdecydowanie za gorąco.

– Każdy to kiedyś przerabiał – oświadczył.

– Muszę jechać – powiedziałam.

– Naturalnie, nie będę pani dłużej zatrzymywał. – Anton Adámek otworzył drzwi i postawił jedną nogę na ulicy. – Mam nadzieję, że się pani nie boi. To znaczy, spać sama.

– Nie, skąd – skłamałam, bojąc się, do czego mogłaby doprowadzić inna odpowiedź. Dotrzymać pani towarzystwa, tak, za bardzo chciałam, by ktoś dotrzymał mi towarzystwa, przytulił mnie, niczego bardziej w tamtej chwili nie pragnęłam.

– To dobrze – stwierdził z uśmiechem. – Jestem pewien, że nic pani nie grozi.

Objężdżając rynek, nagle poczułam, że chciałabym pojechać zupełnie inną drogą, do innego miasta, do anonimowego hotelu. Przegapiłam zjazd i musiałam zrobić jeszcze jedno kółko. Zobaczyłam komisariat. Gdzieś tam był mój mąż. Równie dobrze mogliby zbudować mur i postawić przy nim strażników, znalazłam się w potrzasku.

Bardzo powoli zbliżałam się do mostu. Nie miałam na liczniku więcej niż trzydzieści, może czterdzieści kilometrów na godzinę, ale nie mam stuprocentowej pewności, ponieważ nie patrzyłam na licznik, na drogę też nie do końca, za dużo działało się wtedy w mojej głowie. Pojawienie się Antona Adámka pod zajazdem, czy mogłam mu ufać? Wrażenie, że widzę i słyszę różne rzeczy, ale nie dostrzegam tego, co istotne. W tym, co właściciel zajazdu powiedział o Adámku: „kim jest czy za kogo się podaje”, było coś enigmatycznego, a może zawinił język? Pomyślałam o tym, co by się stało, gdyby Daniel zobaczył ten rachunek, czy nie powinnam się postawić policji i im go nie dać, poza tym niepokoiło mnie to, co powiedział ogrodnik, albo raczej to, czego nie powiedział, miałam wrażenie, że coś ukrywa. Truchlałam na myśl o powrocie do ciemnego domu. Skąd Anton Adámek mógł mieć pewność, że nic mi nie grozi. Wszystkie te myśli krążyły mi po głowie, gdy nagle zobaczyłam przed maską jakiś ruch.

Gwałtownie skręciłam na pobocze i zatrzymałam auto dokładnie w miejscu, gdzie zaczynała się barierka mostu, serce waliło mi jak oszalałe.

Na środku drogi stał jakiś człowiek, chwiał się.

Podpory mostu były oświetlone, lecz na środku łapały go tylko światła mojego samochodu. Mężczyzna się odwrócił i zrobił krok w bok, podniósł rękę w stronę oślepiających długich świateł. Te same ubrania, co wcześniej tego dnia, workowate spodnie, koszula, która z nich wystawała.

Przełączyłam na światła awaryjne i wysiadłam z samochodu. Kilka razy zawołałam go po imieniu, ale Ján Kahuda nie reagował. A może zareagował. Pogroził mi ręką, jakby chciał, żebym stamtąd zniknęła. W tej samej chwili gdzieś za zakrętem po drugiej stronie zamajaczyły mi światła ciężarówki, przemieszczały się wzdłuż lasu i dawnego browaru, a ja ruszyłam biegiem w stronę Jána Kahudy.

Krzycząc, że musi zejść z drogi, chwyciłam go za ramię i pociągnęłam na bok. Staruszek stawiał opór, był zaskakująco silny. Bełkotał coś, podczas gdy ryk silnika przybierał na sile, coś, że mam go zostawić w spokoju. Potem oślepiły mnie brutalne światła ciężarówki, rozległ się ogłuszający dźwięk klaksonu i pisk hamulców, nie mogąc ocenić drogi hamowania, próbowałam zepchnąć Ján Kahudę z drogi. Most nie był dostatecznie szeroki, kierowca, próbując nas ominąć, mógł uderzyć w barierkę i nawet wpaść do rzeki. Poczulałam woń diesla i palonej gumy, uskoczyłam w bok, ale nie wypuściłam z ręki ubrań staruszka, który stracił równowagę i złapał się barierki.

Ciężarówka się zatrzymała, zaledwie kilka metrów dalej. Kierowca wyjrzał z kabiny i krzyknął coś rozwścieczony, zawołałam przepraszam w kilku językach, po czym próbowałam wydusić z siebie, że wszystko jest w porządku. Zdaje się, że rzucił w naszym kierunku wiązanek przekleństw, potem znowu nacisnął gaz, tylne czerwone światła się zapaliły, odjechał i zniknął.

– Co pan tutaj robi? – spytałam.

Ogrodnik wpatrywał się w płynącą wodę. W odpowiedzi usłyszałam jedynie cichy szum, jego rzeźący oddech. Chwyciłam go za ramię, mówiłam do niego, chciałam, by poszedł ze mną, lecz on stawiał opór.

– Przybiegłem tu z powrotem – powiedział – żeby nikt nie zauważył, co zrobiłem. Krzyczeli i rzucali kamieniami. „No pokaż”, krzyczeli, „pokaż,

kim jesteś”.

Mówił w mrok, do rzeki i wspomnień z tamtego wieczoru bardziej niż do mnie. Jakby czas przestał istnieć i to się stało przed chwilą.

– Rzuciłem kamieniem. Dawali mi do ręki kolejne. Kamień za kamieniem. Dobrze rzucałem. Pamiętam dźwięk strzałów, panikę. Ludzi upadających na siebie. Dostałem do ręki nowy kamień. Ktoś biegał po nie nad rzekę, tak mi się wydaje. Faceci przerzucali ciała przez barierkę. W wodzie nikt się nie ruszał. Płynęli z prądem do miejsca, gdzie rzeka zakręca. Tam jest płycej.

Pokazał palcem w ciemność. Widziałam tylko mrok i połyskującą wodę, ale wiedziałam, że rzeka robi elegancki zakręt tuż poniżej winnicy, opływa naszą działkę. Widziałam ten widok tyle razy.

– Zmusili go.

– Kogo?

– Mój ojciec nie był żadnym kolaborantem, nie współpracował z nazistami. Po prostu robił swoje, pielęgnował rośliny... – wymamrotał Ján Kahuda. – Nie był żadnym grabarzem.

– Zawiozę pana do domu.

Jakoś udało mi się go zapakować do samochodu, chociaż się upierał, że może iść sam. Trudno było stwierdzić, jak bardzo jest pijany. Miał tak charakterystyczną dla alkoholików zdolność do wzięcia się w garść, lecz to, o czym mówił, gdy wolno jechałam wzdłuż brzegu rzeki, gotowa, by się zatrzymać, gdyby musiał zwymiotować, nie do końca trzymało się kupy.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że go zmusili?

– Przyszli o świcie – odparł.

– Kto przyszedł?

– Dalej tam chodził – wymamrotał. – Dzień za dniem. Pielęgnował róże i karmił kota...

Ján Kahuda machnął ręką w kierunku rzeki i uderzył nią w sufit tuż przed tym, nim dotarliśmy do jego domu. Gospodarstwo po drugiej stronie ledwo było widać w ciemności. Przed oczami miałam tych martwych ludzi, którzy utknęli na mieliźnie.

– Nikt nie znał tej ziemi tak jak mój ojciec, znał wszystkie jej tajemnice, które mi przekazał. Powiedział, że im to obiecał, że jeśli pewnego dnia wrócą, to nikt nie będzie mógł posądzić Kahudy o zaniedbanie czy kradzież.

W domu ogrodnika paliło się światło. Ja też wysiadłam z samochodu.

– Aramis – powiedziałam.

Ján Kahuda źle stanął na brukowanej ścieżce i się zachwiał. Wzięłam go pod ramię.

– Karmił kota Acho? W domu seniora powiedzieli mi, że Acho często mówi o kocie i martwi się o niego.

Twarz staruszka pojaśniała, przez upojenie alkoholowe i rozpacz przebiło się jakieś ciepło.

– Przeżył. A potem pojawiał się nowy, co roku, zawsze bursztynowy, można było pomyśleć, że to ten sam kot. Wiele z nich nazwałem „Aramis”.

Ogrodnik zaczął przeszukiwać kieszenie. „A więc to dlatego kot za nim chodzi” – pomyślałam. „Sądzi, że staruszek przyszedł go nakarmić”. Nie znalazł kluczy, więc musiałam wrócić do samochodu i poświecić wokół niego komórką, leżały w trawie, tam gdzie wysiadał. Następnie długo stał i próbował otworzyć drzwi, lecz ciągle wkładał do dziurki zły klucz, trzęsły mu się ręce.

– Kto przyszedł o świcie?

Ogrodnik upuścił klucze. Podniosłam je i przez chwilę trzymałam w dłoni, czekając na odpowiedź.

– Ojciec myślał, że śpię – oznajmił w końcu.

Ján Kahuda nie wiedział, ilu mężczyzn weszło tego ranka do domu. Słyszał, jak dobijają się do drzwi, słyszał ojca, który wstał, by im otworzyć, te wszystkie głosy.

Ważni ludzie, kilku elegancko ubranych, byli też wśród nich żołnierze i milicjanci, gdy odważył się uchylić drzwi, rozpoznał kilku mężczyzn z mostu.

Przyszli po szpadle, lecz nie tylko. Nazwali ojca przyjacielem Niemców i powiedzieli, co z takimi robią, miał otworzyć komórkę i dać im narzędzia, wzięli go ze sobą nad rzekę.

Tam kazali mu kopać.

– Po powrocie do domu, wiele godzin później, ojciec nie wspomniał o tym ani słowem. Nie przyznałem się, że rano podglądałem przez szparę w drzwiach. Zachowywał się tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło, a mimo to w domu wciąż były obecne głosy tych mężczyzn, szuranie butów.

Jánowi Kahudzie w końcu udało się przekręcić klucz i wycharczał coś niewyraźnie, chyba „do widzenia”, po czym wszedł do domu.
To ja zamknęłam za nim drzwi.

To była dużo ciemniejsza noc niż czerwcowe noce w Szwecji, nie miała nic z tej eteryczności i magii, tego niecierpliwego światła, które kojarzyłam z letnim przesileniem.

Podjechałam pod same drzwi, ostrożnie, na wypadek gdyby kotka nagle się pojawiła. Nie wyjęłam kluczyka ze stacyjki i nie wyłączyłam światła, dopóki nie otworzyłam drzwi i nie włączyłam światła.

Następnie poszłam do samochodu, wyjęłam kluczyk ze stacyjki, po czym wróciłam do domu i zamknęłam się od środka.

Strach przed ciemnością jest też lękiem przed swoim własnym strachem. Twarz za oknem, cień za firanką pod prysznicem, myśl, która przeraża bardziej niż to, co może się stać. Przyniosłam materac z pokoju na parterze, wciągnęłam go po schodach na górę razem z pościelą. Pościeliłam w pokoju, który miał być naszą sypialnią, do którego nikt nie mógł zajrzeć przez okno.

Tłumacz powiedział, że nic mi nie grozi, otuliłam się tymi słowami. Wdychałam słaby zapach naturalnych farb malarskich, oleju lnianego. Czy powiedziałby to, on, który brał udział w przesłuchaniach i tym samym musiał mieć pewien wgląd w sprawę, gdyby rzeczywiście istniało jakieś niebezpieczeństwo?

I następna myśl, gorsza i całkowicie zakazana: jeśli już złapali winnego, jeśli to wszystko jest prawdą, to rzeczywiście nic mi nie grozi i nie wiem, czy mnie to uspokaja, czy przeraża.

Przyniosłam też butelkę wina. Kilka ciasteczek owsianych i opakowanie szynki w plasterkach, przeterminowanej tylko o jeden dzień. Zapomniałam wziąć kieliszek, ale nie miałam ochoty jeszcze raz schodzić na dół.

Potem siedziałam na materacu, oparta o ścianę jak nastolatka i piłam wino prosto z butelki, jedno z tych zakupionych w drodze do Pragi, jedno z wybornych müller-thurgau. Piłam, by dodać sobie odwagi i się znieczulić, i myślałam o tym, co najlepiej odwraca uwagę. To mógłby być Paul, lecz moje myśli podejrzenie ześlizgnęły się na Antona Adámka. W samochodzie. Żadnych emocji. Mechaniczny, zwierzęcy seks. Gdyby nie

wysiadł i gdybym zawiozła nas w ciemniejsze miejsce. Cokolwiek, byle tylko nie myśleć. Byłam sama, byłam do niczego i nikt mnie nie widział, szybko ululałam się winem i zasnęłam.

Obudził mnie świt lub sen. Znowu pojawiła się moja siostra. Miała sześć albo siedem lat i biegła po działce, zorganizowaliśmy imprezę w ogrodzie, byli nasi przyjaciele, nasze dorosłe dzieci, krewni. Sen nie był w żaden sposób straszny, a mimo to obudziłam się spanikowana. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiałam, gdzie jestem. Zobaczyłam prawie pustą butelkę, pod kołdrą znalazłam telefon. Za kwadrans piąta. Nie pamiętałam, kiedy zasnęłam. Gdyby nie moja siostra, która zapewne pojawiła się w głębszej fazie snu, fazie marzeń sennych, pomyślałabym, że to był raczej półsen, gdzieś na granicy świadomości.

W pokoju zaczęło się lekko rozjaśniać.

Podeszłam do okna. Dostrzegłam rzekę spowitą mgłą, jej opary unosiły się gęsto nad ziemią.

Acho mówił o rzece, o lipie. Z żadnego innego pokoju nie rozpościerał się tak szeroki widok. Wiedziałam od personelu, że zazwyczaj wstaje o świcie. Jest wtedy bardziej niespokojny i jednocześnie bardziej przytomny. Miałam wrażenie, że tak samo było ze mną, chociaż po północy wypijałam sporo wina. Jakby obrazy się wyostrzyły, poszczególne fragmenty łączyły się w całość.

Po raz pierwszy od bardzo dawna przywołałam tę część mnie, o której myślałam, że mnie opuściła i której nigdy nie lubiłam, a która kiedyś sporządzała plany i listy, wpisywała w nie godziny i ludzi, i nie było tam miejsca na żadne znaki zapytania czy puste pola.

Oś czasu to noc, kiedy Ludvík schronił się w tunelu. To ta sama noc, gdy Acho uciekł z mostu, a jego matka zamurowała drzwi w piwnicy, tym samym odcinając Ludvíkowi drogę ucieczki.

Kiedy cichnie wołanie?

Czy Ludvík już się poddał, przestał wierzyć, że ktoś go uratuje, czy trwa to trochę dłużej, dźwięk wędruje przewodami kominowymi i różnymi zagłębieniami, tak że człowiek nie jest pewny, skąd pochodzi, czy Julia też to słyszy? Czy słyszy wołanie, gdy kładzie ostatnią cegłę?

Za oknem trochę się rozjaśnia. Pajęczyna mieni się w pierwszych promieniach słońca. Za mgłą rzeka wykonuje swój nagły skręt. Co się dzieje z taką liczbą ciał, które zatrzymują się wśród kamieni i trzciny, gdy woda staje się płytsza, spiętrzają się jedno na drugim?

Myślę o listach zaginionych i o tym, ilu z nich mogło pracować w browarze. Nieomal czuję woń palonego słodu i chmielu. Wśród nich Milena, matka Ludvíka.

Jaka to może być odległość; od miejsca po drugiej stronie rzeki, gdzie o świcie wraz z innymi zmarłymi zostaje pochowana Milena, w głąb ziemi, do tunelu, w którym w końcu chroni się chłopiec? Może wszystko dzieje się szybko, jeśli dym palącej się księgarni wciska się w tunele, lecz jeszcze nie przestał wołać.

Żywi niosą umarłych. Świta, i Acho stoi w oknie, widzi ciała płynące z prądem rzeki, widzi, jak są wyjmowane z wody, niesione w górę zbocza po drugiej stronie.

Niebawem do drzwi ogrodnika zaczną się dobijać mężczyźni. Kaza mu wziąć szpadel i kopać groby, a jego syn, który ukryje się w domu, będzie wszystko obserwował przez okno.

Cienie poruszające się w lekkiej mgłę. To stamtąd moja siostra wybiegała we śnie, z rzeki, jakby chciała mi coś powiedzieć. Wybiegła z podświadomości, uciekła od umarłych.

Ranek nastał na dobre, z fantastyczną pogodą, rażącym słońcem. Przełknęłam dwie tabletki przeciwbólowe, kawę i kawałek tostowego chleba, który znalazłam w zamrażarce.

O dziewiątej trzydzieści siedem dostałam wiadomość od Antona Adámka. Sędzia zdecydował o areszcie dla Daniela. Policja chciała się ze mną spotkać o piętnastej i jeszcze raz mnie przesłuchać. Anton miał się tam pojawić jako tłumacz.

Słyszałam, że istnieją dwie reakcje na silny stres i panikę: ucieczka lub walka. Podobno odziedziczyliśmy je po naszych praprzodkach, którzy napotykając na swej drodze drapieżnika, musieli zareagować jednym z tych zachowań. Błyskawiczna reakcja, różna w zależności od człowieka. Większość osób jest zdolna do jednej i drugiej.

Trochę za szybko przejechałam między słupami bramy, odjechałam z miejsca, gdzie planowałam postawić pomalowaną na niebiesko ławkę.

Przejechałam przez most, minęłam zajazd i zaparkowałam przy rynku. Ruszyłam w kierunku ciężkich drzwi pod zegarową wieżą, nienawidząc samej siebie za to, że od razu tego nie załatwiłam. Miałam przecucie albo raczej pewność, że niewiele wskóram.

Może blada kobieta w sekretariacie zrozumiała, że nie dam za wygraną, a nawet mogę zrobić awanturę, bo gdzieś zadzwoniła i wskazała mi pokój

w głębi korytarza. Tam spotkał się ze mną otyły mężczyzna. Brzuch wylewał mu się ze spodni, które zjechały nieco w dół. Nazywał się Petr Vojtěk i był asystentem technicznym. Niedbałą angielszczyzną poprosił mnie, bym usiadła w tej klitce, która była jego biurem, i miłym głosem oznajmił, że nie bardzo rozumie, z czym przychodzę.

– Chodzi o umowę sprzedaży nieruchomości – oświadczyłam i wyjaśniłam, że dokumenty powinniśmy dostać już dawno temu.

– Przykro mi – powiedział. – To nie mój dział.

– Skierowano mnie tutaj.

– Wszystkich tutaj kierują, tylko dlatego, że mówię po angielsku. Turystów, którzy się zgubili, poszukiwaczy szczęścia, którzy myślą, że znajdą w górach złoto albo uran, i chcą się dowiedzieć, komu dać łapówkę, by wskazał im miejsce, big money... – Poruszał rękami jak cheerleaderka.

– Pana angielski jest naprawdę dobry – pochwaliłam go i uśmiechałam się, dopóki jego policzki trochę się nie zaczerwieniły.

– Mój ojciec lubił Beatlesów. John Lennon i Paul McCartney nauczyli go angielskiego, nie rozmawiał ze mną o niczym innym, odkąd skończyłem pięć lat. Cały świat niedługo będzie mówił po angielsku and the whole world will be one.

– To co to za dział, w którym pan pracuje?

– Techniczny. IT. Internet szerokopasmowy. Umowy, badania techniczne i takie tam.

– A więc gdybym chciała się podłączyć do szerokopasmowego Internetu...

Pojaśniał na twarzy.

– To mogłaby się pani zwrócić do mnie, zdecydowanie. A ja pokierowałbym panią dalej. – Jego palce zaczęły tańczyć na klawiaturze, przekręcił monitor. – Działa tutaj kilku operatorów, więc jeśli poda mi pani swoje dane, adres, numer działki i takie tam, to mógłbym pomóc pani znaleźć rozwiązanie...

– Właśnie na tym polega problem, że papiery ze wszystkimi informacjami dotyczącymi nieruchomości gdzieś utknęły.

Petr Vojtěk jęknął i uniół ręce do góry w geście, który sugerował, że wszyscy są idiotami.

– Niektóre działają... żyją w innej epoce. Nie pojmuję, że te dokumenty nie są w wersji elektronicznej.

– I rezultat jest taki, że nie mogę założyć sobie Internetu...

Wyglądał na zmartwionego. Po chwili wstał zaskakująco lekko, spytał mnie o adres i poprosił, żebym chwilę poczekała. Wychodząc z pokoju, nucił I need somebody, help, not just anybody, he-e-e-elp... Zobaczyłam głęboki rowek między jego pośladkami, ale głos miał ładny.

Minęło prawie dwadzieścia minut, potem znowu go usłyszałam. Miałam nadzieję, że dokumenty wylądują przede mną na biurku, lecz Petr Vojtěk usiadł z pustymi rękami przed komputerem, jego palce zaczęły pracować.

– Nic pan nie znalazł? – zdziwiłam się.

– Obawiam się, że mam złe wieści. Gdyby pani powiedziała, że to po drugiej stronie rzeki... Za daleko, za drogo, żadnych innych domów, pozostaje łącze radiowe. Wydrukuję pani listę tych, którzy oferują duży limit transferu danych i dobrą prędkość w dobrej cenie.

– A dokumenty?

– Ksero jest strasznie wolne, ale zeskanowałam to, co było. Proszę mi podać adres mejlowy, to zaraz je pani wyślę. – Wskazał palcem komórkę, a ja weszłam na moje konto. Mejl dotarł po sekundzie.

Trzy załączniki.

– Nie sądzę, żeby musiała się pani martwić – oświadczył, obserwując mnie znad monitora. – To nie musi oznaczać problemów.

– Jakich problemów?

Koszula naciągnęła mu się na brzuchu, gdy pochylił się do przodu. Dlaczego odnotowywałam tylko rzeczy związane z jego wagą? Równie dobrze mogłam wspomnieć o jego bystrych i niesamowicie niebieskich oczach.

To, co mi wysłał, było pierwotnym wpisem nieruchomości do księgi wieczystej obowiązującej przed 1945 rokiem. Nie pokazali nam go. Otworzyłam dokument, był po niemiecku, zobaczyłam nazwisko Heller i się wzdrygnęłam, Johann Heller stał się jakiś bardziej rzeczywisty. Znajdował się tam również akt darowizny, który musieli podpisać dawni właściciele, na zawsze zrzekając się swojej własności, sporządzony ozdobnym charakterem pisma, podpisany przez Julię Heller.

– Jak już wspominałem, to nie moja działka. Może tak to wyglądało, hell yeah, przecież była wojna. I tylko dlatego, że ktoś się z tym nie zgadza, to wcale nie musi mieć racji. Większość ludzi mimo wszystko się myli, zwłaszcza gdy idzie na wojnę z urzędami.

Zaśmiał się ze swojego żartu.

– Chwileczkę – powiedziałam. – Czy ktoś formalnie sprzeciwił się temu, żebyśmy kupili winnicę?

– Coś w ten deseń. Sprzedaż opiera się na niejasnych podstawach, warunki własności mogą zostać zakwestionowane. Oficjalne pisma, kłopoty, pokaźny plik. Nie zeskanowałem tego, musiałbym tam stać do końca świata.

– Ale czytał je pan?

Uśmiechnął się.

– Prawniczy bełkot, nie moja działka, ale co nieco zrozumiałem. – Spojrzał na mnie badawczo tymi swoimi niebieskimi oczami. – Nie wiedziała pani o tym?

A więc Anna Jones naprawdę to zrobiła, zadała sobie trud i napisała oficjalne pismo do miasta, a równocześnie piła ze mną wino w zajeździe. Zaoferowała nam pomoc prawną. Wiedziała, kim jestem, zanim się sobie przedstawiłyśmy. Zapytała o kółko i kropki w nazwisku Åström, bo już je widziała na piśmie. „Co za żmija – pomyślałam – co za śliski człowiek”.

– Nie – odparłam. – Nie wiedziałam.

– Chodziło o jakieś podpisy, jak już wspomniałem, z czymś takim mogłaby pewnie walnąć pięścią w stół w instytucjach Unii Europejskiej, ale tutaj... Nie sądzę.

– Dostała jakąś odpowiedź?

– Hmm, odmowę, powołano się na dekret prezydenta z czterdziestego piątego roku. Już na początku maja. Potem wpłynęło jeszcze kilka pism, she didn't take no for an answer.

Petr Vojtěk znowu wstał z krzesła i wyszedł z pokoju. Szybko wrócił z kartką w rękę, listą operatorów, do których mogłam się zwrócić.

– A co z tymi podpisami? – spytałam.

– Miały być dowodem w sprawie, między innymi. Nie przeczytałem wszystkiego, ale puenta jest taka, że żona nie mogła podpisać tego dokumentu, jeśli mąż, który nie został uznany za zmarłego, był jedynym właścicielem. Jak dla mnie to prawniczy bełkot w obu językach i poza tym ancient history, yesterday...

Jego głos brzmiał obojętnie, ale coś mi mówiło, że on wcale nie jest obojętny. Mówił o Annie Jones w czasie przeszłym, być może świadomie nie używał jej nazwiska. „On wie” – pomyślałam.

– Poznał ją pan? – spytałam.

– Kogo?

– Tę kobietę, która słała pisma, protestowała. Annę Jones. Mówiła po angielsku, ją również tutaj skierowano?

– Powiedziałem, że to nie mój dział.

Monitor komputera oświetlił jego twarz, gdy zaczął coś na nim robić.

– Sorry, mam pilne sprawy, working like a dog...

Na rynku pojawiły się stragany z pomidorami i ogórkami, słoiki z miodem. Musiałam między nimi lawirować, bo przez przypadek zaparkowałam na środku targowiska. Próbując jakoś wyjechać, nie mogłam nie zwrócić uwagi na średniowieczne kamieniczki. Jakie są ze sobą zrośnięte, ratusz i komisariat policji połączone arkadą niczym wspólną żyłą, wiekami żyły w symbiozie jak bliźnięta syjamskie.

Policja oczywiście miała dostęp do tych dokumentów. Wiedzieli, że Anna Jones zagraża naszej egzystencji. Miałam przed oczami, jak powiewają w czyjejs dłoni na sali rozpraw, Daniel Åström miał motyw, nadarzyła się okazja, był agresywny, ponadto mieli świadka.

Jego odciski palców na kilofie, o tym zapomniałam.

Zatrzymałam się na poboczu zaraz po wyjechaniu z rynku i oddaleniu się od ludzi.

Strach chwycił mnie za gardło, ileż to razy odganiałam najgorsze myśli? Czy nie tak właśnie się robi?

Nie mógłby, myślimy. Nie on, przekonujemy samych siebie, bo jak inaczej moglibyśmy komuś zaufać, kochać go, zrobić sobie z nim dzieci? Nikt nie zna drugiego człowieka, wiemy tylko tyle, ile do tej pory pokazał. Ale co z tym, co jest ukryte? Daniel, którego znałam, nie był do tego zdolny, ale Daniel, którym się stał? Skąd możemy wiedzieć, do czego jest zdolny drugi człowiek, kiedy zmieniają się okoliczności, gdy coś w nim pęka.

Zatrzymałam się niedaleko starego cmentarza. Musiałam zebrać myśli, odetchnąć świeżym powietrzem, więc weszłam w osobliwą ciszę. Zielone sklepienie poza czasem. Może moje stopy pamiętały, bo prawie natychmiast znalazłam nagrobek. Prosty, pęknięty na pół, jedno nazwisko. Walter Blau, urodzony w 1912 roku, zmarł w 1944 roku.

Rodzina wreszcie była w komplecie. Ojciec, który zginął pod koniec wojny, matka zrzucona z mostu, może trafił ją kamień albo strzał, no i chłopiec, który w końcu spoczął na cmentarzu, nie dalej niż trzydzieści metrów od swojego ojca.

Jedna osoba zginęła w czasie wojny, dwie w czasie pokoju. Pomyślałam o zemście i odwecie, kręgu zła i śmierci, który jeszcze się nie zamknął, o tych, których pochowano bez pogrzebu, o prawdzie, która miała umrzeć razem z nimi, pomyślałam o niedawno wykopanym grobie i o tym, jak szybko porośnie go trawa. I wtedy mnie tknęło.

Kilof.

Co się robi czymś takim? Łapie się za niego, by bronić swojej własności, wysportowany Daniel przeciwko eleganckiej kobiecie o głowę niższej od niego? A może kopie się nim w twardej ziemi, spulchnia się ją, by potem wbić w nią szpadel? Jeśli nie ma się zbyt dużo siły, a widziało się go w szpie. Samochodu nie było. Dom mógł być pusty.

Anna Jones pojawiła się tam, by coś wykopać.

Pod lipą, słowik, jak to dalej szło?

Pod lipą, we wrzosie miejsce wytchnienia.

Wracając szybko do samochodu, potknęłam się o fragment starego krzyża. Wybrałam drogę biegnącą obrzeżami miasta i podjechałam pod dom ogrodnika z drugiej strony.

Zanim zapukałam, zrobiłam kilka głębokich wdechów, przygotowana na zapachy najgorszego stadium kaca. Wiedziałam, że alkoholik może zrobić pod siebie, nie zdążywszy do toalety, zarzygać miejsce, w którym leży, i znowu zasnąć.

Nikt mi nie otworzył, kompletna cisza. Zapukałam mocniej, znowu nic. Nacisnęłam klamkę, drzwi nie były zamknięte na klucz. Najpierw mnie to zaniepokoiło. Przecież widziałam, jak poprzedniego wieczoru nie mógł trafić kluczem do zamka, zazwyczaj zamykał drzwi na klucz, gdy wychodził.

Potem sobie przypomniałam, że to ja zamknęłam za nim drzwi, on tylko się wtoczył do środka. Pewnie wciąż spał, otumaniony.

Ostrożnie otworzyłam drzwi, zawołałam go po imieniu. Poczułam słabą woń odchodów, zakryłam nos i oddychałam przez usta. W kuchni było pusto. Butelka na blacie, brudne naczynia, nie miał siły posprzątać. Salon znajdował się obok kuchni, tam też go nie było.

Miałam obiekcje, żeby wejść do jego sypialni, najbardziej prywatnej przestrzeni. Zapukałam kilka razy, zanim popchnęłam drzwi. Oślepiło mnie słońce. Panowała tam dziwna cisza. Staruszek sturlał się na podłogę, a może po prostu na niej zasnął, leżał na brzuchu, więc nie

widziałam jego twarzy. Smród był koszmarny, zobaczyłam plamę z tyłu spodni i na jednej z nogawek, zdradzała wszystko.

– Ján – powiedziałam głośno. – Halo, obudź się! – Czekałam na jakieś kasznięcie, jakiś ruch, kilka razy powtórzyłam jego imię. Podeszłam bliżej, na tyle blisko, by się pochylić i lekko potrząsnąć go za ramię. – Ján, proszę, obudź się.

Wiedziałam, jak ciężkie i bezwładne może być ciało człowieka zalanego do nieprzytomności. Ciało Jána było ciężkie, lecz jednocześnie sztywne, poczułam to, gdy chwyciłam go za ramię, próbując go odwrócić. Z ust nie śmierdziało mu alkoholem, chociaż były otwarte, a ja pochyliłam się nisko. Miał zamknięte oczy, skórę całkowicie zimną. Dotknęłam jego nadgarstka, położyłam palce na tętnicy szyjnej.

Nic.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że siedzę w aucie. Przekręcam kluczyk w stacyjce, gotowa stamtąd odjechać. Czy wychodząc stamtąd tyłem, naprawdę się potknęłam? Miałam taki obraz przed oczami, jak upadam na jego ciało, ale z perspektywy czasu nie sędzę, żeby tak naprawdę było.

Znowu wyłączyłam silnik. Co ja sobie myślałam, że kim jestem? Zmarł starszy mężczyzna, zaledwie kilka godzin po tym, jak odwiozłam go do domu. Zostawiłam go, chociaż wiedziałam, że jest mocno pijany.

Właśnie robiłam to, co w takiej sytuacji należy zrobić, wybierałam numer alarmowy. „Numer w telefonie – jeden, jeden, dwa, nawet już przedszkolak bardzo dobrze zna”, w głowie dźwięczała mi ta irytująca rymowanka, podczas gdy próbowałam znaleźć wyjaśnienie dla tego, co się stało, przeklęta rymowanka, to wcale nie było łatwe.

Ján Kahuda miał zeznawać przeciwko mojemu mężowi. Żona oskarżonego nie powinna nachodzić świadka. Czy to jest w ogóle dozwolone?

Dom ogrodnika stał na uboczu, ale nie na odludziu. Zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej mieszkali ludzie. Widziałam jakiegoś mężczyznę, który wyszedł z psem na spacer, minęłam kobietę z bliźniętami w wózku, skinęła mi głową i pomachała, jak mogłam w ogóle myśleć o ucieczce?

W mojej komórce był jeszcze jeden numer. Zapisany dwie pozycje dalej. Anton Adámek odebrał po dwóch sygnałach.

– Niech pani niczego nie rusza – powiedział. – Proszę poczekać na zewnątrz, zaraz tam będę.

Opuściłam szybę po obu stronach, by powietrze mogło swobodnie cyrkulować, gdy będę czekać. Życie toczyło się dalej w zaskakujący sposób. Słyszałam krzyki dzieci i ptaków, wciągałam w płuca zapach żywopłotu z dzikiej róży, zapach dzieciństwa. Miałam przed sobą zadziwiająco spokojny widok, czas jakby zatrzymał się tutaj w miejscu.

Zapił się na śmierć. Udusił się własnymi wymiocinami albo zastrajkowały organy wewnętrzne, serce, wątroba lub trzustka, staruszek był tak długo i poważnie uzależniony od alkoholu, że mógł umrzeć na wszystko.

„Ale żeby właśnie dzisiejszej nocy?” – pomyślałam.

Wiedziałam, że Ján Kahuda nie powiedział policji wszystkiego. Dlatego tam pojechałam, by go spytać, co tak naprawdę widział, co się kryło za jego niejasnym opisem. Nie wiem, dlaczego byłam tego taka pewna, po prostu to wiedziałam. Wymijające odpowiedzi i półprawdy były mi aż nadto znane. Alkohol – coś, o czym nikt nie mógł się dowiedzieć. Nawet nosiłam imię po kimś, o kim się nie rozmawiało.

Bmw wjechało ze zbyt dużą prędkością i gwałtownie zahamowało w połowie działki, wyrwało kawałek wypielegnowanego trawnika.

Anton Adámek wysiadł i zerknął w kierunku domu. Podeszłam do niego od tyłu.

– Piękny ogród – stwierdził. – Co za tragedia.

– Dzwonił pan na policję?

– Wolałem to najpierw zobaczyć na własne oczy, żeby wiedzieć, o czym mówię.

– Dziękuję, że pan przyjechał.

Zatrzymał rękę na klamce.

– Mówiła pani, że drzwi były otwarte?

– Były zamknięte, ale nie na klucz.

Trochę się zdziwiłam, że tłumacz dotknął klamki gołą ręką, lecz nie miałam siły się tym martwić. Nie chciał, żebym weszła razem z nim. Poczulałam się strasznie zmęczona i usiadłam w aucie na miejscu pasażera, drzwi zostawiłam otwarte.

Prawie zasnęłam. Ocknęłam się, gdy opadła mi głowa.

Anton Adámek wyszedł na schodki, zobaczyłam, jak rozmawia przez telefon. Mogło minąć kilka minut albo kwadrans.

– Będą chcieli wiedzieć, co pani tutaj robiła – oznajmił, gdy spotkaliśmy się na trawniku. Wyczułam, że jest spięty i jednocześnie nienaturalnie spokojny. Niektórzy ludzie tak reagują, racjonalnie i zadaniowo. W tej teorii o reakcji na zagrożenie nie wspomniano, że oprócz ucieczki i walki istnieje jeszcze trzecia możliwość.

– Chciałam sprawdzić, jak się czuje – odparłam. – Wczoraj wieczorem był mocno pijany.

– Spytają, dlaczego odwiozła go pani do domu. Co panią łączyło ze zmarłym.

– Zatrudniłam go do pomocy w ogrodzie. W pewnym stopniu czułam się za niego odpowiedzialna po tym, jak na moście mało nie przejechała go ciężarówka.

– Będą chcieli wiedzieć, co staruszek robił na moście o tej godzinie.

– Był zalany w trupa. Uratowałam mu życie. Mało nie przejechała go ciężarówka.

Jakbyśmy powtarzali jakąś sztukę, wypowiadali swoje kwestie. Porozumienie, prawie jak taniec, w którym on prowadził, a ja podążałam za nim, wykonując z góry ustalone kroki.

– Był przygnębiony, wzburzony, o czym rozmawialiście?

– O niczym konkretnym – odparłam, a w mojej głowie kołatało się pytanie: „był przygnębiony czy raczej zdesperowany?”. – Głównie bełkotał bez ładu i składu.

Nie wspomniałam o tym, co dawno temu wydarzyło się na moście, że przyszli po jego ojca. Nie wiem dlaczego, po prostu czułam, że to jeszcze bardziej skomplikuje sprawę.

– Odniosła pani wrażenie, że chciał sobie odebrać życie?

– Gdyby tak było, to nie zostawiłabym go samego.

Przyjechali dwoma cywilnymi samochodami. Trzech mężczyzn, nie rozpoznałam żadnego z nich, nie mieli na sobie mundurów. Jeden przedstawił się jako lekarz. Tłumacz zaprowadził ich do środka, po czym znowu wyszedł na zewnątrz. Miał ten spokój, którego mi brakowało. Czekaliśmy w milczeniu. Anton Adámek nie wspomniał o zeznaniach świadków, chociaż musiał już wtedy coś na ten temat wiedzieć.

Tylko ten spokój. Czy to w ogóle było normalne, czy na czyjąś nagłą śmierć można w ogóle tak reagować? Zaczęło mnie to niepokoić. Nie rozumiałam go. Nie wiedziałam, kim jest albo za kogo się podaje.

Kiedy policjanci i lekarz w końcu wyszli, z trudem mówiłam, ledwo mogłam sobie przypomnieć, co zamierzałam im powiedzieć. Gadałam od rzeczy, mieszały mi się godziny. Było coś ojcowskiego w ich sposobie zwracania się do mnie, jakaś troska. Anton Adámek tłumaczył moje słowa, zanim zdążyłam je wypowiedzieć.

„Nie słucha mnie” – pomyślałam. „Mówi to, co powiedziałam mu wcześniej”.

Jeden z policjantów notował, kiwając głową.

– A więc odniosła pani wrażenie, że Ján Kahuda był w nocy na moście, żeby popełnić samobójstwo? – W ustach Antona Adámka zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Nie, nie wiem – zaprotestowałam. – Może po prostu był pijany.

Kiedy człowiek żyje przez jakiś czas otoczony obcym językiem, dzieje się coś przedziwnego. Nawet jeśli nie rozumie poszczególnych słów, to wyczuwa niuanse. Pojedyncze słowa, potwierdzenia i zaprzeczenia, wznoszącą się i opadającą melodię. Odniosłam wrażenie, że Anton Adámek odpowiedział „tak” na pytanie, na które ja odpowiedziałam „nie”.

– Czy lekarz może stwierdzić, co było bezpośrednią przyczyną zgonu? – spytałam.

Anton przetłumaczył moje pytanie. Spojrzeli na siebie, potem w prawo i w lewo, i znowu na siebie, zamienili kilka słów.

– Nie potrzeba lekarza, by to stwierdzić – oznajmił Anton Adámek, gdy w końcu najwyraźniej postanowili mnie wtajemniczyć. – Nie widziała pani listu na nocnym stoliku?

– Jakiego listu?

Anton Adámek położył rękę na moim ramieniu, delikatnie wziął mnie na bok, ściszył głos.

– Ján Kahuda popełnił samobójstwo. Oczywiście nie mogła pani przeczytać tego, co tam było napisane, ale sądziłem, że się pani domyśliła.

Musiałam sobie przypomnieć, co widziałam. Mężczyznę na podłodze, rozwalone łóżko, zwróciłam uwagę na zasłony, nie były zaciągnięte. Na ławie stała lampa, być może leżała na niej książka, ale czy kartka?

Poczułam ciężki zapach róż, zbyt intensywny, duszący, jak rozlane perfumy. Ręka na moim ramieniu wbijała mnie w ziemię, mocno mnie trzymała.

– Nie wiem, czy widziałam jakiś list.

– Na pewno pani widziała – powiedział. – Była pani w szoku, nie myślała pani o tym.

Zobaczyłam przed sobą pająka wiszącego na pajęczynie w narożniku okna, a może tylko wydawało mi się, że tka swoją sieć. Przypomniało mi się to, co insynuował właściciel zajazdu, o pisaniu historii na nowo, o nazywaniu zabójstwa wypadkiem.

Odepchnęłam rękę tłumacza. O ile naprawdę był tłumaczem.

Właściwie jak długo Anton Adámek był w środku, zanim zadzwonił na policję? Czy to w ogóle byli policjanci? A może to ci sami cywile, którzy weszli do pokoju Anny Jones i zatarli wszystkie ślady?

Zerknęłam na profil mężczyzny, który wcześniej wydał mi się taki pociągający. Na tego, który nagle się pojawiał i wchodził wszędzie, na policję, do zajazdu, do mojego samochodu i teraz do domu Jána Kahudy, wypytywał o mnie, gdy wyjechałam. Libor coś podejrzewał, to dlatego coś insynuował, nauczył się, jak przeżyć w każdej sytuacji.

Skoro morderstwo można nazwać wypadkiem, to dlaczego nie samobójstwem? Moje myśli gwałtownie przyspieszyły. Co właściwie zobaczył Ján Kahuda, co ukrywał? Przypomniały mi się słowa Daniela, który powiedział, że ktoś tutaj kłamie w tej sprawie.

– Muszę skorzystać z toalety – oznajmiłam.

– Proszę skorzystać z tej tutaj – zasugerował Anton Adámek. – To przecież nie jest miejsce zbrodni. A nawet jeśli, to pani odciski palców i tak już tu są.

Usłyszałam takie słowa jak „odciski palców”, „miejsce zbrodni” – cicha groźba w podtekście.

– Jeśli to wszystko, to chyba mogę już jechać do domu – oświadczyłam i zaczęłam iść w stronę auta. – Nie dam rady jeszcze raz tam wejść.

Anton Adámek wolno ruszył za mną.

– Proszę zadzwonić, jeśli będę potrzebna – powiedziałam głośno po angielsku, mijając pozostałych mężczyzn przy schodach. Stali, palili i gawędzili o tym i o owym, wskazywały na to ich ton, zrelaksowana postawa i ściszone śmiechy. Zamachałam telefonem i poinformowałam, że tłumacz ma mój numer, wskazałam na niego palcem. Cholera, miał mój numer.

Anton Adámek został, lecz nie odrywał ode mnie wzroku. Nie protestował, gdy wsiadałam do samochodu. Wycofałam, skręciłam

i trochę za mocno nacisnęłam gaz. „To wcale nie wygląda, jakbym uciekała” – przekonywałam w myślach samą siebie. „Po prostu strasznie chce mi się siku”.

Nie mogłam sobie wyobrazić lepszego miejsca. Sam zapach druku, papieru i kurzu kojarzył mi się z poczuciem bezpieczeństwa, biblioteką, w której pracowała moja mama, długimi wieczorami, które tam z nią spędzałam, bo nie miał się kto mną zająć.

Osoba, która rozpromieniała się na mój widok i traktowała mnie, jakby wszystko było normalnie, ktoś, kto stał mi się bardzo bliski.

– No nareszcie – powiedziała Martha. – Miałśmy się spotkać przed południem.

– Przepraszam, kompletnie o tym zapomniałam.

Opadłam na taboret, ściskając w rękach torbę i kurtkę, miałam wrażenie, że dłużej nie ustoję na nogach. Może dygotałam, tak się przynajmniej czułam w środku.

– Co się stało?

Przełykałam ślinę, oddychałam? Tak, pewnie tak, człowiek robi to przez cały czas, rozważałam, czy powiedzieć jej wszystko. Uwielbiałam książki. Nawet je wielbiłam. Dorastałam ze świadomością, że nie można zaginać kartek na rogach, książki były świętością, nie wolno było ich niszczyć. Miałam ochotę krzyknąć „azyl” jak banici przekraczający próg katedry Notre Dame.

– Właśnie się dowiedziałam, że ktoś znajomy popełnił samobójstwo – odparłam.

– O nie, to straszne – rzuciła Martha, niedbale siadając na kilku klasykach w nowym wydaniu. – Byliście ze sobą blisko?

– Niezbyt. Ale mimo wszystko.

– Kawy? Mam też wino.

– Mmm.

– Jedno i drugie?

– Mogę skorzystać z toalety?

– Oczywiście – powiedziała, wskazując na pomieszczenie na tyłach.

Usłyszałam, jak zamyka na klucz drzwi wejściowe, a potem, że mogę zrobić kawę. Sama poszła na górę do mieszkania. To były konkretne

rzeczy, które zakotwiczały mnie trochę w rzeczywistości. Nalać wody do czajnika, wyjąć słoik z kawą rozpuszczalną.

– Chce pani o tym porozmawiać? – spytała Martha, wróciwszy z połową butelki czerwonego wina.

– Chyba nie teraz.

– Okej, to pogadamy o czymś innym. – Martha nalała mi wina do szklanki i się zaśmiała. – Wczoraj nie dałam go rady wypić, ale co tam, dzisiaj nie mam lekcji.

Sobie też nalała i uniosła szklankę do góry.

– Na zdraví! Za pani przyjaciela.

W milczeniu też wzniosłam toast. Chciałam się zresetować, rozluźnić chociaż na chwilę. Wino w środku dnia. „A co mi tam – pomyślałam – może być gorzej?”

Martha zerknęła w kierunku podwórka na tyłach księgarni. Przypomniał mi się szczur, który tam ostatnio siedział, a może to był kot? Coś szarego przy kubłach na śmieci.

– Nie pojmuję, dlaczego zawsze ciągnę ich ze sobą do domu – oznajmiła i wypila kilka dużych łyków. – Na początku wydają się tacy wspaniali, ale gdy wchodzą do mieszkania, wysysają z niego całe powietrze i zostawiają po sobie pustkę, której wcześniej nie było. Tak jakby samotność żywiła się ich obecnością, czuła pani kiedyś coś takiego? No tak, proszę mi wybaczyć, zapomniałam, przecież pani jest mężatką.

Woda zawrzała i czajnik się wyłączył.

– Nieważne, proszę zalać kawę, a ja wezmę wino, mam na dole sucharki.

Nie ruszyłam się z miejsca. Paraliżowała mnie myśl, że znowu mam zejść do tunelu. Każde następne schody węższe od tych poprzednich, kamienie i ziemia, pomyślałam o tym, jak to głęboko, o nieistniejących już wyjściach. Rzeczach, które muszę zrobić, zanim będzie za późno.

– Zdjęcie – dodała Martha. – Pomyślałam, że może chciałaby pani zobaczyć zdjęcie Ludvíka Blaua.

Pomyliłam się co do mojej reakcji. Zejście na dół wcale nie było gorsze od przebywania na powierzchni, przeciwnie, uspokajały mnie masywne ściany i skała, świadomość, że nie można tam wejść z żadnej strony.

Nikt nie mógł mnie tam znaleźć.

Odstawiłam kieliszek z winem i filiżankę z kawą, które udało mi się znieść po schodach, prawie nic nie wylewając.

Martha włączyła lampkę na baterie. Na stoliku leżał zeszyt z fotografiami. Na jednej z nich biegło kilku chłopców w szortach. Palec Marthy wylądował na grupowym zdjęciu.

– Letni obóz sportowy, tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci rok. Pierwszy po lewej.

Był trochę niższy od tych, którzy stali najbliżej niego. Ręce miał opuszczone wzdłuż ciała, poważnie patrzył w obiektyw. Szorty i bluza, wszyscy w identycznych strojach i z krótkimi włosami, kilku się uśmiechało, ale nie Ludvík. Zdjęcie zostało zrobione dwa lata przed jego śmiercią, mógł jeszcze trochę urosnąć, wchodził w okres dojrzewania. Automatycznie porównałam chłopaka z fotografii z drobnym ciałem znalezionym w tunelu.

Zmrużyłam oczy, by lepiej przyjrzeć się jego rysom twarzy.

– Chore jest to, że przed wojną ten chłopak mógłby równie dobrze zostać uznany za Czecha – odezwała się Martha, wyjmując z bałaganu plik papierów. Najwyraźniej panował tam jakiś niepojęty porządek. Dokumenty pochodziły z opuszczonej niemieckiej szkoły. Znalazła Milenę Blau w protokole z pierwszych lat wojny. Ludvík był jej synem. Ojciec chłopca miał na imię Walter. – Walter Blau był Niemcem sudeckim, ale matka chłopaka była Czeszką i dlatego nie było łatwo dojść, do jakiej szkoły chodził. – Martha przeleciała wzrokiem poźółkłe dokumenty. – Tutaj sąsiedzi poświadczają, że w ich domu głównie mówiło się po czesku, lecz ponieważ ojciec był Niemcem, to dziecko też powinno być traktowane jak Niemiec, zwłaszcza że to chłopiec, który mógł się wrodzić w ojca. Przed zarządem szkoły Milena też twierdziła, że czytali małemu Ludvíkowi niemieckie bajki i śpiewali z nim niemieckie piosenki. – Martha wypila łyk wina, przyniosła inny plik dokumentów. – Cholernie trudno było dojść, kto był jakiej narodowości w przypadku ludzi, którzy żyli ze sobą przez tysiąc lat.

Mimochodem sięgnęła nad moim barkiem i przewróciła stronę w trzymanym przeze mnie zeszycie, wskazała palcem listę. Wyniki sportowe. Ludvík zajął drugie miejsce w bieganiu.

Że też tak szybko biegał.

– Po wojnie można było przekwalifikować dzieci z mieszanych rodzin, by uniknąć ich deportacji, ale większe szanse miały dzieci z ojcem Czechem. Z ojcem Niemcem raczej nie miał szans.

– Ale jego ojciec poległ na wojnie – zauważyłam. – Widziałam na cmentarzu jego nagrobek.

– Wojna o dusze dzieci – podsumowała Martha, jakby nie usłyszała tego, co powiedziałam. – Jeśli miał dwanaście lat, to uznawano go za nieuleczalnie niemieckiego.

Im bardziej próbowałam się skoncentrować na zdjęciu, tym mniej wyraźna stawała się twarz chłopca. Martha dołała mi wina. O kawie zapomniałam, stygła tam, gdzie ją postawiłam, obok schodów.

– Wie pani, że Hitler był wściekły na Niemców sudeckich? – dodała. – Wyzwolił ich spod czechosłowackiej tyranii, a oni byli niewdzięczni i niezbyt chętni, by walczyć za Rzeszę. Naziści woleli nawet czeskich nacjonalistów wyznających kult zdrowia, obowiązku i porządku od Niemców sudeckich, którzy migali się od wojska, chcieli być w domu z rodziną, uprawiać ziemię i żyć tak, jak zawsze żyli.

Nie usłyszałam dźwięku, który sprawił, że odłożyła to, co trzymała w ręku, czy to był dzwonek do drzwi, czy jakiś inny odgłos, który dotarł na dół, Martha musiała umieć je wyłapywać.

– Poradzi sobie pani tutaj sama przez chwilę? – spytała. – Przykro mi, ale nie stać mnie na odprawianie z kwitkiem tych niewielu klientów, których jeszcze mam.

Jasne, mogłam w tym czasie jeszcze raz przejrzeć cienki zeszyt. Było tam więcej wyników sportowych, lecz nie znalazłam kolejny raz jego nazwiska.

W każdym razie zajął drugie miejsce w bieganii.

Musiał uciekać po drugiej stronie którejś z tych grubych ścian, które mnie otaczały. Tajemne wejście znajdowało się obok księgarni, na tyle blisko, by zablokował je ogień, gdy wyrzucono z niej książki. Poczułam, jakby ściany zaczęły na mnie napierać. „Uwięziony jak szczur – pomyślałam – między jedną ścianą a drugą, bez szans na to, by się wydostać”.

Poczułam ulgę, słysząc dźwięki przy drzwiach na górze, Martha schodziła na dół. Zdecydowałam, że kupię od niej ten zeszyt. Stwierdziłam, że przy dzisiejszych możliwościach techniki powinno dać się uzyskać w miarę wyraźne zdjęcie Ludvíka Blaua. Pomyślałam o stworzeniu miejsca pamięci tam, gdzie umarł, ufundowaniu krzyża z jego imieniem i nazwiskiem. Na wszelki wypadek sfotografowałam

zdjęcie, gdyby Martha z jakiegoś powodu nie chciała go sprzedać, i równocześnie spojrzałam na zegarek.

Było dziesięć po trzeciej. Nagle dotarło do mnie, że o czymś zapomniałam. O przesłuchaniu na policji o piętnastej, jak mogło mi to wylecieć z głowy?

Zdążyłam pokonać kilka schodów w górę. Czy to był oddech, zapach mężczyzny, który podświadomie wyczułam, a może ciężkie kroki?

Nie kobieta, tylko mężczyzna.

Instynktowne się wycofałam. Niskie sklepienie, otwór prowadzący do tunelu, z którego pozostał tylko amputowany kikut.

Jak szczur.

– Sonja? Wiem, że tam jesteś.

Jego cień padł na ziemię przed wnęką, w której stałam. Wyjdź – chciałam sobie powiedzieć – wyjdź i powiedz: „Ach, to pan, ale mnie pan przestraszył”. Ale nie mogłam się ruszyć.

– Nie zdążyłam pani powiedzieć, co było w tym liście. Tak się pani spieszyła.

Cień zniknął. Kroki ucichły. Usłyszałam dźwięk przewracanych kartek, szukał czegoś. Potem dzwonienie kluczy. Moja torebka. Leżała na stole.

– Podejrzewam, że chciałaby pani wiedzieć, dlaczego Ján Kahuda odebrał sobie życie.

„Nie” – krzyczało we mnie wszystko, a ja próbowałam oddychać bezdźwięcznie przez otwarte usta, wolno i płytko. Ján Kahuda nie popełnił samobójstwa. Chcecie, żeby to tak wyglądało, kimkolwiek jesteście.

Światło zadrżało. Lampa na baterie. Musiał ją wziąć do ręki i teraz z nią chodzi, oświetla korytarze i wnęki, jedną po drugiej.

– Niektórzy ludzie dochodzą do ściany – dodał, a jego głos znowu się przybliżył. – Nie mogą żyć z tym, co zrobili.

„Zejdź na dół” – pomyślałam. Były tam jeszcze jedne schody prowadzące w głąb ziemi. Gdybym tylko usłyszała jego znikające kroki, mogłabym pobiec w górę.

– Ján Kahuda zauważył, że ktoś się kręci pod waszym domem. Myślał, że to złodziej, i rzucił się na niego. Zobaczył motykę w ręce tej osoby, zanim zrozumiał, że to kobieta. Prosi Boga o wybaczenie.

Czy to możliwe? Kręciło mi się w głowie, wszystko było kłamstwem.

Wyczuł mój strach czy minęło już tyle czasu, że zdążył przeszukać inne ślepe tunele, nie wiedziałam. Cień wypełnił otwór i Anton się pochylił, żeby nie uderzyć głową w sklepienie, stożek światła padł na ścianę naprzeciwko i zbliżył się do mnie.

Szczur mógłby się prześlizgnąć między jego nogami. Mimo wszystko były dwa wyjścia. Machałam rękami, gdy mnie złapał. Walczyłam.

Anton Adámek chwycił mnie za ręce. Miał tyle siły, że mógłby mi je połamać. Zamiast tego pociągnął mnie do światła. Było bardzo słabe, a jednak mnie oślepiło. Moje oczy chciały ciemności, chciały do niej wrócić.

– Uspokój się – rozkazał. W jego głosie nie było już żadnego ciepła. Że też potrafił tak się zmienić. Teraz był zimny albo gorzej, obojętny.

– Przepraszam, przestraszyłam się – skłamałam. – Nie wiedziałam, że to pan. Te tunele... – Zwolnił uścisk, a ja mogłam zrobić krok w tył. Złapać trochę powietrza. – Jak mnie pan tutaj znalazł?

– To moja praca.

– Jako tłumacza?

Uśmiechnął się.

– To jeden z moich obszarów działalności, jak to się teraz mówi.

– Muszę iść – oznajmiłam, machając komórką. – Powinnam być teraz na policji, już jestem spóźniona.

– Przesłuchanie zostało odwołane.

– Nie zostałam o tym poinformowana.

Anton Adámek wyjął swój telefon, włączył się ekran.

Zdjęcie listu. Kartka była postrzępiona z jednej strony, jakby wyrwana z zeszytu lub notesu. Ładny charakter pisma, cztery czy pięć linijek. Oczywiście nie mogłam go przeczytać, ponieważ był po czesku, lecz na samym dole niewątpliwie znajdował się podpis Jána Kahudy.

– Samobójcy bardzo rzadko piszą list pożegnalny – stwierdziłam, robiąc krok w tył, oceniłam odległość do schodów. – Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. W rzeczywistości zostawiają po sobie ciszę i pytania.

– Myślałam, że poczuje pani ulgę – oświadczył. – To oczyszcza z zarzutów pani męża. Nie musi już pani iść na komisariat. Daniel niebawem wróci do domu, chyba to panią cieszy?

Anton Adámek zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, wydawał się nieomal rozbawiony. Podtekst. Równie dobrze mogłabym tam stać nago. Tyle wiedział, z tylu rzeczy mu się zwierzyłam.

– Po prostu trudno mi w to uwierzyć. Że to Ján Kahuda. Był taki sympatyczny.

– Obawiam się, że Anna Jones by się z panią nie zgodziła.

Dlaczego nie milczałam, dlaczego nie powiedziałam tylko „dzięki za informację” i stamtąd nie odeszłam, żeby zrobić zakupy i przyrządzić Danielowi powitalną kolację? Zamiast tego cofnęłam się dwa, trzy kroki i poczułam za plecami twardą skałę, kamień wcisnął mi się między łopatki.

– Ten list mógł napisać każdy – oświadczyłam.

– Ogrodnik był czujny. Zobaczył, że nie ma waszego samochodu i pomyślał, że to włamanie.

– Skąd się wziął kilof?

– Może Anna Jones chciała nim wybić okno?

– Albo coś wykopać.

– Zaczęli się szarpać. Ján Kahuda próbował wyrwać jej z ręki ten kilof. Ona stawiała opór, uważała, że ma do tego prawo, krzyknęła, że nic mu do tego. W końcu wyrwał jej kilof. Nie chciał jej zabić, może za mocno się zamachnął. Proszę mnie nie pytać, narzędzia ogrodnicze nie są moją mocną stroną.

– Zawarł to wszystko w czterech liniijkach?

– Tak właśnie było.

– Dlaczego powiedział to właśnie panu? A może wykopaliście więcej tak zwanych świadków?

Anton Adámek zrobił krok w przód.

– Byłem tam – oświadczył.

Spojrzałam mu prosto w oczy. Poczułam jego oddech. Jego obojętność, jakby śmierć go nie obchodziła.

– Co ma pan na myśli?

– Że widziałem, co się stało.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym wcześniej?

– To nie takie proste – odparł i tylko na chwilę odwrócił wzrok.

Rzuciłam się do ucieczki. Od schodów dzieliło mnie zaledwie kilka metrów. Wbiegałam po nich na górę, gdy złapał mnie za kostkę. Kopnęłam nogą, lecz nie byłam w stanie się uwolnić.

– Martha! – krzyknęłam. – Właścicielka księgarni. Zaraz przyjdzie.

– A jak pani myśli, kto mnie tutaj wpuścił?

Anton Adámek uniósł pęk kluczy i zakręcił nimi na palcu. Rozpoznałam ten brelok z jednorożcem, małą latareczką, duży żelazny klucz od piwnicy.

– Nigdy by tego nie zrobiła – powiedziałam, cofając się. – Nie dobrowolnie.

– Ludzie najczęściej robią to, o co się ich poprosi, jeśli podać im wystarczająco dobry powód.

– Co pan z nią zrobił?

– Nic, czego by nie chciała. – Znałam ten uśmiech aż za dobrze, zmroziło mnie. To był uśmiech, który mi posłał, gdy siedzieliśmy w moim samochodzie. Zaczęłam się zastanawiać, czy ujdę stamtąd z życiem.

– Kim pan właściwie jest?

Anton Adámek podrzucił klucze do góry i je złapał. Następnie odwrócił się i podszedł do biurka. Chociaż odległość między nami zwiększyła się na kilka sekund, nie byłam w stanie się ruszyć. Czułam się jak zając pod baczynym spojrzeniem dzikiego zwierzęcia.

Przyniósł sobie krzesło i usiadł przede mną, rozsuwając nogi.

– Pilnuję – powiedział. – Możemy to nazwać innym obszarem mojej działalności.

– Kogo pan pilnuje? – Wbiłam wzrok w jego krocze. – Jána Kahudy? Albo Anny Jones? – dodałam.

– O ile nie nazwiemy jej Frau Anną Heller – oznajmił. – Chyba pod takim nazwiskiem jest znana jej dawnym przyjaciom ze wschodnich Niemiec. Kurt Lehmann, Udo Körner, nie wspominając już o jej biednym starym ojcu.

– Pojechał pan tam za mną?

– Nie wiedziałem, że się tam pani wybiera.

– Ale pytał pan o mnie w zajeździe, dowiedział się pan, gdzie jestem...

Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. Podciągnęłam się w górę o jeden stopień, nie dlatego, że miałam szansę uciec, tylko dlatego, że na wysokości oczu miałam jego klatkę piersiową zamiast czegoś innego.

Libor był jedyną osobą, która wiedziała, dokąd pojechałam. Wiedział, jak przeżyć. Prowadził pensjonat w różnych czasach, „należy mieć oczy i uszy otwarte, ale nic nie słyszeć i nic nie widzieć”. Wszystko zaczynało mi się układać się w całość. Mężczyzna z baru w Seehotel, który chciał się ze mną napić piwa, wrażenie, że zobaczyłam go na stacji w Dreźnie.

Anton Adámek dowiedział się, dokąd pojechałam, i wysłał tam kogoś, kto miał mnie na oku. Nie wydawało mi się, byłam obserwowana. Świadomość tego sprawiła, że bardziej się wściekłam, niż przestraszyłam.

– Jak, do cholery, mógł im pan pozwolić oskarżyć Daniela o coś, czego nie zrobił?

Anton Adámek wskazał ręką na sklepienie, świat powyżej.

– Jak pani myśli, z czego żyją tu ludzie?

– Nie mam pojęcia.

– Przemysł prawie zniknął, kopalnie są zamykane albo sprzedawane zagranicznym spółkom. To, co kiedyś opierało się na węglu, teraz jest uzależnione od kaprysów turystów i widzimisię inwestorów.

Metal o metal. Zwyczajny brzęk kluczy dzwonił w uszach w miejscu, gdzie nie było żadnych innych dźwięków, piosenka o tym, że miał mnie w garści. Daleko, na drugim końcu pomieszczenia, dostrzegłam smugę światła wpadającą przez otwór wysoko w górze, do którego wcześniej wpadał dym z naszych skrętów. Do poziomu ulicy było jakieś trzydzieści albo więcej metrów, na zewnątrz mogło nie być żywego ducha.

– Nikt nie zyskuje na tym, że pojawiają się tu prawnicy z Londynu i rozgrzebują stare gówna, grożą ludziom pozwami na prawo i lewo. Coś takiego niepotrzebnie kieruje uwagę w złą stronę, rozdrapuje dawną nienawiść. Miałem raportować, gdyby ta kobieta zaczęła wprowadzać ferment, co mogło mieć swoje konsekwencje.

– Konsekwencje... – powtórzyłam, napinając wszystkie mięśnie. – Więc trzeba było ją zabić i zwalić winę na mojego męża.

Następnie wycelowałam i kopnęłam go prosto w krocze. Anton Adámek jęknął i zaklął, kątem oka zobaczyłam, że krzesło się zachwiało, gdy biegłam w kierunku wyjścia. Krzyczałam, co mi ślina przyniosła na język. Być może moje wrzaski wzmacniał przewód wentylacyjny, a może zostawały zduszone, nim dotarły do góry.

Kilka sekund, tyle mu zajęło, żeby mnie dopaść. Ramię wokół szyi, ręka zakrywająca usta i nos.

– Spokojnie – wysyczał, gdy próbowałam się wyrwać, zaczerpnąć powietrza. – Miałem za zadanie posprzątać. Nie zabiłem jej.

Poluźnił trochę uścisk, o kilka milimetrów, bym mogła oddychać, lecz wciąż mocno mnie trzymał.

– Będziesz cicho, jeśli zabiorę rękę?

Udało mi się kiwnąć twierdząco głową, robiłam, co mi kazał. Gdyby chciał mnie zabić, to czy już by tego nie zrobił? Osunęłam się na podłogę, oparłam się o ścianę, skrzyżowałam ręce na piersiach, próbując je rozgrzać.

Słyszałam głos, nie patrzyłam na niego.

– Anna Jones opuściła zajazd w środku nocy, gdy na zewnątrz nie było żywego ducha. Musiałem zachować dystans, żeby mnie nie zauważyła, i straciłem ją z oczu. Kiedy zrozumiałem, dokąd poszła, on już tam był.

Mówił prawdę czy tylko przedstawiał kolejną wersję? Nie wiedziałam.

Istniała taka możliwość.

Usłyszał krzyk i ostatni odcinek pokonał biegiem, lecz dotarł tam za późno. Anna Jones upadła na ziemię sekundę wcześniej, nie zdążył wyrwać motyki z rąk ogrodnika.

Ján Kahuda naprawdę wstał tamtej nocy, by pójść do toalety. Przez okno zobaczył kogoś po drugiej stronie rzeki, jak kopał w ziemi.

– Z tego, co zrozumiałem z jego chaotycznej wypowiedzi, pobiegł tam, by przegonić tę osobę. Nie wiedział, kto to taki. Wywiązała się między nimi sprzeczka.

Złapawszy za kilof, zamachnął się na nią. Świadomie lub nieświadomie, trudno powiedzieć. Opowiadał bez ładu i składu o czymś, co obiecał chronić, i że cała prawda wyszłaby na jaw, zarówno o nim, jak i o jego ojcu. To, co zostało zapomniane, miało takie pozostać.

– Osunął się na ziemię i zaczął płakać, miał się oddać w ręce policji i ponieść karę, powiedział, że wszystko w końcu musi wyjść na jaw.

– To dlaczego tego nie zrobił? – spytałam słabym głosem.

– Byłby proces. Mieszkaniec miasta, który rzuca się na potomkinię Niemców sudeckich, a do tego w miejscu, gdzie... wydarzyły się inne rzeczy. Mógłby chcieć wyznać całą prawdę, przyjść pod wpływem alkoholu, zapomnieć, co miał przemilczeć. Ján Kahuda byłby katastrofą na sali rozpraw.

– Czy policja o tym wie?

– Dopilnowałem, by staruszek wrócił do domu. Miałem rękawiczki, gdy brałem do ręki motykę. Nie spodziewałem się obecności pani męża.

– Ale pozwolił pan na to, by go zatrzymali – stwierdziłam wolno. – Nie raz, ale dwa razy.

– Policja zrobiła tylko to, co do niej należało. Za pierwszym razem sędzia nie znalazł powodów do aresztowania. Pani mąż mógł wskazać

kogoś innego. Mógł wykorzystać swoją szansę.

– Przecież oni też byli niewinni.

– Wyrok nie byłby taki surowy. Sprawca działał w obronie własnej.

– Więc zamiast tego Ján Kahuda miał złożyć fałszywe zeznania. Nagle jego obecność na sali rozpraw okazała się przydatna.

– Nie musiał się pojawiać w sądzie. Jego zeznania są spisane. Miał się rozchorować.

– Albo umrzeć?

– Znalaziono opakowanie tabletek. Ján Kahuda popełnił samobójstwo.

– I napisał list?

Nie mogłam odwrócić wzroku, przykuwał mnie spojrzeniem. Lampę postawił przy schodach. Docierała do mnie tylko smuga brudnoszarego światła. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Pokazałem pani ten list tylko z jednego powodu – oświadczył. – Jeśli ktoś panią o niego zapyta, będzie pani pamiętała, jak wyglądał.

– Dlaczego?

– Bo go pani widziała?

– Mam poświadczyć, że leżał na nocnym stoliku?

– I to wszystko stanie się tylko tragicznym wydarzeniem spowodowanym przez alkoholika, który myślał, że zobaczył złodzieja, i przyznał się do tego czynu.

Nie wiem, skąd pojawił się mój śmiech.

– Naprawdę się pan napracował – podsumowałam. – Kto panu za to wszystko zapłacił? Policja? Ktoś z urzędu gminy?

Anton Adámek nie odpowiedział. Tknęło mnie, że w ratuszu wiedzieli o protestach Anny Jones, w najdalszych pokojach, najwyższa władza, burmistrz, który jeszcze nie podpisał naszych papierów.

Czy dlatego tak im się spieszyło, czy dlatego cena była taka niska?

– Są w tym mieście ludzie, którzy to przeżyli – oznajmił. – Ich dzieci i wnuki będą tu dalej żyć. Nie jest pani stąd i dlatego nigdy pani tego nie zrozumie. Nikt nie chce tutaj hordy delegatów z Unii Europejskiej ani zagranicznych reporterów, którzy rozdrapią to, co powinno być zapomniane.

– Przecież nie można nikogo skazać za niewinność.

– Uważa pani, że w obecnych czasach potrzebne są do tego sądy?

Zerknęłam do góry na mały otwór, przez który wpadało dzienne światło. Nie było tam żadnych cieni, żadnego ruchu świadczącego o tym,

że ktoś próbuje zajrzeć do środka, udzielić pomocy, zastanawia się, skąd pochodził ten krzyk. Nie miałam pojęcia, gdzie znajduje się ten otwór. Za kubłami na śmieci?

– Wróci pani do domu – powiedział. – Zajmie się pani mężem, dokończycie remont. Przestaniecie się martwić tym, co było. Będziecie pielęgnować róże i uprawiać winogrona. To wszystko.

– A jeśli pana nie posłucham?

– List może zniknąć. Ján Kahuda zmarł tragicznie, zabiły go wódka i depresja, ale jego zeznania przeciwko pani mężowi nie znikną. A Anna Jones miała rację co do jednego: nie istnieje żaden ważny akt własności winnicy. Jeśli zakup okaże się nielegalny, może pani oczywiście iść z tym do sądu i wytoczyć miastu proces, ale to zajmie jakieś dziesięć do dwudziestu lat. Będzie już pani stara, gdy to wszystko się skończy. – Wyciągnął rękę i dotknął pasemka moich włosów. Ostrożny ruch, nieomal czuły. – I ciekaw jestem, jak zareagowałyby pani mąż, gdyby się dowiedział, że jego ukochana żona przespała się tamtej nocy z innym mężczyzną.

Niskie drewniane drzwi były otwarte na całą szerokość, gdy wyszłam z piwnicy. Wolno przeszłam przez kanciapę z akcesoriami do sprzątanania, nasłuchując dźwięków wskazujących na to, że Anton wciąż jest w księgarni.

Dookoła panowała cisza.

Anton Adámek kazał mi chwilę poczekać, znowu ten uśmiech, nie byłoby dobrze, gdyby ludzie zobaczyli nas razem wychodzących z księgarni.

Klucze były w zamku. Zostawił otwarte drzwi i zniknął w ciemnym świetle, z którego pochodził.

Wybrałam numer Marthy. Sygnał rozległ się gdzieś wewnątrz budynku. Jej komórka leżała na kuchennym stole. Drzwi prowadzące na piętro były uchylone.

Klatka schodowa była zniszczona, lecz gustowna, wyblakłe malowidła na suficie odchodziły płatami. Paliła się tylko jedna żarówka dająca niewiele światła. Zadzwoiłam trzy razy. Następnie nacisnęłam klamkę, okazało się, że drzwi nie są zamknięte na klucz.

W kuchni leżało rozbite szkło, kawałki talerza dotarły aż do przedpokoju.

Martha siedziała na podłodze w sypialni. Wokół niej leżała porozrzucana pościel. Na dywanie obok niej zobaczyłam powiększającą się plamę krwi.

– Rany boskie – rzuciłam, łapiąc za prześcieradło, które owinęłam wokół jej krwawiącej ręki. Poczułam ogromną ulgę, że nie stało jej się nic gorszego, ale równocześnie byłam na nią strasznie wściekła. Dała mi klucz, zdradziła, gdzie jestem. Poszła sobie i zostawiła mnie tam samą.

– Cieszę się, że nic pani nie jest – powiedziała Martha. – Nie będę pani prosić o wybaczenie. Nie mogę tego od pani wymagać.

– Czy to robota Antona Adámka?

– Nie do końca. – Martha odwinęła materiał i przyjrzała się swojej ranie. – Raczej kieliszka, z którego wczoraj pił, gdy zaprosiłam go na wino.

– Spotykacie się?

Zaśmiała się.

– Nie sądzę. Pomógł mi przy samochodzie, gdy zgasł mi silnik, i tak od słowa do słowa... Nie pojmuję, jak mogłam tego nie widzieć. – Złapała za pościel i odrzuciła ją od siebie. – Nie uprawiałam seksu od ponad roku – wyznała. – Ubzdurałam sobie, że to miłość.

Zrozumiałam. To ona stała za tym pogromem w sypialni, to ona stłukła kieliszek.

– Ja też tego nie widziałam – powiedziałam.

– Nie jest pani stąd, ale ja dorastałam z takimi jak on. StB potrafiło wtargnąć do mojego domu w poszukiwaniu zakazanych tekstów, powinnam była go przejrzeć.

– Nie sądziłam, że StB jeszcze istnieje.

– System się zmienił, ale ludzie nie zniknęli. Część z nich tylko zmieniła outfit. Niektórzy zdali sobie sprawę, że mogą wykorzystać swoje kompetencje w biznesie.

Martha zabrała rękę, gdy próbowałam znowu owinać ją prześcieradłem. Było mi niedobrze na widok krwi.

– Musiała mu pani powiedzieć, że jestem na dole?

– Nie – odparła. – Nie musiałam. Kluczy też nie musiałam mu dać. Zawsze jest jakaś alternatywa. Mogłam to wszystko zostawić, mieszkanie, księgarnię, spakować się i wyjechać daleko stąd. Gdzieś, gdzie nie docierają żadne plotki i nikt nie wie, kim jestem, gdzie byłabym anonimowa.

Martha dotknęła rany. Złapała za odłamek szkła, który w niej utkwiał. Pomyślałam, że wda się infekcja. Usiadłam na brzegu łóżka, gołym materacu, który w połowie osunął się na podłogę.

– Kradzież żydowskiego mienia – powiedziała. – Cały świat dowiedziałaby się, że babcia zmusiła mężczyznę, który przeżył obóz koncentracyjny w Terezynie, by przepisał na nią księgarnię i mieszkanie, o ile nie sfalszowała jego podpisu. Że oprócz tego doniosła władzom, że ukrywał niemiecką literaturę, co mogło się przyczynić do tego, że został deportowany do tych Niemiec, które wymordowały resztę jego rodziny.

– Kiedyś mówiła mi pani, że przekazał księgarnię pani babci.

– Ona tak twierdziła.

– A jaka jest prawda?

– Myślałam, że ją znam. – W końcu niedbale okręciła rękę kawałkiem materiału. Ścisnęła tak mocno, że musiało ją to zboleć. – Przepraszam, ale chciałabym teraz zostać sama.

Kiedy wychodziłam, zaczęła zbierać w kuchni kawałki szkła.

Z wypuszczeniem Daniela czekali do następnego dnia. W domu już nic mnie nie przerażało. Byłam jego częścią.

Obudziłam się o świcie, przewietrzyłam i przyniosłam świeże kwiaty.

Tak długo go przytulałam, aż poczułam, że jego mięśnie się rozluźniają, bliskość między nami powoli wracała. Nie chciał rozmawiać o tym, jak było w areszcie. Powiedział, że to miejsce, którego nie chce się pamiętać i do którego nigdy nie wróci.

– Już zawsze będziesz o tym pamiętać – stwierdziłam.

– Wiem – powiedział Daniel. – Ale teraz poproszę o filiżankę kawy i otwarcie okna.

Zapach tostów, brzęczenie owadów, takie proste rzeczy.

– Nie radziłem sobie zbyt dobrze – wyznał trochę później po długim prysznicu i włożeniu roboczego stroju. Musiał popracować fizycznie, zrobić coś konkretnego. – Zaprzeczałem wszystkiemu i nie chciałem współpracować. Mogę zrozumieć, że podejrzenie to wyglądało.

W spojrzeniu Daniela pojawiło się coś nowego, coś, do czego nie miałam dostępu. Poczułam mroczną niepewność, jakbym poruszała się po omacku.

– Możemy wrócić do Szwecji albo wyprowadzić się gdzieś indziej – zaproponowałam. – Jeśli stracimy na tym finansowo, to przecież tylko pieniądze. Znajdziemy mieszkanie albo mniejszy dom daleko od miasta.

– Nie możemy po prostu tutaj zostać?

– Chcesz tego?

– Nie mogę uciekać przez resztę życia – oświadczył Daniel, a w jego oczach znowu pojawiło się to coś. – Przeprowadzka tutaj była ucieczką. Chcę wyremontować to miejsce, nie chcę go tak zostawiać.

– Może byliśmy naiwni? – zasugerowałam. – A co, jeśli nikt tutaj nie przyjedzie, nie będzie chciał wynająć pokoju, z czego wtedy będziemy żyć?

Daniel przyniósł swojego laptopa. Łączność ze światem zaczęła działać, pokazał mi kilka mejli, które dostał. Nic specjalnego, ale gdy mnie nie było, napisał do paru starych znajomych.

– Chodzi o korektę, redakcję tekstu, średnio płatne...

– Myślałam, że to poniżej twoich oczekiwań – zdziwiłam się.

Naprawdę się zaśmiała.

– Człowiek nabiera innej perspektywy po kilku dniach spędzonych w celi.

– Może więcej osób powinno tego spróbować – zażartowałam.

– A ty? – spytał. – Chcesz zostać?

– Mm.

– Tylko jeśli chcesz – zastrzegł Daniel. – Nie ze względu na mnie.

Musiałam pomyśleć, zastanowić się, nie chciałam niczego łagodzić ani go okłamywać, żeby poczuł się lepiej. Rozejrzałam się po kuchni, stół nakryty do śniadania, zasłony falujące na lekkim wietrze, wszystko to i równocześnie krzyk, który wnikał w te ściany, promienie słońca przenikające przez liście lipy, zanim dotrą do środka.

– Nie musisz decydować teraz – powiedział Daniel. – Zobaczymy, co przyniosą kolejne dni.

Minęło kilka dni, odkąd to spisałam. Czasu starczało jedynie na porządki, trwanie. Degustowanie wina z zamku w Mielniku i ostrożne rozmowy.

Można mówić prawdę, a mimo to krążyć wokół niej. Nie wiem, czy to czyni ją kłamstwem, czy po prostu półprawdą.

Daniel dowiedział się, że sprawa Anny Jones została zamknięta, ale tylko tyle. Opowiedziałam mu o ogrodniku, który stanął w obronie winnicy, jak to obiecał swojemu ojcu, który z kolei obiecał to Julii Heller, o obietnicach przechodzących z pokolenia na pokolenie. O chłopcach, którzy bawili się na rzece, w tunelach, pomieszkiwali u siebie i uczyli się swoich języków. O tym, że Anna Jones próbowała odzyskać rodzinny majątek, chociaż to było niemożliwe, o cierpiącym na demencję Acho i jego rodzicach, którzy przechowywali wino w piwnicy, o muzyce fortepianowej i wszystkim tym, co wiedziałam o ludziach mieszkających tu przed nami, o wysiedleniach.

Oczywiście o śmierci Ludvíka, pół Czecha, pół Niemca, uwięzionego w tunelu pewnej strasznej nocy.

Za to zdarzenia na moście przemilczałam. Nie wspomniałam ani słowem o ciałach płynących z prądem rzeki i pochowanych o świcie po drugiej stronie drogi, o ciszy, która później nastąpiła.

Znam mojego męża. Mówi to, co uznaje za stosowne, nawet jeśli wiąże się to z konsekwencjami. Dlatego stracił pracę.

Nie chciałam go znowu stracić.

Dzieciom opowiedzieliśmy tę samą historię. Długo rozmawialiśmy z nimi przez Internet. My zaraz znalazła jakiś termin i lot, by nas odwiedzić, Elmer musiał poczekać na ferie w połowie semestru.

– Co powiedziałaś im o mnie?

– Że zostałeś niesprawiedliwie oskarżony o coś, z czym nie mieliśmy nic wspólnego, ale że już po wszystkim.

– A nie mieliśmy?

– Słucham?

– Nie mieliśmy z tym nic wspólnego?

Następnego dnia wzięłam się do prania. W przedpokoju wisiał jasny płaszcz Daniela. Zobaczyłam kilka plam przy tylnej lamówce, więc również wyładowałam wśród rzeczy do wyprania. Sortując je, rutynowo opróżniałam kieszenie.

Kilka rachunków, bilet na pociąg.

Najpierw zobaczyłam datę, później godzinę. Dwudziesta druga dziesięć. Z Pragi do Uścia nad Łabą.

To tam trzeba się było przesiąść do innego pociągu, by dojechać tutaj albo wsiąść w autobus lub taksówkę tak późno wieczorem.

Osunęłam się na podłogę i wbiłam wzrok w bilet. Daniel pojechał do Pragi tamtego wieczoru, naprawdę tam był. Dopiero wtedy, po fakcie, zrozumiałam podtekst jego pytania „A ty, chcesz zostać?”.

To jego widziałam wśród tłumu w dawnej dzielnicy żydowskiej. Wiedział, a mimo to się z tym nie zdradził. Czy jego milczenie oznaczało, że mi wybaczył?

Kiedy na chwilę wyszedł na dwór, zajrzałam do jego komórki. Funkcja „Znajdź mój iPhone” była włączona. Walczyłam z chęcią zapytania go o to wprost. Musielibyśmy się wtedy pokłócić, zburzyć kruchy spokój.

W końcu schowałam bilet pod resztkami jedzenia w koszu na śmieci.

Pierwszej nocy nie, ale drugiej znowu się ze sobą kochaliśmy. Albo raczej na nowo. Było w tym coś nieobliczalnego, coś desperackiego, a jednocześnie bardziej ostrożnego, jakby to był jeden z naszych pierwszych razów, co wcale mi nie przeszkadzało.

– Wciąż nie rozumiem – powiedział po wszystkim Daniel – co Anna Jones robiła tutaj w środku nocy.

– Chyba chciała coś wykopać.

– Wykopać, ale co?

Usiadłam na łóżku i sięgnęłam po moją komórkę.

– Według Acho Hellera jego mama w ostatnich dniach zebrała srebrne świeczniki i cenną porcelanę. Dlaczego, skoro mogli wziąć ze sobą piętnaście, a później nawet do pięćdziesięciu kilogramów?

Pokazałam mu zrobione przez siebie zdjęcie dziecięcego rysunku, fantazji ośmioletniej Anny na temat skrzyni ze skarbami zakopanej pod drzewem.

– Wydaje mi się, że Julia chciała, żeby Acho o tym wiedział, na wypadek gdyby kiedyś powrócił. Nauczyła go piosenki, którą on śpiewał później Annie, gdy była mała. Wciąż pamięta słowa, tak jak się pamięta piosenki z dzieciństwa, chociaż ich znaczenie popadło w zapomnienie.

Pod lipą, we wrzosie
miejsce wytchnienia,
pod lasem w dolinie,
gdzie słowika pienia.

Kiedy nuciłam, w oczach Daniela na myśl o zakopanym skarbie, czymś odwiecznie kuszącym, zapaliła się iskierka.

– Wykopiemy go? – spytał. – Może być sporo wart.

– Nie – odparłam. – Jeśli ktoś ma go kiedyś odkopać, to na pewno nie my.

Nie pamiętałabym dokładnie słów tej piosenki, gdyby Lotte mi jej nie przysłała, ale nie dlatego znowu się z nią skontaktowałam.

Anna Jones twierdziła, że ma w Londynie dwóch dorosłych synów. Pielęgniarka z nocnej zmiany z domu seniora w Großräschen obiecała, że znajdzie namiary na najbliższą rodzinę Acho Hellera.

Gdyby chcieli odwiedzić miejsce, w którym urodził się ich dziadek od strony matki, dałabym im ten rysunek. Pozwoliłabym im wykopać ten skarb, ale pod jednym warunkiem. Że pokażą go Acho, jeśli będzie jeszcze wtedy żył.

– Ogrodnik znał to miejsce – powiedziałam. – Pilnował go za wszelką cenę. Być może Julia Heller wymogła tę obietnicę na jego ojcu, może Ján widział Julię z daleka, jak zakopywała te rzeczy, a może nie znał całej tajemnicy, wiedział tylko, że to zakazana ziemia.

Opowiedziałam Danielowi o tym, czego się dowiedziałam od Jána. O chemikaliach z czasów zimnej wojny transportowanych z prądem rzeki

i osadzających się w ziemi.

– Ojciec musiał wbić synowi mocno do głowy, że nikt nie może kopać w ziemi w tym miejscu.

– A co, jeśli to prawda? – spytał Daniel.

Pocałowałam go, zagłaskałam to spojrzenie.

– Na szczęście plantacja winorośli leży powyżej rzeki.

Daniel wodził przez chwilę palcem po mojej skórze.

– Jak myślisz, ile minie czasu, zanim zbierzemy pierwsze winogrona?

Zdarza się, że dotykam klawiszy i kusi mnie, by wszystko wykasować. W sekundę zniknąłby cały napisany przeze mnie tekst i przestałby stanowić zagrożenie.

Zamiast tego usuwam nazwę miasta. Nazywam je Königsmühle, na cześć jednego z tych nieistniejących już miast z albumu państwa Körnerów. Na zdjęciach widać tylko ruiny domów na zarośniętych łąkach na skraju lasu, poprzerastane drzewami.

To miasteczko z jego podwójną wieżą kościelną mieniącą się we wschodzącym słońcu, którą widzę, stojąc w oknie, to może być każde miasteczko w Kraju Sudetów.

Na zewnątrz stoi ogrodowa ławka i czeka, aż ją pomaluję na niebiesko. Znalazłam dla niej inne miejsce, po drugiej stronie domu, gdzie zapach róż jest najintensywniejszy. Będziemy mogli na niej siedzieć, gdy się zestarzejemy, jeśli uda nam się kochać siebie nawzajem na tyle różnych sposobów, że dotrwamy ze sobą do tego czasu.

Świt nadchodzi teraz później, lecz jesień wciąż wydaje się odległa. Codziennie rano, gdy Daniel jeszcze śpi, przed moim spacerem do piekarni spoglądam na lipę, na rzekę. Każdego ranka myślę o tamtym poranku. Widzę ich cienie. Żywi niosą umarłych. Umarli niosą żywych. Kiedyś trzeba będzie o tym opowiedzieć.

Nie dzisiaj, tylko nie dzisiaj.

Podziękowania

Ta książka to fikcja literacka w formie powieści. Miasto w niej opisane jest fikcyjne, lecz historia o wysiedleniach z Kraju Sudetów wydarzyła się naprawdę.

Z prawdziwego Königsmühle zostały tylko ruiny w polu.

Kraj Sudetów nie był geograficznym obszarem na mapie, tylko zbiorczą nazwą części Czech, Moraw i Śląska Cieszyńskiego w dużej mierze zamieszkaną przez ludność niemiecką. Ziemie te do 1918 roku należały do Austro-Węgier, a później znalazły się w granicach Czechosłowacji.

Zaskakująco niewiele jest materiałów na ten temat. Jeśli ktoś chciałby go zgłębić, to polecam *Cleansing of the Czechoslovak Borderlands* Eagle'a Glassheima i *Orderly and Humane* R.M. Douglasa. Bardzo pomogły mi też *The German Expellees* Alfreda-Maurice'a de Zayasa, *The Missing Peace of a Heritage Puzzle* Franka Koerner'a i *Das Verschwundene Sudetenland*, wydana przez organizację Anti-komplex w Pradze. *Kidnapped Souls* Tary Zahry jest wyjątkowym opisem rozwoju nacjonalizmu i walki o dusze dzieci w Czechach. Cytaty o domach jako prawdziwych władcach miasta zostały zaczerpnięte z powieści Gustava Meyrinka *Golem*.

Praca pisarza jest z natury samotnicza, ale nie do końca. Nie napisałabym tej książki, gdyby nie pomoc, wiedza i doświadczenie wielu ludzi. Mam tutaj na myśli:

Johna Wericha, który podzielił się ze mną swoimi rodzinnymi wspomnieniami i zawiózł mnie zarówno do winnic, jak i do najbardziej zniszczonych i zapomnianych części Kraju Sudetów.

Mają Konstaninovič z organizacji Antikomplex, założonej na początku lat dwutysięcznych przez praskich studentów, by dokumentować i przepracowywać przemilczane historie na temat wysiedleń Niemców sudeckich.

Martina Raka, nauczyciela historii w jednej z prawie wyludnionych wiosek, i jego żonę Verę Rakovą, oboje są potomkami tych niewielu Niemców sudeckich, którzy zostali.

Dziękuję Heike Kirsch, Grit Thuneman i Karli Linke, które podzieliły się ze mną wspomnieniami o dorastaniu w byłej NRD, Pellemu Nilssonowi za opowieści o Wiedniu i Sudetach, Matsowi Hellströmowi i Hannie Granz za pomoc w różnych kwestiach niemieckich, jak również Zohrze Linder Ben Salah za szczegóły dotyczące mumifikacji i tym podobne.

Ogromne podziękowania dla dramatopisarki Boel Forssell za wsparcie podczas pisania tej powieści, dla Görana Parkeruda, psychologa i mojego recenzenta, za inspirację i rozmowy o postaciach, dla Gith Haring, Lizy Marklund i Anny Zettersten za wasze mądre i czujne oko.

Dziękuję najlepszemu wydawnictwu Lind & Co, Kristofferowi Lindowi, mojej redaktorce Kajsie Willén i wszystkim pozostałym, Niklasowi Lindbladowi, który projektuje moje okładki, Astri von Arbin Ahlander i całej Ahlander Agency, jestem taka szczęśliwa, że troszczycie się o moje książki.

Tove Alsterdal

1 G. Meyrink, Golem, przeł. A. Lange.

Spis treści

Strona tytułowa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

Przypisy